

Nr. Książki
C 290

Tytuł
Książki Z Minionych Dni

Data
zwrotu

Data
wypoż.

Nr

BIBLIOTEKA I MUZEUM Z.N.P.

1514-1520 W. DIVISION STREET

WAŻNA UWAGA:

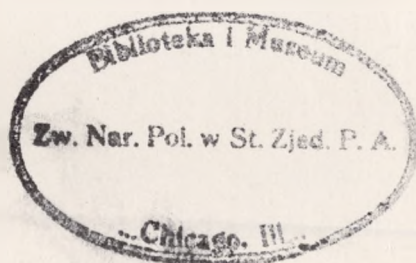
10 PROŚB KSIĄŻKI DO CZYTELNIKA

- I. Nim zaczniesz czytać — obłóż mnie w papier.
- II. Nie dotykaj mnie brudnymi rękami.
- III. Nie czytaj mnie przy jedzeniu!
- IV. Nie śliń palców przy przewracaniu kartek.
- V. Nie mnij kartek i nie zaginaj rogów.
- VI. Nie przeginaj mnie przy czytaniu.
- VII. Nie kładź mnie rozłamaną, grzbietem do góry!
- VIII. Nie umieszczaj mnie w domu na miejscu nieodpowiedniem!
- IX. Nie rób na mnie żadnych znaków i dopisków.
- X. Nie wyrywaj i nie niszczyć obrazków i kartek.

Wymaga się od każdego wypożyczającego książki z Biblioteki Związku Nar. Pol., aby się zastosował ściśle do powyższych prośb i wogóle należy oddać książkę w takim stanie, w jakim ją wypożyczono, w przeciwnym razie osoba wypożyczająca będzie zmuszona do zapłacenia wartości książki.

DYREKCJA.

C 290



0290

GUSTAW DANIŁOWSKI

Z MINIONYCH DNI

POWIEŚĆ



CHICAGO, ILL. 1921.

NAKŁADEM KSIĘGARNI LUDOWEJ

I.

W GNIEŹDZIE.

— Wiktorku, daleko jeszcze?

— Fedź twierdzi, że od powrótki mila, ale jest z półtorej, a i traktem kawałek; radzę więc za przykładem pierworodnego wtulić się w kącik i zasnąć, przed gankiem obudzę... Zmęczył się kociak, co? A mówiłem mieszczańeczce, że to trochę dalej niż z Mokotowa na Muranów — zakończył żartobliwie Wiktor.

— Tak ładnie, jak tu spać? — odparła sennym głosem Marynia. — Wiesz, że ciekawa jestem i boję się...

— Czego znowu?

— Ot tak, czy ja wiem czego? jak to tam się ułoży... może nie będą radzi — wyszeptała Marynia i uniosła w górę bladą swą twarzą, która w promieniach księżyca wydała się jeszcze bardziej filigranową, niż zwykle.

Wiktor z wezbraną pierśią przyglądał się drogocennym rysom i dojrzał w nich czający się cień smutku, który go ukłuł w samo serce. Zaraz też wszystkie tajemne troski, chwilowo zapomniane zupełnie, jak poruszone gniazdo os, opadły go z dokuczliwym brzękiem, mierząc każda zatrutym żądłem w miejsca rozranione. Ale jak stary pa-

siecznik, nawykły do rojów zgryźliwych, nie opę-
dzał się i rzekł strofującym tonem:

— Phy, też sens! nie będą radzi! załóż się, dobrodziko, że nie śpią i wyczekują; Ignacy siedzi w swoim muzeum, jak na szpilkach, a Belcia robi brewerje z powodu kolacji; z punktu nas znacznie odpasać: ona jest pewną, że w mieście się nie jada, więc jeśli chcesz ją ująć, odrazu pałaszuj co się zowie, bo się gotowa obrazić, a jak się obrazi, to się też nie martw, bo cię pierwsza przeprosi. Paradna! — mówił dalej, jakoby rozpamiętując — ma dużą nogę, ale jeszcze większy pantofel. Ignac — mortus!... Musiały im jednak powyrastać urwisy. Prawda, zdaje się nic, a Zygmus ma ze siedem lat, bagatela! Mieczys znów pięć, Aurelka trzy, a ten ostatni pędrak — rok... Bo to, widzisz, śmiejemy się z Belladonki, że jak buraczany wysadek, co drugi rok wydaje nasienie... Będzie się miał Ignaś z kim czubić... Śpij, Marynka, śpij i nie bój się nic!

A po chwili dodał:

— Dadzą nam pokoje na górcie: lipy w oknach, park, Śniwoda... Masz słusność! piękny kraj... Marynka, śpisz?

Marynia, cofnięta w głąb powozu, miała oczy przymknięte, ale nie spała jeszcze.

Nie była nigdy w Klonowie, mąż jednak często opowiadał o swym rodzinnym gnieździe i o jego mieszkańcach, więc słowa jego odpływały w niej całe szeregi mglistych obrazów, które się łączyły z miłym wrażeniem wielkiego zacisza i dobrych ludzi. Noc była przytym ciepła, widna i niezmiernie spokojna.

Po obu stronach traktu, za wysokimi nasypa-

mi rowów rozciągały się garbate obszary zżętych pól, usianych gdzieniegdzie przysadzistymi kształtami półkopków.

Na granatowym wysokim stropie nieba, spiętym w zenicie skrawkiem księżyca, drżały duże krople gwiazd i spływały częste drobne meteory, niby błękitne łyzy; tu i owdzie błąkały się białe rozwiewne obłoczki, słaby wiatr bez szelestu pieszczotliwym skrzydłem strącał lekko fale powietrza ugrzanego na wzgórzach, chłodnego w wilgotnych jarkach, gdzie z komyszów sitowia odzywały się raz wraz chrapliwe derkania chruścieli.

Powóz posuwał się szybko, chwiejąc się miarowo, czasem koń parsknął i Fedź odpowiedział mu: "Zdrow!" To znów chybnął się rozetkany dzwonek i chwycił pośpiesznie stracony takt. Marynia czuła tuż pod sercem rozkoszne ciepło zwinętego w kłębuszek syna i obecność Wiktora, który lubił sobie mamrotać różne swoje i cudze kawałki, i właśnie wiązał półgłosem jakiś cudowny dla niej rytm. A nad wszystkim górowało w niej uczucie niezwykłej ulgi, jak gdyby zostawiła za sobą niebezpieczny zaułek, gdzie czatował nocny rabuś, by ją z całego szczęścia obedrzyć, sponiewierać i samą jedną na bezludnym pustkowiu zostawić. Płochliwy ptak niepokoju, co się od niejakiego czasu tłukł w niej do utraty tchu i za łada powodem najeżał szorstkie pióra, krzywe szpony i ostry dziób, teraz omdlewał bezwładny w miękkim puchu czarnych skrzydeł. Wspomnienia świeżych dni stałego przerażenia i nocy pełnych upiórów tułały się chwilami jeszcze, ale jak spłowiełe majaki rzeczy dawno minionych, które się poznaje już tylko pamięcią, nie bólem.

To też w głębiach jej duszy składały się dziękczynne pacierze — nie słów, lecz wdzięcznych uczuć — dla tej widnej nocy, wolnych przestrzeni i jasnego nieba. Wydawało się jej, że buja w sinych mgłach tak przytulnych, jak ramiona matczyne, coraz wolniej, wolniej i ciszej, aż zatrzymała się kołyska i odeszło wszystko.

I już w uśpieniu przywalił ją naraz dławiący ciężar wstrętnego cielska zmory, straszny, bezkształtny; — usiłowała krzyknąć: "Nie śpię!... Wiktorze... i wiem...", ale głos uwiązł w ściśniętej krtani, więc się tylko poruszyła gwałtownie.

Tymczasem powóz skręcił w boczną drogę, podskoczyły kilkakrotnie koła na ruchomych, niby klawisze, dylach mostku; ugięły się mocniej resory. Fedz rozpuścił konie, które, czując dom, prychały coraz częściej i wyciągały tęgiego klusa.

Miało się już ku północy, a w klonowskim dworze panował ruch ożywiony. W kredensie piszczał samowar wśród szczęku przecieranych talerzy; w dużej sieni, wykładanej kamienną posadzką, filował zapamiętałe wielki brązowy kinokiet, a w rozmaitych punktach domu rozlegał się nad miarę podniesiony głos Belci, sprawującej obzrądek mycia głowy rozespanej służbie.

Pan Ignacy wałęsał się z kąta w kąt po swoim pokoju, który istotnie wyglądał więcej na muzeum starożytności lub pracownię uczonego, niż na gabinet wiejskiego gospodarza. Bo też obecny dziedzic Klonowa, o ile z zamiłowaniem grzebał się w okolicznych kurhanach, horodyszczach i skrętnie gromadził wszelką starzyznę, o tyle jedynie z obowiązku objeżdżał parę razy na ty-

dzień uszczuplone granice swojej posiadłości, by wpoić w oficjalistów przekonanie, że jednak czuwa. Właściwie zaś czuwała energicznie Belcia i starszy rządcą, pan Borowski, który miał dużo, w części urojonych, długów wdzięczności dla ojca obu Gintowtów, i opłacał je fanatycznym przywiązaniem do wszystkiego, co się łączyło z Klonowem, i sumiennym hukaniem na polach od rana do nocy.

Ignacy był znacznie starszy od brata, i gdy się żenił, Wiktor, w świeżutkim studenckim mundurku, zatańczył mu na śmierć żonę, którą z punktu przezwiał Belladonką, i wkońcu upił się, po raz pierwszy w życiu, również na śmierć. Pomimo różnicy wieku, usposobienia i temperamentu, bracia kochali się wyjątkowo serdecznie, przyczem refleksyjny flegmatyk Ignacy dawał się wodzić za nos młodszemu bratu, który był wcieleniem entuzjazmu i kipiącego życia.

Wogóle nikt w Klonowie nie umiał się oprzeć tej nawałnicy wichru, jaką się stawał Wiktor, gdy ktoś chciał skłonić do czegoś, przekonać lub do szalonego nieraz pomysłu zapalić. Ulegała mu nawet Belcia, przyznająca się głośno, że ma poprostu słabość do tego warjata, a cichaczem — w tajemnicy przed nią samą — na dnie tej słabości tkwiło ziarenko żywszego uczucia.

Był jednak okres, w którym stosunki braci nadwerężyły się mocno. Już w drugim roku swego pobytu w uniwersytecie Wiktor podczas wakacji zaczął prowadzić z Ignacym zaciekle dysputy, które kończyły się rozgoryczeniem stron obu i wargły wszystkim humory nieraz na tygodnie. Co gorsza, bracia, skoro ich tylko zbliżyły zabiegi Belci, zaczynali zgodę od prób wyjaśnienia swych

racji, i znów grzmiał salonik od podniesionych głosów i uderzeń pięścią w stół, przyczem wzajemne zacietrzewienie się sięgało tak wielkich rozmiarów, że czasem Belcia musiała uciekać się do nagłego zgaszenia lampy, by przerwać gorszącą scenę.

Nie były to spory zupełnie jałowe, walka słów tylko, spowodowana chęcią postawienia na swoim, bo pośród wybuchów, zapamiętania, brzmiały częstokroć nuty serdecznego żalu, że się porozumieć nie mogą, a w najgwałtowniejszych starciach ujawniło się właśnie nieuświadomione dostatecznie pragnienie znalezienia jakiejś kładki, po której możnaby rzucić się sobie w ramiona. Intuicyjnie czuli obaj, a zwłaszcza Wiktor, że mimo całej różnicy przekonań, przeciwieństwa, zda się, najistotniejszych zasad, w głębiach ich duszy są jakieś punkty styczne, jeszcze bardziej istotne ogniwa, które żywiołowo pociągają ku sobie ludzi z najbardziej krańcowych obozów.

Samo jednak poczucie nie wystarczało, bo się Rochali bardzo. Starali się tedy wyrwać jeden drugiemu uznanie dla swoich poglądów, rozwikłać wszystkie sprzeczności, ale, jak to zwykle bywa, w gorączce dysputy zaostrzyły się jedynie ich stanowiska, a nawet dość bliskie założenia w konsekwentnym rozwinięciu dawały czasem wprost monstrualne wyniki, przed którymi mógł się nie cofnąć przekrwawiony mózg, ale musiał się wzdrygnąć rdzeń istoty — sumienie.

Belcia, jakkolwiek nie bardzo rozumiała, o co braciom chodzi, umiała wlot pochwycić owe momenty zagalopowania się i w właściwy sobie, dośladny sposób bryzgała im tym w oczy w odpo-

wiedniej chwili. Póty przytym przypierała do muru każdego zosobna, aż się przyznali, że: "Et, głupstwo się rzekło".

— A kiedy się rzekło, to dajcie sobie spokój, bo się znów "et, co rzeknie" — strofowała ich surowo Belcia i w formie argumentu opowiadała, że już nawet służba wzięła ich na języki, że nadto dają ludziom zły przykład i "niech pękne, jeżeli nie przez wasze awantury Fedz znów się pobił z karbowym o obrok!"

Mocno zaś zgorszony pan Borowski i stosunkiem braci i zuchwalstwem służby, o ile był, dodawał:

— Święte słowa pani dobrodziejki, bo co tu długo gadać: aby człowiek miał boga w sercu, to i dobrze, a reszta to wszystko farmazońskie wymysły.

Jakkolwiek pan Borowski, mówiąc tak, pił głównie do zapalczywego Wiktora, przyszła jednak chwila, kiedy on właśnie pierwszy przyznał, że stary rządcą wyraził po swojemu niepospolitą prawdę.

Nastąpiło to wówczas, kiedy świeże formuły pojęciowe, które pierwotnie niejako unosiły się na powierzchni jego istoty, przyczepione jedynie do mózgu, puściwszy głębiej korzenie, wrosły w grunt serca Wiktora i, tracąc ostry rysunek płaskich szematów, wypełniły się żywą krwią uczucia.

Po długiej targaninie się wewnętrznej, obie strony jego ducha — wiedząca i intuicyjna — stopiły się nareszcie w ogniu ideowości w przedziwnie zharmonizowaną jednolitą całość, obdarzoną subtelną władzą przeraźliwie jasnego widzenia i cierpiącego odczuwania istoty rzeczy i stosunków.

Dalej, Wiktor w obcowaniu z interesującymi sferami przekonał się bardzo szybko, że jedynie z wyżyn abstrakcji mogą one uchodzić za jakąś historyczną kategorię, powołaną do zaszczytnej idealnej misji, a konkretnie jest to zbiorowisko ludzi dobrych i złych, z których jedni są zdolni upomnieć się o swoje dziedzictwo z bogiem, drudzy mimo boga.

Był to dlań silny zawód, który skompensowała ta okoliczność, że z kolei odnajdywał oblicze swego bóstwa nieraz w sercach tych, których usta świadomie przeczyły jemu, bezwiednie — sobie. Więc uczył się poznawać i ocalać te święte rysy w gmatwaniu najfałszywszych rozumowań, wyczuwać je pod namulęm przesądnych wierzeń, spaczonych pojęć; wyławiać z siatki logicznych wybiegów, odkrywać pod postaciami zarówno cnót, jak i występków, i doszedł pod tym względem do zadziwiającej wprawy.

Dla tych powodów i niektórych innych Wiktor we własnym rewolucyjnym kościele uchodził za trochę nieprawowiernego. Doktrynerstwo zarzucało mu pewien "mistycyzm", wyrażając obawy, że jego nadto szerokie ujmowanie kwestji może sprowadzić na manowce; ale wszystko to robiło się po cichu, jawnie bowiem nikt nie śmiał wystąpić; zanadto szczerze i donośnie łkało w nim podniosłym głosem serce, wylane na świat, w piersiach huczał gniew boży. Posiadał on przytym magiczny wpływ na ludzi, których sobie jednał od pierwszego wejrzenia, wrażając nawet nieprzejednanym wrogom podziw, graniczący niemal z szacunkiem.

To też kiedy Wiktor po ukończeniu studiów

spędził znów dłuższy czas w Klonowie, stosunki braterskie naprawiły się same przez się. Sporów unikali obaj, a szczególnie Wiktor, który spowiadał się niechętnie ze swoich planów na przyszłość i zdobywał sondowania brata ogólnikami lub żartem.

— Skończyłem prawo — mawiał — więc zostanę obrońcą praw naszych.

A pan Ignacy niepokoił się i martwił: opornować jednak nie miał odwagi. Dawny Wiktorek wyrósł mu i zmężniał, stając się pod każdym względem Wiktorem. Młodzieńczy war i wybuchowy entuzjazm przeobraził się w jakiś żarliwy ogień, ustawicznie płonący równym i niezmiernie wysokim płomieniem.

Pan Ignacy odczuwał ten płomień nieświadomie, korzył się przed nim i już i nie śmiał nań dmuchać.

Wiktor wrócił do miasta, gdzie osiedlił się na stałe. W Klonowie bywał rzadko, przelotem i na krótko, przywoził z sobą zwykle coś ciekawego, "zakazanego", i zawsze wyborby humor, który udzielał się powoli otoczeniu, tak iż wszystkim przypominały się dawne dobre czasy, i dopiero gdy wyjeżdżał, w pożegnalnym uścisku rodziły się ziny trwogi i do przyjścia wieści od brata lub nowych odwiedzin zatruwały częstokroć panu Ignacemu spokój wiejskich nocy.

Listy Wiktora były zwykle lakoniczne, pisane z różnych punktów kraju telegraficznym stylem.

Aż nagle po kilkuletnim niewidzeniu się i dłuższej przerwie w korespondencji, Ignacy, zaniepokojony pogłoskami, w odpowiedzi na alarmują-

cą depeszę od jednego z miejskich krewnych, otrzymał od brata sążnisty list, w którym się znalazł ustęp następującej treści:

“....A teraz bomba pęka: jestem żonaty i posiadam prawie dwuletniego berbecia, który na pamiątkę twoją otrzymał ogniste miano Ignasia, “de jure” ślub nasz odbył się parę miesięcy temu, “de facto” pobraliśmy się przed trzema laty. Ten stary błąd martwego dogmatyzmu — całkowicie mój błąd — został naprawiony i naszemu stosunkowi obecnie nie może nic zarzucić nawet najgorliwsza dewotka... Że i przed wami robiłem tajemnicę, to widzicie głównie dlatego, byście mi pod wpływem pierwszego wrażenia nie drasnęli czasem mojej Maryni. Tegobym niemógł ścierpieć, choćbym miał na zawsze stracić to zaciszne u was gniazdo, gdzie, gdy człek się porządnie zmacha, może sobie przywarować jak zwierz w bezpiecznym ostępie. Żona moja jest, a właściwie była z zawodu najprzód nauczycielką, potem szwaczką, z pochodzenia mieszczańeczką, a wogóle takie ptaszę, przed którym i mój “ślepowron” łypie nieraz z zachwytem powieką. Jeżeli chcecie, mogę — a nawet byłoby mi na rękę — przyjechać do was z rodziną....”

Dalej jeszcze były rozmaite wiadomości, niektóre niezupełnie jasne, ale wszystko to uszło uwagi państwa Ignacostwa wobec faktu, że Wiktor jest mężem i ojcem. Oboje byli na razie oszołomieni. Ignacy — zelektryzowany, Belcia jakby urażona i nieco zgorszona, w rezultacie jednak wyprawili wspólny serdeczny list, w którym wyróżniało się grubo podkreślone ręką Ignacego zdanie: “Dla mnie i Belci, żona Twoja — Wiktorze,

jest zawsze żoną twoją — a więc naszą bratową, a Ignas — synowcem”.

Stało się to przed tygodniem i dziś właśnie Klonów oczekiwał przyjazdu gości.

Pani Izabela postanowiła wystąpić godnie i wyprawić festyn od wielkiego dzwonu, ale pan Ignacy, zaprotestował — dowodząc, że najstosowniej przyjąć braterstwo zwyczajnie, po rodzinnemu; wielki dzwon zaś w nocy, po uciążliwej podróży, może sprawić wrazenie szykany.

Po stoczonej z tego powodu batalji ostał się program ugodowy, miały być na kolację kurczęta, coś jeszcze, trochę wina, Jan w tuzurku i Stefanek — obuty.

Dochodziła już dwunasta; lada moment powinni byli nadjechać, więc pani Izabela, zmieniając szlafrok na strojnieszą suknię, czyniła w domu wielki gwałt i małe piekielko. Pan Ignacy zaś spoglądając na zegarek, chodził coraz szybciej, jak gdyby bieg czasu zależał od ruchu jego nóg. Był niespokojny, nurtowało go świeże zajście z doktorem Postańskim, który się zjawił dziś przed wieczorem, zapowiadając z góry, że go nie sprowadza żadna głupia wizyta, a poprostu interes. Mianowicie zażądał za cztery jabłka — funtowe okazy — worka kompostowej ziemi.

Pan Ignacy zgodził się bez wahania na tę transakcję, był bowiem przyzwyczajony do wszystkich dziwactw starego oryginała, przytym rad go zawsze widział u siebie, a dziś jeszcze więcej niż zwykle, chciał mu bowiem zakomunikować wielką nowinę o Wiktorze, którego losem doktor zdawał się interesować, choć się tego mocno zapierał.

Pokazał mu tedy list brata i wyraził nadzieję, że Wiktor się na koniec ustatkuje.

Starzec, przejrzawszy list, popatrzył dosyć drwiąco w stronę pana Ignacego, mruknął coś nakształt “duda” — poczym skrzywił się niemiłosiernie i zgrzytnął “psia krew” tak dziwnym tonem, że Ignacy drgnął i zapytał:

— Doktor nie rad, widzę?

— Ja? A cóż mnie Wiktor? Niech sobie kark skręci, byle nie na moim podwórku, bo miałbym kłopot — to mi jest śnieg przeszloroczny! — odrzekł brutalnie odludek.

Pan Ignacy zatrwożył się jeszcze silniej, przytrzymał zabierającego się do odejścia Postąńskiego za rękaw i począł powtarzać w alteracji:

— Czyżbyś doktor co złego widział, co złego?

Ale stary zmarszczył się i rzekł dobitnie:

— Primo, puść mnie, bo mi kubrak rozerwiesz, a cerowania nie lubię!— secundo, zapamiętaj sobie raz na zawsze, że stróżem twoim i twego domu nie jestem, bym ci zdawał relację. Ty myślisz — mówił ze wzrastającym rozdrażnieniem — że kto miał szczęście spać z twoim dziadkiem pod jednym płaszczem, to musi się do trzeciego pokolenia wysługiwać. Otóż wiedz, że dziad twój, był w namiocie, a choć dzielny w polu, piecuchi przytym baryła — ściągał płaszcz ku sobie, a ja szczerkałem pod rożkiem zębami, aż mi od tyłki noclegów do dziś w łopatce strzyka, a zęby dawno djabli wzięli.

I bez pożegnania, widocznie zły i jakby obrażony, wyszedł, zwałił worek na plecy i powędrował do domu.

Pan Ignacy nie wiedział sam, co o tym wszy-

stkim myśleć; Postański, choć żył jak trapista, miewał jednak często wiarogodne wiadomości niemal ze wszystkich stron kraju; był to jednak zarazem niesłychany dziwak i fantasta. Mogła go więc nagle jakaś mucha ukąsić, lecz równie dobrze to jego zachowanie mogło mieć poważniejsze podstawy. Przytym, po baczniejszym odczytaniu listu brata, Ignacego uderzył końcowy ustęp o możliwości zmiany miejsca pobytu i potrzebne uregulowanie działu majątkowego, od czego Wiktor, pomimo nalegań z jego strony, stale dotychczas się wykręcał.

Wypływał stąd jeden wniosek, że Wiktor ma jakieś nowe plany, ale jakie: czy w stronę szybkiego skręcenia karku, czy w stronę ustatkowania się. Tu właśnie Ignacy gubił się w wątpliwościach i domyślał się, że Postański coś wie, ale nie chce powiedzieć.

— Dlaczego? — pytał się pan Ignacy, i ilekroć wpadały mu w oczy leżące na biurku różowe brzęczki, wielkie jak kule armatnie, zatrzymywał się i machinalnie wpatrywał się w jabłka, jakby w ich wnętrzu siedziała odpowiedź.

Z tych medytacji wyrwało go zjawienie się silnie potarganego Stefanka, który wyrycytował jednym tchem:

— Państwo jadą! Pani prosi!

— Jadą! — powtórzył radośnie pan Ignacy — to zapal lampy, nastawiaj samowar — wydawał spóźnione rozkazy, pośpiesznie mijając oświetlone pokoje.

Na ganku zastał żonę.

— Jadą? — zapytał.

— Z pewnością! nasz dzwonek — odparła Belcia.

— Jakoś nie słychać.

— Bo są na grobli, czekaj, zaraz! — i oboje zaczęli nasłuchiwać.

Cicho było, jakiś pies tylko ujadł we wsi zaciekle, a około zabudowań folwarcznych świstał wartownik.

Po chwili jednak zabełkotał kilkakrotnie dzwonek, zajęczał szybszym tępem, znów uciał pod bramą i rozpląkał się rytmicznie w topolowej alei wjazdowej.

Pan Ignacy zbiegł ze schodów i jął się wpatrywać w mroczną, długą perspektywę drzew. Zamajaczył jakiś duży cień, wkrótce wynurzyły się cztery kiwające się łby końskie, Fedz pisnął — prru! i powóz zatrzymał się przed gankiem.

— Ha, jesteście! — otwierając drzwiczki, wołał pan Ignacy.

— Zaraz, tylko z budy się wygramolę — zabrzmiał wesoły głos Wiktora i za moment dwie wysokie postacie jęły się wodzić za bary wśród mlaskania pocałunków.

— Dość, dość, bo będzie słota! — upominała ich Belcia.

Na co Wiktor, puszczając brata, odezwał się zamasyście:

— Ja ci tu dam słotę — i jął ścisnąć bratową; poczym, zwracając się do zapomnianej Maryni, prezentował: — oto moja baba! to — Belladonka, wcale nieszpette i nietrujące ziółko, to jej podpora, Ignacy — dajcie sobie wszyscy buzi, ot, tak! i ty, Ignac — eh, niedołęgo, korzystaj, póki ciemno.

— Bardzo radz! jesteśmy — mruczał nieco wzruszony Ignacy, całując Marynię w rękę.

A Wiktor trzepał dalej:

— Czekaście, to jeszcze nie cała chudoba, oto w tym tobołku — tu wyjął ostrożnie z powozu spore zawiniątko — mieści się mój dalszy ciąg; mówcie, co mam zrobić z tym fantem, co śpi w moim ręku?

— A, to już moja rzecz! — odebrała mu pani Izabela Ignasia i, nie pozwalając się wyręczyć Maryni, pobiegła z nią razem na piętro, gdzie przygotowała dla Wiktorstwa pokoje.

Wiktor tymczasem starał się uwolnić dłoń z rąk starego Jana i powtarzał:

— Ja nie biskup!

Ale stary sługa pocałował go w rękę i rzekł:

— Panicz już nie panicz, ale pan dietny.

— Et! lepiej dajcie się mi gdzie umyć — odparł Wiktor, prostując na schodach zeszywniałe członki.

— Chodź, chodź do mnie! — wiódł go pan Ignacy, ściskając co chwila za łokieć, a w gabinecie, przyglądając się bratu, rzekł:

— Wiesz, zmizerniałeś i jakbyś się postarzał, prawdziwy "pater familias".

Wiktor rzeczywiście przy swoim wzroście wyglądał trochę szczupło, a twarz miał nad wiek starą i jakby steraną. Długie wąsy, spuszczone ku silnie wystającej szczecinowatej bródce, nadawały jego energicznym rysom wyraz dojrzałości, a nadto znużenia. Gruba, zrosnięta prosta linja brwi odcinała sklepione, nisko zarośnięte czoło od zapadłych jam oczu, które były pełne kurzu i zdawały się przez to jeszcze większe, przepaściste i trochę ponure.

— A tak, zdarłem się cokolwiek w ostatnich czasach — odparł Wiktor i począł mydlić długie piszczele grubo związanych w łokciu, kosmatych rąk, żyłastych i pozbawionych tłuszczu kompletnie. Poczym, wśród pryskania i chlupania wody, którą oblewał się z widoczną przyjemnością, jął zasypywać brata pytaniami, przeskakując z przedmiotu na przedmiot.

— A cóż tam Postański? — zagadnął w pewnym miejscu — zawsze taki sam i trzyma się dobrze?

— Jak mur!

— I prowadzicie stale handel zamienny?

— Zawsze, i dziś właśnie... — tu się pan Ignacy zaciął, bo mu się wydało, że niedelikatnie zaczynać odrazu badanie, zwłaszcza, że mógł wejść w grę ożenek Wiktora, rzecz, bądź co bądź, nieco drażliwa.

— Wróg ludzi, a zwłaszcza pięknej połowy rodu, oberwę napewno za Marynię... — zaśmiał się Wiktor.

— Prawda! — stuknął się w łysiejące ciemie uradowany pan Ignacy — dobrze mówisz, wróg kobiet... zapomniałem... Jużes oberwał, a właściwie mnie się najwięcej dostało, bo mu pokazałem twój list...

I w przypiływie nowej fali czułości uściskał mokrego jeszcze brata, napędzając go:

— Chodźmy, już chodźmy, bo tam Belcia z kolacją....

W korytarzu spotkali się z paniami, które zaraz objawiły wszem wobec, że Ignas tylko raz otworzył oczki i zaraz zasnął. Marynia zaś zdążyła po drodze zakomunikować półgłosem, że ma

takie łódeczko z barjerką, i wypaść, choćby chciał, nie może.

— Na co Wiktor, jakby chcąc ją zawstydzić, odpowiedział:

— A widzisz!

Poczym ujął Belcię za obie ręce i, podprowadzając ją pod światło, mówił:

— No, pokaż mi się! Zawsze, jak łania, bój się boga, kobieto, kiedy ty się postarzejesz? i to ma być matka czworga dzieci? Ignas, przyznaj się, to ty chyba rodzisz....

— I wszystko, w dodatku całe gospodarstwo na jej głowie — dodał tonem uznania pan Ignacy.

— Widzę, nawet, zdaje się, twoje rękopisy — zaśmiał się Wiktor.

— Papiloty! — jęknęła Belcia, chwytając się za grzywkę, i wybiegła z jadalni.

Drobny ten wypadek odrazu wywrócił do góry nogami cały program przyjęcia, któremu pani Izabela pragnęła nadać ton trochę uroczysty. Wobec tego, co zaszło, odrzuciła sama z trudem piasnowaną sztywność, zupełnie zresztą niezgodną z jej usposobieniem, i przy kolacji zapanowała niczym niehamowana swoboda i wesołość, w której prześcigali się z Wiktorem. Marynia czuła się z początku trochę obcą i brała we wszystkim udział biernego, ale wrażliwego słuchacza. Wkrótce jednak lekkie zażenowanie, jakie jej sprawiały przelotne lustrujące spojrzenia państwa Ignacostwa, złączyło się z uczuciem ufności do tych ludzi, którzy najwidoczniej nie doszukiwali się w niej złego, a badali więcej przez życzliwość dla jej męża, niż przez próżną ciekawość.

Rozumiała to, robiło się jej coraz cieplej i u-

śmiechała się do nich mimowoli tym swoim trochę bolesnym zgięciem ust, rozjaśnionym wyrazem szarych źrenic, omglonych jakby niewyschlą łzą, i pochyleniami smukłej postawy, które zdawały się mówić: — Tak, tak — przyjmijcie mnie do swego gniazda, bo jego kocham niemniej niż wy.

Pomna przytym słów Wiktora, nie chcąc zrobić pani Izabeli najmniejszej przykrości, usiłowała pochłonać całe kurczę, które za namową i przykładem gospodyni, odłożywszy nóż, operowała delikatnymi palcami. A Wiktor, znając jej drobny apetyt, uśmiechnął się szelmosko i przez cały stół zachęcał, by jeszcze dobrała.

Szcześnie Belcia, przyznając w duchu, że na takie zamorzone chucherko tymczasem i tego dość, nie nacierała zbyt ostro, odgrazając się zato na przyszłość.

Po kurczętach, Jan, z mocno filuterną miną, zmienił Wiktorowi talerz i, podając owiniętą w serwetę sporą rynienkę, szepnął, pewny efektu:

— Kapusta faszerowana!...

Wiktor aż podskoczył na krześle:

— Parzybroda! niepodobna, i może odgrzewana?

— Naturalnie, — tryumfującym głosem potwierdziła Belcia i mrugnęła na Stefanka, który stęknął, wysadził korek i postawił na stole dymiącą butelkę.

Wiktor spojrział na markę i zawołał:

— A co? Haberbusz! jak boga kocham, widzisz Maryś, istne czary, skąd wyście to wyrwali?

— A cóż ty myślisz — promieniała Belcia — że to tylko tam w waszych knajpach jest ludzkie piwo, ma się rozumieć, podrabiane. Otóż u mnie,

w moim takim Pacanowie, będziesz miał to codzień i "a discretion".

— Nie w Pacanowie, ale chyba w Kanie Galilejskiej, — poprawił ją Wiktor, — ja nic nie myślę i nie każ mi myśleć w tak uroczystej chwili, pozwól mi w kontemplacji spożyć twoje dary...

— Dobrze... tylko nie przekładaj, a bierz z rynką.

— Naturalnie.

— Ależ, Wiktorze! na noc.... — wtrącił pan Ignacy.

— Co tam na noc, od przybytku głowa nie boli — zaprotestowała Belcia.

— To też mi o głowę nie chodzi — ugryzł się w język pan Ignacy i wzrokiem przeprosił uśmiechniętą Marynię.

A tymczasem Wiktor, udając smakosza, zawiązał ulubioną potrawę i powtarzał naprzemian:

— Palce lizać! Klękajcie narody! trzęsą mi się uszy, co? Mówicie, że nie... Stefanek, stawaj za mną i trzęś mi ucho... słyszysz!

Ale Stefanek parsknął jeno w kułak ku zgorzeniu Jana.

Natomiast pani Izabela ofiarowała się go zastąpić i uczyniła to tak energicznie, że Wiktor porwał się z miejsca i rycząc jak lew: zemsta! — począł gonić Belcię naokoło stołu.

— Warjaty, pustaki, co robicie? dzieci śpią — mitygował pan Ignacy.

— Prawda, dzieci! — chwytając się za głowę powtórzył Wiktor — na śmierć zapomniałem; wstydziłabyś się, Belciu, ja tam mam jednego takiego korniszona — to się nie liczy; ale ty —

całe stadko... Matrona!... — i tak zagadując, chwycił ją znienacka wpół i pocałował w same usta.

— Zdrajca, Judasz! — wyrywała się Belcia i spoważniała nagle. Zwinęła roztrzęsione złoto włosów. — Chodźmy, już druga! — dodała po chwili milczenia, spoglądając na staroświecki zegar i mrugając powiekami Marynię.

— Pani — poprawiła się — bratowa zmęczona, ja zaprowadzę.

I wyszły obie.

Panowie jeszcze pozostali. Wiktor kładł się wygodnie później, a dziś rozochocił się na dobre i nie chciało mu się spać zupełnie.

Pan Ignacy zato zaczął przecierać tak często binokle, że Wiktor, ulitowawszy się, pożegnał go i udał się na tak zwaną górkę.

Prowadzące na nią wewnętrzne schodki drewniane były znacznie starsze od Wiktora. Chwiejne ich stopnie zapiszczały, jak niegdyś, uginając się pod jego nogami, a wątku zgrzybiała poręcz zadrgała mu w ręku, jak coś żywego.

— Nie zjechałbym już wtedy — pomyślał Wiktor, wodząc pieszczotliwie dłonią po gładkim drzewie, które wyślizgały jego dziecinne ręce i lędźwie w tych rozkosznych, napowietrznych podłożach.

— Spróbuj, wytrzymam! — zadygotała szybciej poręcz. Ale on już był w wąskim korytarzyku.

Minął dwoje drzwi i otworzył trzecie do małego pokoiku. Przywitała go spłótniałym uśmiechem stara już jutowa kanapka, wygnięciona od kozłów, a później od leżenia i niecierpliwego rzućcia się z ciężką książką.

Mrugnęło doń życzliwie drobnymi szybami podłużne okienko; więc zbliżył się, odrzucił zaszczyпки i pchnął je na zewnątrz.

Zadźwięczały szkiełka znajomym głosem, zachybotały się połupane ramy i skrzypnąwszy w zardzewiałych zawiasach, wykrzywiając się nieco, zawisły w wyznaczonym dla siebie kawałku przestrzeni.

Wiktor oparł się o futrynę i patrzył. Księżyc już nie było, ale zato jeszcze świetniej rozżłociły się łańcuchy gwiazd na sklepionym szafirze, rozplynęły się zwieszone obłoczki, niby rozproszone stado łabędzi, i zadymił się srebrną kurzawą lśniący szlak.

Nieopodał, narówni z oknem, bujały się lekko czubate korony dwu rozłożystych lip, w których potężnych konarach, zdawało się, aniołowie nocy obrali sobie dzisiaj wygodne siedlisko.

Wiktor objął rozkochanym okiem te wierzchołki, jak czułym pocałunkiem, i minął, zapuszczając się w tak zwaną ciemną aleję, gdzie pod arkadami pochyłonych grabów płynęła teraz czarna lawa mroku, wyzuta zupełnie ze światła.

Ale on widział tam wszystko: i omszałą ławkę z ciosanego kamienia, na którym w pocie czoła wydłubał kozikiem swe imię, i wielkie ślimaki z wystawionymi rogami, dźwigające kręte skorupy po śladach śluzu, i małe pliszki, kiwające mu łaskawie ogonkiem, na znak, że się jego soli nic a nic nie boją i może sobie iść spokojnie. Więc szedł za ich biegiem przez krzaki i burzany, aż tam, gdzie odkrył w łopuchach, bodziakach i wysokich pokrzywach gaik zdziczałych malin, obsypanych drobną pachnącą jagodą, a potym ścieżynę.

zwalaną sokiemi słodkich morw, gdzie po suchych gałęziach skaczą wielkie drozdy i krzykliwe złotobrzuche wilgi. Przez dziurę w płocie wy dostał się na łąkę, okrytą obficie żółtym błyszczącym kwieciami i poczuł u stóp ciche drżenie fal Śniwody. Włot się rozebrał i skoczył w znaną sobie głęboką głowę w dół, na szczupaka, aż utknął końcem palców w dawny swój ślad, odcisnięty na miękkim mule; wnet go wyniosła tasama fala do pół ciała na powierzchnię. Bijąc przed sobą rękami, jak pies, dotarł do brzegu, ściągnął z piasku wąską łódeczkę "duszgubkę", wywrócił ją do góry dnem i płynąc na niej okrakiem, był pewny, że dosiada krokodyla. Potym zapędził się za chytrymi nurkami aż pod wierzchowiny stawu, posilił się wcale smacznym sercem tataraku, który służy jako szabla i jako piszczałka, i uzbrojony tym orężem, jął się podkradać po trzęsących się kępach, pełnych oparzelisk i tłustych tęczwowych plam, do stada cyranek, żerującego na wielkiej haławie, pociągniętej niby spłowiałym sukniem, raską zieloną i sprężystym wodorostem, jak gałązkami sośniny, których ani rusz wyciągnąć, bo trzymają się razem i same ciągną do siebie.

Przedostał się na drugi brzeg, wysoki i lesisty, gdzie na suchym dębie kwiliły rdzawe jastrzębki, a nad łożami uwijały się kłótlive sroki i czubate śmieszne dudki.

Wysuszył się i spoczął w skleconym naprędcie wygwamie z chróstu i paproci, wielkich, jak parasol Robinsona Kruzoe. Schował na wszelki wypadek parę żołędzi w kieszeń, wyciął grubą łozinę, uwiązał szpagat, dar starej niani, dawno już śpiącej w mogile, i miał czterokonny bat. Wnet

go zmienił na łuk i, wygrywając na prężącej się cięciwie jakiś przedziwny hymn, wszedł tryumfalnie do sadu. Tam wybrał co najmniejsze jabłuszko dziczki, nasadził na koniec śmigłego patyczka i tę najlepszą strzałę wypuścił co sił wysoko, wysoko. Szła prosto w górę, jak świeca, i utkwiała na moment w błękicie, a on chybotął się z nią razem w zenicie nieba, pod okiem słońca. Zeszła nań owa rzadka, godzina cudu, kiedy ta wewnętrzna żrenica, wiecznie otwarta i zaoogniona od patrzenia, naraz ślepnie za jedną łą niewysłowionej słodyczy, a ostry nurt życia, rwący się w nicość i grób, staje w biegu i rozlewną falą cicho cofa się wstecz aż do mokrej krynicy dzieciństwa, w którą i każdy kwiat chętnie strąca swe barwne płatki zapachu, i brzoza jasny liść i kalina korale; nad którą wąż się na skrzydłach ze szkła i tęczy łąki błękitne, gdzie się zlatują ufnie polną ptaszęta, gdzie nawskrós się przezierają błędny obłok niebieski, zapamiętywa się słońce wysokie, i złota gwiazda kocha się w swoim odbiciu — a która nic nie wie, ani o sobie, ani o swym mulistym dnie, ani o srebrnym źródle, co łąka w nim ustawicznie. Trwając w tym zachwyceniu, Wiktor obchodził labiryntami wspomnień swe stare gniazdo, a gdzie nie dotarł, stamtąd bratni wiatr sam śpieszył z wieścią ku niemu i brał w rozdrżane wzruszeniem skrzydła tę głowę, którą na swych porywczych piersiach dygocących szeroko, wieki całe kołysał świetnym bóstwom na chwałę, ludziom na ofiarę.

II.

STARE DZIEJE.

Wkrótce po wojnie francusko-pruskiej w tym samym roku, w którym pan Ignacy objął po śmierci ojca gospodarstwo, a dwunastoletni Wiktorzek zdobył promocję do trzeciej klasy, w upalny czerwcowy dzień zajechał na klonowski dziedziniec chłopski wóz, obity łubem.

Z wasągą wysiadł siwobrody mężczyzna, olbrzymiego wzrostu, tęgiej budowy, w podróżnym kitlu, i trzcinową laską torował sobie drogę wśród ujadającej psiarni. W sieniach zetknął się z Wiktorkiem, który właśnie pędził co sił zobaczyć, co się stało i uspokoić rozżarte psy.

Chłopak wlot objął ciekawym wzrokiem całą postać gościa, od długich białych włosów do zakurzonych nosów obuwia i zauważył odrazu, że ten stary pan ma pod wypukłymi przekrwawionymi oczyma jakby obwisłe torebki, a co ważniejsza od jednej z nich przez całą długość policzka głęboką bliznę. Ten liljowo-czerwony znak silnie zaintrygował Wiktorka, to też, zadzierając czarną główkę, nie spuszczał zeń bystrych oczu. Siwy pan również przyglądał się badawczo chłopcu i w końcu spytał:

— Jak ci na imię?

— Wiktor! — zabrzmiała śmiała odpowiedź.

— I imię to samo i wykapany konterfekt! — szepnął gość, poczym rzekł głośno:

— Brat jest? mam do niego interes.

Wiktorrek wpadł do gabinetu Ignacego i, nagląc do pośpiechu, opisywał mu po drodze wygląd przybysza, dopytując się: kto to?

Ale pan Ignacy nie wiedział, a zobaczywszy gościa, nie poznał go również.

— Postański jestem — przypomniał się starzec.

— Ach, to pan! przepraszam... w pierwszej chwili... — Ściskając oburącz potężną prawicę, począł się usprawiedliwiać pan Ignacy, nieco zażenowany i jakby wzruszony.

A Wiktorrek aż drgnął na dźwięk tylekroć słyszanego nazwiska; błyskawicznie przeleciały mu przez głowę i okute kufry na strychu, których niewolnio było ruszać, bo są Postańskiego, i opuszczony dworek pod lasem, i moc innych rzeczy, przez co doktor Postański stawał się dlań mistyczną postacią, pełną tajemniczego uroku.

To też kiedy Postański, zabrawszy kufry i kopertę z pieniędzmi, na której dłonią ojca nieboszczyka było nakreślone jego imię, odjechał, a przedtem na zapytanie Ignacego — "cięcie niemieckie?" — odparł sucho: — "nie francuskie" — Wiktorrek nie mógł się poprostu uspokoić; zasypywał brata pytaniami, na które ten najczęściej nie umiał odpowiedzieć, i jemu bowiem osoba Postańskiego była przeważnie znaną tylko z dorywczych opowiadań ojca. Wiedział więc, że Postański młodzieniaszkiem walczył przy boku ich

dziada, Wiktora, przed czterdziestu z górą laty. Dziad zginął na walach, a Postański emigrował, skutkiem czego ogromny rodowy majątek — całe Smutnińce, Cmentarki, Gorycza i miasteczka Trupiec — poszedł w inne ręce; ocalały zaledwie Płaczki, przepisane na imię przyrodniej siostry, starej panny Salomei.

Po kilku latach Postański wrócił, ale bawił w kraju niedługo. Uregulowawszy jako tako interesy, wyjechał nad Nową; tam skończył fakultet medyczny i w charakterze doktora osiadł w Trupcu; leczyl i gospodarzył w resztkach majątku. Wkrótce jednak, rzuciwszy wszystko, pociągnął znowu na zachód.

Gdzie był, co robił? — tego nikt nie wiedział dokładnie, przypuszczano nawet, że zginął.

W rezultacie diabli wzięli Płaczki; a z całej fortuny Postańskich pozostały jedynie w ręku panny Salomei Samomęki, mały trzystumorgowy folwarczek, głupstewko, darowane jej kiedyś na imieniny przez ojczyma; ostatni zaś potomek świetnego rodu, pan Michał, powędrował dalej, ale tym razem na północ.

W tych czasach właśnie piętnastoletni Ignacy miał sposobność w domu rodziców oglądać Postańskiego, ale był to wówczas zaledwie szpakowaty blondyn, w pełni sił, nie ten dzisiejszy sędziwy starzec ze świeżą blizną twarzy, którego nie mógł poznać.

Pannie Salomei, przybitej losem brata, źle się wiodło w Samomękach; gospodarowała niedołążnie, nie umiała zastosować się do nowych warunków, wpadła w długi, a gdy się spalił w dodatku dom mieszkalny i zabudowania, ruina zdawała

się nieuchronną. Na szczęście, jak istna opatrność, po pięcioletniej nieobecności zjawił się Postański, korzystając skwapliwie z możliwości powrotu, i przywiózł nadto spory kawałek grosza. Wziął się po swojemu energicznie do ratowania sytuacji; pospłacał wszystkie długi, chatę pobereźnika przerobił na dworek, osadził w nim siostrę, pola puścił w dzierżawę, i zabezpieczywszy w ten sposób schorowanej staruszce byt skromny, lecz spokojny, sam pod pozorem ratowania zdrowia, za paszportem wyjechał za granicę do klinik paryskich.

Tam zaskoczyła go wojna. I gdy tak biły pruskie bębny i armaty ostry capstrzyk pod murami Paryża, a pan Michał łowił szczury po kanałach, to znów latał zdezelowany mundurek gwardzisty — w Samomękach działo się nie o wiele lepiej. Panna Salomea zasnęła pewnego razu tak smacznym snem w staroświeckim fotelu, że się jej nikt nie mógł dobudzić; dzierżawca zerwał kontrakt, i wszystko zostało wydane na pastwę chłopów, którzy w orywali się w grunta, niszczyli ogródek i lasek, rozgradzali płoty, korzystając z nadarzonej sposobności gorliwie, bez pardonu.

Próżno ojciec pana Ignacego, któremu Postański powierzył opiekę nad siostrą, protestował z całej siły. Nie posiadając dostatecznych pełnomocnictw prawnych, niewiele mógł wskórać. Czuł się przytym chorym, wyprzedał więc co się dało, pamiątkowe rzeczy dołączył do zostawionych mu niegdyś w depozycie kufrów, opłacił zaległe podatki, resztę pieniędzy zapieczętował w kopertę, domek zabił i w przedśmiertnych rozmowach ze

starszym synem prosił go nieraz i usilnie o porobienie starań w celu odszukania Postańskiego.

Pan Ignacy który miał sporo swej roboty, odkładał tę sprawę z dnia na dzień, aż się oto Postański sam nagle zjawił po odbiór sukcesji i depozytów. Taki przynajmniej charakter nadał swej pierwszej wizycie, co nawet ubodło młodego właściciela Klonowa, zwłaszcza, że poczuwał się nieco do winy.

W rezultacie jednak był rad, że się stary tak czy owak odnalazł, bo mu kłopot nielada spadł z karku, a miał ich jako niedoświadczony gospodarz aż nadto.

Natomiast Wiktorek formalnie rozgorączkował się.

Stary wojak, i to z blizną, nie dawał mu spokoju; stawał przed nim w dzień, śnił mu się w nocy we wszystkich rodzajach zbroi, jakie kiedykolwiek widział na obrazkach, aż w końcu chłopiec nie wytrzymał, zerwał się raniutko, okulbaczył kasztankę i pojechał do Samomek zobaczyć, co się tam teraz dzieje?

Samomeki leżały o osiem wiorst od Klonowa w pobliżu Trupca, ale na przełaj przez pola i łąki było znacznie bliżej, to też Wiktorek w pół godziny znalazł się u celu.

Wszystkie okna w dworku, a właściwie ramy z resztkami szyb, były naocześnie otwarte. Po zarosłym trawą i burzanami dziedzińcu, wśród smutnych resztek drzewek, obłupionych z kory i gałęzi, od kasztanu do kasztanu chodził miarowym żołnierskim krokiem siwy starzec, bez czapki, w szarym płóciennym ubraniu; ręce miał splecione z tyłu, głowę pochyloną w dół i coś mamrotał pół-

głosem; zdawał się być tak pochłonięty tą sprawą, że nie zwrócił ani razu uwagi na małego jeźdźca, który defilował wolną drogą i śledził go ciekawie.

Wiktorek kilkakrotnie przejechał się tam i na powrót, dostawał napadów kaszlu, chrząkał, wycierał nos głośno, aż w końcu zniechęcony i trochę rozżalony pojechał do domu i zakomunikował bratu, że pan Postański chodzi ciągle po podwórku, jak wartownik, i coś do siebie mruczy, jakby się uczył słówek łacińskich.

— Zdziwaczał stary do reszty! — zdecydował pan Ignacy.

A Wikorkowi zrobiło się smutno, jak gdyby go spotkał wielki zawód.

W parę dni jednak zjawił się znowu w Kłownowie Postański w chłopskim słomianym kapeluszu, z grubym buckiem w ręku.

Ujrzawszy go, Wiktorek puścił się na spotkanie, jak strzała, i szurgnąwszy przed nim nogami, spytał:

— Pan do Ignacego ma interes? Ignacy w polu, ale ja go zaraz sprowadzę.

— Nie! do ciebie, mój zuchu! — odparł wesoło stary.

Wiktorkowi zadrgało serce, aż się zaczerwienił z radości, zdumienia i niepokoju.

— A co takiego? — rzekł, łapiąc oddech we wzruszone piersi.

— Czy uczyłeś się już geografji? — spytał doktor, sadowiąc się na schodach kamiennego ganku.

— A jakże... Afryka, Ameryka, Australja, Azja, skończyliśmy właśnie.

— Europa?

— Dopiero w trzeciej klasie.

— No, ale geografję polską znasz, co?

— A to osobno! pan Małowski mnie uczy — odparł Wiktor, trochę nierad z obrotu rozmowy, gdyż spodziewał się czegoś zupełnie innego.

— A masz tę książkę?

— Ja nie z książki, ale z kajetu, bo mi pan Małowski dyktował.

— Pokaż ten zeszyt!

Wiktor popędził do swego pokoiku na górkę, w śpiesznych poszukiwaniach przewrócił kałamarz, zjechał na dół na poręczu i myśląc: Boże, co to będzie? — wręczył doktorowi zaklepany zeszyt.

Postański przewrócił kilka kartek i rzekł:

— Ależ bazgrzesz jak kura patykiem, czytajże za to sam!

— Z początku? — szepnął Wiktor, strapiiony niepoehlebną opinią.

— Z początku!

— "Nizina polska" — odchrząknął chłopak. — "Kraina ta stanowi przejście z Europy środkowej do wschodniej, z niziny niemieckiej do rosyjskiej podobnie jak nizina Flandryjska z niziny niemieckiej do francuskiej". — Pan był w tych wszystkich nizinach? — spytał nagle tonem twierdzenia.

— Byłem, wał dalej.

— "Stąd obie te krainy były polami krwawych zapasów między sąsiednimi narodami: "Grunwald" — dobitnie z ożywieniem, "Waterloo" — ciszej i smutniej, bo mu żal było Napoleona — wymówił Wiktor i znów spytał:

— I tam się pan bil? prawda!

— Skąd znowu! Zastanów się! głupstwa pleciesz!

— A bo to też Ignacy nagadał mi, że pan bardzo stary — tłumaczył się zawstydzony Wiktorek.

— W każdym razie nie tak bardzo!... — uśmiechnął się doktor, a chłopak czytał dalej:

— "Południową grań stanowi tutaj środkowa część łuku Karpat, północną — również łukowaty brzeg Bałtyku. Na wschodzie i zachodzie granice, jak wogóle w krajach przejściowych, niewyraźne".

— O tak!... — mruknął doktor.

— Co pan mówi? — odparł Wiktorek.

Doktor milczał z surową twarzą, zapatrzony w przestrzeń.

— Nic! — odparł po chwili — dobrego masz nauczyciela!... Ale gdzie tu jest o mieszkańcach?

Wiktorek przerzucił kilka kartek i znalazł rozdział pod tytułem: "Człowiek".

— "Człowiek" — przeczytał. — "Co do pochodzenia, to polacy stanowią więcej, niż połowę ludności, w pozostałej części przeważają Niemcy, a za nimi idą Żydzi i pokrewni Polakom Litwini. Ogółem około 18 milionów ludności na obszarze pięciu i pół tysiąca mil kwadratowych, czyli gęstość zaludnienia dość jednostajnie rozłożona, przedstawia około 3 tysięcy na jedną milę..."

— Dość — przerwał doktor — będziemy liczyli trzy i pół tysiąca. A teraz słuchaj! masz tu notatnik i ołówek i rozważ mi takie zadanie: "Jeżeli na trzy i pół tysiąca ludzi przypada mila

kwadratowa, to ile sążni kwadratowych wypadnie na jednego człowieka.

Wiktorkowi przeciągnęła się mina.

— Zrozumiałeś? potrafisz? — dodał doktor.

— Potrafić, potrafię — odparł nachmurzony Wiktor, nierad, że go zmuszają na wakacjach rozwiązywać jakieś głupie zadanie, ale protestować jeszcze nie śmiał.

— Miła 7 wiorst — mrucał — wiorsta 500 sążni, 7-miu 7 — 49, 500 razy 500... proszę pana — zawołał nagle — strasznie duże mnożenie!

— Więc nie umiesz, to daj, skończ!

— Nie, ja sam — odparł Wiktor, cofając notes, i robił dalej. — Dzieli się, proszę pana! — krzyknął trymfując — jak drut, "wychodzi" bez ostatka.

— Bez czego? — skrzywił się doktor.

— Bez reszty.

— Ile wypada?

— Także trzy tysiące pięćset.

— Co ty mówisz, nie może być — złapał notes doktor, — chybaś się omylił? To byłoby dziwne, dziwne! — powtórzył.

— Trzeba jeszcze zrobić powierkę — wtrącił Wiktor.

Zrobiona wspólnymi siłami próba stwierdziła wierność rezultatu.

— No, no! kręcił głową doktor — trzy tysiące pięćset, jak obszył, to będzie prawie jedna i pół desiatyny, trzy morgi... wystarczy! — dodał sążeń... ale mogę się skurczyć, nie masz tu gdzie sążnia? — zwrócił się do Wiktor.

— Jest na stajni, ja pana zaprowadzę.

W stajni na drzwiach Wiktor wskazał dok-

torowi wrąbek. Doktor stanął na progu, przeciągnął rękę po głowie, palce jego oparły się na wyścięciu. — Dobrze — rzekł, wyjął szpagat, zdjął z pomocą Wiktora miarę i ujawszy chłopca pod brodę, mówił:

— A możebyś mi tak jeszcze, urwipolciu, pomógł wytknąć rezultat swego zadania na polu, bo samemu ciężko.

— Dziś? kiedy? — zawołał Wiktorek — i aż mu się oczy zaświeciły do tej roboty.

— Nie, jutro! Ech, ty wisusie! — Tu doktor uszczypnął go szorstkimi palcami w jędrny policzek i rzekł:

— Do widzenia!

Chłopak mimowoli pocałował starca w rękę i długo ścigał oczyma znikającą szybko w oddaleniu barczystą postać.

Nazajutrz raniutko Wiktorek stawiał się w Samomękach; miał nadzieję obudzić doktora, ale się zawiódł, zastał go bowiem na podwórzu z siekierą w ręku, którą obciosowywał drewniane kołki; tuż obok leżał długi, pięciosążny sznur.

Wiktor chciał odrazu brać się do roboty, ale Postański kazał mu wprzód zwolnić popręgi u siodelka i wyjąć kasztance wędzidło.

— Koń męczy się w siodle — mówił — nie dbasz o wierzchowca, a on cię nosi; przytym lichy jeździsz, zrywasz pysk, garbisz się, jak kozak, a łokcie bełtają ci się jak u żyda; ładniebyś sarżował: z pieca na łeb!...

— Bo mnie niczego porządnego nie uczą — bąknął, łykając łzy, dotknięty w swej ambicji chłopak.

— No, no! tylko się nie mazgaj, bo to najgor-

sze... Ja ci potym pokażę, a teraz bierz kołki, łańcuch i marsz! — zburczał go doktor.

Gdy odmierzono od środka domu długość sznurą, Postański polecił Wiktorkowi zatknąć kołek w ziemię, wbił go sam mocniej obuchem i kazał iść dalej; w ten sposób wymierzili w poprzek po 25 sążni w każdą stronę i po 35 sążni wzdłuż.

Potym wytknęli kołkami, rychtując pod sznur boki prostokątu, w którego środku znalazł się dworek. Granice wypadły dość wygodnie: jedna strona zajęła polne grusze, druga przeszła w pobliżu źródelka, trzecia ciągnęła się wzdłuż drogi, czwarta tylko nie posiadała naturalnego żadnego znaku.

Gdyby przesunąć ją o parę łokci, dotknęłaby olbrzymiego polnego kamienia, i Wiktorek chciał koniecznie włączyć do obejścia "tę skałę", na której projektował wystawić "morską latarnię", ale doktor sprzeciwił się.

Kiedy zaś chłopak wypytywał: dlaczego nie chce? — starzec rzekł ostro: — Nie nudź! — a po chwili począł swoim zwyczajem głośno myśleć:

— Ile wypadnie na głowę, tyle biorę, bom również człowiek, a ziemia dzieli się tak dziwnie składnie, jakby Bóg... Tu — ciągnął, wskazując kasztany — możnaby założyć sadek, tu... będą zagony i kartofle...

— A gdzie inspekta? — przerwał Wiktorek.

— Nie będzie wcale!

— To i melonów nie będzie?

— Nie! — odparł doktor i, idąc przez istne klomby łopuchów i bożniku, przez gąszcze piołunów i pokrzywy, w których Wiktorek ginął zupełnie, mruczał:

— Nie! jedną łopatą trudno wieś zrobić, trza będzie na początek kupić pług....

— To i konie także? — trąc bąble na poparzonych rękach, pochwycił radośnie Wiktorek.

— I konie — pisał w notesie doktor — szleje i brona, wóz drabiniasty, widły, kosa, brusek, motyka, piła....

— A bat, proszę pana!

— Niech będzie bat!

— Czterokonny, prawda? z trzaskawką!

— Nie przeszkadzaj! — mruknął doktor i notował dalej.

Wiktorek przycichł na chwilę.

— A gdzie stajnia! — wyrwał się nagle.

— Prawda, stajnia — i począł oglądać się naokoło. — To nic! — dodał po chwili, wskazując na dom — rozbierze się przybudówkę i będzie stajnia; roboty nie zbraknie, dość. To i dobrze...

— O, tak, dość! — powtórzył z mocnym przekonaniem Wiktorek — ale się zrobi, fiu, fiu, uradzimy!

— Jak to uradzimy?

— Bo ja będę panu pomagał.

— A brat ci pozwolił?

— Ignacy! — powiedział dość lekko Wiktorek. — Dostałem promocję i mogę sobie robić na wakacjach, co mi się podoba, abym się tylko na obiad nie spóźniał, bo to u nas obiad....

— Czekajno — przerwał doktor — zdaje się wypada w tych czasach jarmark w Trupcu?

— A tak, na Piotra i Pawła, pojutrze, straszny jarmark — trzepał Wiktorek. — Świń, prosz pana, co niemiara, kwik, że nic nie słyszać, w przeszłym roku była menażerja i psi cyrk; mały jeździły na

pułdach, słoń grał trąbą, taką długą, jak kiszka, z palcem, na harmonji; kozioł stawał na butelce, w zielonej skrzyni aligator z nad Nilu, zdaje się zdechły, ale ogromny, żółw — miał trzysta lat.... Pojedziemy, ja z panem, dobrze?

— Dobrze, dobrze, ale wracaj na obiad, bo już południe — rzekł doktor, spoglądając na niebo.

Wiktorrek wgramolił się z pieńka na kasztankę, ale po chwili zawrócił z drogi i przypomniał Postańskiemu, że ma go uczyć konnej jazdy.

Postański podłużył mu strzemiona, kazał zebrać cugle w palcach lewej dłoni, wykręcił w odpowiedni sposób nogi, mocnym szturchańcem wyprostował mu grzbiet i przycisnął łokcie do żeber.

— No, teraz marsz! — huknął.

Wiktorrek ruszył kłusa i, nie zmieniając pozycji, choć mu było nadzwyczajnie niewygodnie, dojechał tak do domu.

Na trzeci dzień przed wieczorem z Trupca w stronę Samomek toczył się drabiniasty wóz, wyładowany narzędziami i gospodarczymi statkami; z tyłu biegła luzem kasztanka. Na przodku, na worku, wypchanym słomą, siedział doktor, a przy nim, jak szyszka przy dębie, rozradowany Wiktorrek, w charakterze furmanka. Dwa gniade, pękate, jak ogórki koniki, drobiły szparkiego truchta. Doktor milczał posępnie, a Wiktorrek, ćwikając batem w powietrzu, pokrzykiwał wesoło: "wio, hej!" i, zwracając do starca zarumienioną, ogorzałą twarzą, powtarzał:

— To chyba, panie, araby, bo idą jak wiatr!

-- Prędzej świnię! — cisnął przez zęby doktor.

Ale nie przekonał chłopca, który z fantazją

zajechał na dziedziniec i, przeginając się w tył, rozpaczliwym: "prrru!" zatrzymał konie.

Doktor wyładował wóz, pownosił zakupione narzędzia do chaty, potem usiadł na przyzbie i, spartłszy wielką głowę na potężnych dłoniach, zamyślił się głęboko, wpatrując się w spadający coraz niżej promienny krąg słońca w tabunach ognistych obłoków.

Wiktorek tymczasem kręcił się około koni, rwał garściami trawę, próbując karmić je z ręki, wycierał słomą kopyta, układał po arabsku kołtuniaste grzywy, w końcu podbiegł do doktora i rzekł:

— A możeby tak Beduina i Pustynię spróbować w pługu?

Doktor drgnął jak zbudzony.

— Co mówisz? — spytał.

— Żeby konie i pług wypróbować — powtórzył nieśmiało Wiktorek.

— A no! — rzekł po namyśle doktor — dobrze! Dziś jeszcze oboramy granicę — dodał żywiej. Założono konie do sochy. Postański ujął w żelazne dłonie capigi i zakomenderował:

— Bierz konia przy pysku i prowadź równo!

Wiktorkowi zaś przypomniał się zaraz Rzym, Romulus i Remus, cała ich historia.

Z tajemnym dreszczem ujął drżącą rączką uździenicę parcianą, a piwne źrenice stanęły mu w ogniu.

— Wio!... — krzyknął gromkim głosem doktor.

Konie wygięły grzbiety i ruszyły razem.

Posuwali się tak wolno w krwawych łunach zachodu. Lekki wiatr wichrzył czarne kędziory,

chłopca, który szedł, jak w zachwyceniu i targał białe włosy poważnego starca, o brązowej, marsowej twarzy rycerza.

Poczęły ciągnąć stadem gwarne kawki.

A Wiktorkowi zdawało się, że są to owe dra pieżne ptaki chwały, które wróżą jednemu z założycieli nowej stolicy świata panowanie, a drugiemu przedwczesny zgon, i serce tłukło mu się w pier siach porywczym tętnem.

W kamiennych rysach Postańskiego odbiło się również pewne wzruszenie.

W ciągu owych pamiętnych wakacji Wiktorek niemal całe dni spędzał w Samomękach i był nie raz doktorowi istotnie przydatny.

Postański posiadał olbrzymie siły i umiał zrobić prawie wszystko, ale są czynności, których samemu niepodobna wykonać, i tu dłonie dziecka stanowiły pomoc skuteczną.

Dla Wiktorka zaś, stawianie prawdziwej stajni, oranie naprawdę, karczowanie pni w "pampasach", pokrzywy, czyszczenie i pojenie arabów, a zwłaszcza sposobność udzielania rad i pomocy, stosunek z takim panem Postańskim, układanie z nim wspólnych planów na przyszłość, oglądanie rezultatów celowej, owocnej pracy — wszystko to posiadało urok niewymowny.

Zjawienie się doktora sprawiło niemałe wrażenie w okolicy, a własnoręczne urządzenie sadyby, dobrowolne wyrzeczenie się reszty majątku i cały oryginalny tryb życia rozpały ludzką ciekawość do ostatecznych granic.

Ponieważ jednak doktor wcale niedwuznacznie unikał wszelkich stosunków, mały Wiktorek stał się pastwą natrętnych badań, nawet zazdrości,

a w końcu złośliwych plotek, uwłaczających pamięci jego matki.

Na plotkach chłopiec się nie znał, zato inne badania sprawiły mu niezwykłą przyjemność. Powodowany jednak w części intuicyjną delikatnością, w części przez przekorę i swawolę, dumny ze swego stosunku ze starcem, stroił tajemniczą minę i zbywał wszelkie nagabywania kpinami lub wybrykami fantazji. W istocie był dyskretny, a mógł niejedno powiedzieć.

Jakkolwiek bowiem Postański nie miał zwyczaju wynurzać się przed nikim, a tymbardziej przed dzieckiem, nieraz odruchowo, zwykle w głośnych rozmyślaniach, odpowiadał na zapytania, którymi go Wiktorek stale zasypywał. I tak mimowoli przez niebaczne słowo, to znów przez giest dosadny uchylał rąbki przeszłości, zdradzał bunty swojej duszy, a wrażliwy chłopak jedno zrozumiał, drugiego się domyślił, trzecie tylko odczuł, a wszystko dobrze zapamiętał.

To też przez wakacji, mały Wiktorek zdobył klucz, który mu pozwolił, gdy wyrósł, odcyfrować i ocenić sprawiedliwie wszystkie okrzyczane dziwactwa starego tułacza, który, udręczony zwodniczym dniem życia, przyszedł w Samomękach strawić cichy wieczór w rozpamiętywaniu snów minionych, w myślach o ludzkiej przyszłości, zagadkach życia i śmierci.

Wiktor zachował na zawsze dużo przywiązania i szacunku dla Postańskiego; odwiedzał go przy każdej sposobności, choć stary odludek w rozmowie i obejściu był coraz cięższy, trudny i do bólu szorstki.

Nawet wobec Wiktora nie porzucał swego do-

tkliwego, gorzkiego tonu, pełnego niespodziewanych zwrotów do siebie, nieufnych kryjówek, to znów nagłych, wprost brutalnych wybuchów niby szczerości. Ton ten był po części nabytkiem osamotnienia, po części zaostrzonym przez koleje życia prawdziwym wyrazem jego natury kanciastej, nieposkromionej, burzącej się wciąż jeszcze, jak lawa w dymiącym wulkanie.

III.

WAHANIA.

Pani Izabela streściła przed mężem opinię o Maryni w sposób następujący:

— Ot tak sobie, mizernieńkie, ale milutkie, i musi być dobre.

Rzeczywiście, Marynia na pierwszy rzut oka sprawiała wrażenie nikłe, do czego najwięcej przyczyniała się filigranowość subtelnych rysów, nadająca twarzy cechę czegoś tak znikomego i niemal eterycznego, jak owe widziadlane postacie, migaające przed bezsensnym okiem ludzi roz tęsknionych, a samotnych.

Linje i kształty jej oblicza zdawały się czymś ubocznym, a istotnym wyraz, a właściwie sposób uwydatniania wyrazu, który się nie ucieleśniał, jako coś zewnętrznego, ale je rozświecał, lub przygaszał, jakby ta twarz była jedynie ekranem, czującym na najbliższe zmiany w natężeniu wewnętrznego światła. Współdziałała temu nawet cera biała, przezroczysta i delikatna jak płatki lilji, na której swobodnie, niezamącone żadną obcą barwą, grały ognie ducha.

— Może ona i ładna, ale stanowczo za chuda! — zadecydowała po bliższych oględzinach Belcia.

Kiedy jednak zobaczyła raz Marynię w neglizżu, jak obnażonymi rękoma podpiniała ciemny, miejscami błyszczący ciężar puszystych włosów, ogarnęło ją zdumienie; pozornie szczupła Marynia posiadała posągowe kształty, jakby wykute w zwartym różowym marmurze.

Prędką iskrą zazdrosnej niechęci sparzyła się duma pani Izabeli, słusznie uchodzącej w okolicy za imponującą piękność "*hors concours*".

Ale Marynia tak dalece nie zdradzała najbliższego zamiaru rywalizacji, że zdawała się nawet nie przypuszczać, iż o coś podobnego pokusić się można. Przytym chwytający za serce naiwny czar jej obejścia — uroczenie bezwiedne, prostota, oraz pewna jakby potulność szybko rozbroiły panią Izabelę. Uraza poszła w niepamięć, a naderwana nitka sympatji zrosła się jeszcze mocniej. Pani Izabela zajęła wobec bratowej ulubione stanowisko orędowniczki, czemu Marynia poddała się bez oporu, a nadto z wdzięcznością.

Życie w swoim czasie tak ją zahukało i przybiło, że pozostał jej na zawsze rys pewnej płochliwości w zetknięciu się z nowymi ludźmi, oraz skłonność przyjmowania najbliższych oznak życzliwości z ich strony, nie jako należną daninę, ale jako niezasłużony dar. A orędownictwo pani Izabeli było szczerze serdeczne.

Wiktor cieszył się z takiego obrotu rzeczy. Przewidywał możliwość rozłączenia się z żoną na czas dłuższy, co gorsza: nieograniczony; chciał więc, by choć ona została w ciepłym miejscu, jeżeli mu wypadnie marznąć samotnie.

Brata był zupełnie pewny. Pan Ignacy bez trudu panował nad sobą i umiał liczyć się ze słowami przez wzgląd na Wiktora nie zdradziłby się nigdy ze swych uczuć przed Marynią, choćby one były najmniej życzliwe. Belcia za to przy żywym temperamencie posiadała ruchliwy język, tak przytym ściśle zależny od chwilowych nawet nastrojów, że nie potrafiłaby za żadne skarby świata udawać przychylności lub zataić niechęci. W dodatku wierzyła w nieomylność pierwszego wrażenia i uprzedzała się często i uparcie.

To też Wiktor z radością widział Marynię zabezpieczoną z tej strony i to mocno, gdyż właśnie w formie orędownictwa wyrażać się zwykły najtrwalsze sympatje Belci.

Ale im wszystko składało się pomyślniej, tym Wiktorowi było trudniej porzucić Klonów. Drobnie siateczki słodkiego wytchnienia oplątywały jego serce, jak czułe nerwy, cierpiące na samą myśl zerwania.

Pod starym dachem jego dworu skupiły się obecnie wszystkie przedmioty jego ściśle osobistych ukochań, cały dobytek prywatnego szczęścia. W tym otoczeniu słabnął, i z każdą godziną ubywało mu sił do dźwigania na usta wyrazu "dó widzenia", który miał szanse rozdłużyć się nieskończenie aż do utraty wszelkiego sensu na zawsze; a jednocześnie czuł jeszcze, że tak uczynić trzeba i prawie przeklinał ów nieubłagany głos, który nań wołał: "za mną".

Przytym zaczynał wątpić o prawości tego głosu. Ilekroć bowiem napomknął o wyjeździe, w strasznym popłochu rzucały mu się w oczy żrenice Maryni, wrażały się w serce, jak dwa żale, i łkały,

tam stokroć dłużej, niż trwa ów cień mogilny, którym zachodziła jej twarz podczas owych spojrzeń przelotnych. Słyszając w sercu ten nie swój płacz, Wiktor, cierpiąc, pytał siebie, czy godzi się narażać na strzał pierś, jeżeli utkwiony w nią cios rozedrze serce drugiego człowieka; czy ma prawo rozerwać tkliwy uścisk, który sam przecież na sobie zaplatał, jeżeli potym nie jego ręce złamią się w rozpacz? Usuwał się do Klonowa, by tam zostawić Marynię, odpocząć, skłuczyć jak zając, i na dawne miejsce powrócić. A tymczasem, w miarę zbliżania się terminu, który sam określił, coraz więcej plątał się ów węzeł gordyjski.

Rozciąć go nie śmiał, czując w jego zwojach cudzą krew i cudze łyzy, a rozwikłać nie umiał.

Wykształcone czujne jego sumienie, które dotąd niemal mechanicznie rozstrzygało wszystkie problemy, traciło codziennie wyrazistość dykcji i jąkało się coraz silniej i ciszej. Wzmagaly się za to podszepty rozumu; ten zaś rozum sprawę tylko jeszcze bardziej gmatwał, wodził od Annasza do Kajfasza i umywał przebiegle ręce. Jednostkę i miliony przeciwstawiał Wiktor. Lecz to był już tylko rachunek, bo gdzieś się podział, jak gdyby się okrył popiołem, ów cudowny żar, który miał stapać miliony w jedną istność, drżącą życiem, olbrzymią, pełną wstrząsającej wymowy. A z mechanicznego oddawania wypadał jedynie rozprószony szereg pojedynczych jednostek.

Wówczas Wiktor doznawał jakby paraliżu wszystkich władz ducha, tracił odwagę i pewność poruszeń, zdawało mu się, że lada moment upadnie i coś drogiego strzaska się w tej chwili, więc drętwiał z przerażenia w błędnym kołowaniu

myśli nie widząc wyjścia, i cierpiał z tego powodu raz jeszcze.

Z natury nie był skłonny ani do kompromisów, ani do życia w zawieszeniu, a zdawało mu się, że pozostaną jedynie dwie alternatywy, obie nie możliwe do przyjęcia, a jednak nieubłagane fatalne. Doszło do tego, że wbrew swej energicznej i czynnej istocie postanowił biernie czekać w nadziei, że coś się koniec końców w nim stanie, że szala sama przez się przeważać musi. Porużony w ten sposób zawiłą i ciężką sprawę bezwiednym głębinom duszy, pozbył się świadomego dręczenia, ale za to tym wyraźniej wynurzyło się mdłące poczucie jakby wewnętrznej mętności i duchowego zbłąkania. Uzewnętrzniało się to fizycznie w nagłej utracie zamiłowania do jakichkolwiek celowych wysiłków. Zaczął był, na przykład, wkrótce po przyjeździe wykładać ceglami w parku drożynę, która prowadziła do tak zwanego wąwozu Wiktora i otrzymała miano alei Maryni, a potem po prostu przymuszał się, by wesoło podjętą pracę doprowadzić ladażako do końca.

Natomiast mógł się godzinami tułać po wertepach i polach i w tym nieokreślonym błędzeniu nóg i oczu, tak zgodnym ze stanem jego duszy, znajdował szczególne upodobanie i rodzaj ulgi.

Któregoś dnia zawędrował w ten sposób daleko od domu. Było już popołudniu, ale słońce jeszcze stało dość wysoko, małe i rozpalone do białości. Gorące warstwy powietrza wisiały ciężko i nieruchomie pod silnie wklęsłą kopułą nieba, tak czystą, że aż przykrą, jakby do spłowienia wymytą nad miarę rozpiętą i grożącą lada chwila rozdarciem.

Wiktor szedł piaskiem wysokiej miedzy, wśród rozpalonych przestrzeni płowych rżysk, nisko ściętych, stratowanych miejscami przez bydło i wyszczypanych aż do burej, spękanej skorupy ziemi.

Rozwłózione jego oczy uderzały się chwilami o czerniejący na widnokręgu wał Myszynieckiego boru, gdzie nieraz polował z gończymi; zapadały na odpoczynek w głęboki rozdół zieleni, skąd wypływała Czarnowódka, tworząca dalej szeroką rudę, dziś na pół wyschlą, a niegdyś pełną krzyków i kurek wodnych i znów wałęsały się beznamiętnie po okolicy, którą niegdyś wydeptał z wyżłomem pieszko, zjeździł konno i znał tak dokładnie, jak te dwa stare, wiecznie czujne jastrzębie, krążące nad nim granicami swoich rewirów.

Kroczył według zwyczaju dość szybko, ale bez pośpiechu i trzymał się machinalnie lepiej udeptanych ścieżek, wygodniejszych przejść, skręcając bezwiednie w tę lub ową stronę.

Z boku zostawił Trupiec; poznał go po strzeliwej wieżycze starego kościoła i zielonej baniastej kopule cerkwi. Przeciął ukośnie rzadką brzezinkę i znalazł się na silnie zachwaszczonym, niby step, ugorze.

Były to samomęckie pola, nieuprawny szmat ziemi, na którym samotna sadyba Dostańskiego czyniła wrażenie miłej niespodzianki. Szczupłe obejście opasywał żywopłot z tarniny, głogów i berberysu, który już zaczynał czerwienić, niby grzebień koralowej rafy, naokół wysepki zieleni. Było to ogrodzenie nie do przybycia latem, reparujące się co wiosna samo, wabne dla oka i pożyteczne, bo jego owoc dostarczał wyśmienitego kwasu na

barszcz, a przymarznięty stanowił znakomity produkt na soki, konfitury i nalewki.

W środku tej barwnej ramy bielila się kryta gontami chata, na prawo w gęstwinie sadu migołały różnokolorowe daszki uli ramowych, na lewo zieleniły się grzędy jarzyn, rudział łanik hreczki i żółciała gamą tonów większa płaszczyzna kratkowanego ścierniska. Przed domem, między rabatami kwiatków, widniał spory, dobrze ułożony stożek, lasek tyczek, opięty fasolą, i wysoki klomb złоторzęsych słoneczników. Wiktor zawsze po dłuższym niewidzeniu z uczuciem cichego rozradowania spotykał ten uroczy zakątek. Jakoż i teraz odśloniły się w nim spłowiałe obrazy chwil dawno minionego dzieciństwa, zabrzęczały zardzewiałe struny wzruszeń równie naiwnych, jak podniosłych, których tu doznało jego dziewicze serce; i z cieniów myśli wyfrunęła zabarwioną otuchą refleksja: ile może zdziałać wytrwała, inteligentna, mrówcza praca pojedynczego człowieka.

Z miejsca, gdzie była rudera w zniszczeniu, w ciągu kilkunastu lat dwie samotne dłonie starca dźwignęły kwitnącą fermę wzorową i oryginalną, tworząc ją prawie z niczego.

Żywopłot został rozkrzewiony z kilku krzaków, wykopanych własnoręcznie w jakimś wąwozie, rabaty kwiatów składały się z roślin dziko rosnących na polach i łąkach; z bławatów, dzwonków, stokrótek, złotokwiatów, maków, storczyków, kolorowej koniczyzny, i były obramowane liljowym wrzosem i błękitno-szafirowymi okazami cudownych ustów, dobieranych po rowach i okopach przydrożnych. Zabłąkany rój stworzył podstawę pasieki. Zraz wypatrzony w okolicy, listek do o-

kulizacji zdobyty, zmienił dzikie płonki w owocodajne drzewa przedniego gatunku. Umiejętna selekcja ziarna, wybór i pielęgnowanie dorodniejszych okazów, wysoka kultura ziemi — podniosła plenność zboża niemal w trójnasób. To też do Postańskiego zgłaszano się po kupno nasienia, nieraz z daleka; i doktor udzielał aptekarskie dozy darmo, większe wymieniał na coś, co mu było w danej chwili potrzebne, gdyż tolerował jedynie handel zamienny; pieniężnych transakcji nienawidził i uciekał się do nich tylko w ostatecznej potrzebie. Z dwojga złego wolał odleczyć, niż zapłacić, choć od praktyki stronił jak mógł.

Ale właśnie to jego stronienie, niewiara w skuteczność środków medycyny, wynik ogólnego sceptycyzmu, obłok tajemniczości, owiewający przeszłość i terazniejszość, — wszystko to dodawało mu specjalnego uroku, a parę szczęśliwych wypadków zjednało mu sławę niemal cudotwórcy. Próżno Postański irytował się i dowodził, że wogóle leczą się tylko durnie, a wyjątkowi u niego; rad nie rad, znudzony błaganiami, odwiedzał czasem chorego, a gdy temu nieraz na sam widok doktora robiło się lepiej, starzec wpadał w pasję, łajał pacjenta i uciekał prawie obrażony, wytrząsając po drodze kieszenie kitla, w które mu tkano honorarium.

Wiktor, przerzuciwszy nogę przez przełaz, rozglądał się wokoło, wypatrując gospodarza. Świeżo skopana grzęda z wetkniętym rydlem, wiszący na nim słomiany kapelusz i kubrak samodziałowy, świadczyły, że go zastał. Nie widząc Postańskiego w ogrodzie, Wiktor wszedł do chaty.

Pierwszy pokój: była to wielka izba, prawie

kwadratowa, o trzech oknach, widna, która wyglądała w części na warsztat majstra do wszystkiego, w części jak pracownia uczonego lub artysty-dyletanta. Pod jednym oknem stał czysto wyheblowany dębowy stół, na nim staroświecka lampa z zielonym daszkiem, drewniany toczony kałamarz z takąż pokrywką, ozdobioną trzema spłaszczonymi kulami dużego kalibru; mikroskop pod kloszem, wagi chemiczne, szereg buteleczek i słoiczków i stos szarej bibuły — zielnik. Przed stołem ogrodowy fotel, wyplatany łożyną i para zwyczajnych stołków po bokach. Środek izby zajmował uniwersalny warsztat, zarzucony różnymi narzędziami, mała nożna tokarnia i malarskie sztalugi. Pod ścianami szły dwa rzędy sosnowych półek, na których walała się moc różnorodnych przedmiotów w strasznym nieładzie i jakby w niepokoju: były tu książki poobdzierane z okładek, okazy grzybów drzewnych, szyszek i rozmaitych liszai, podarte gazety, żelaztwo, czerepki misek ze śladami farby, zamazane kartony, szkatułki politurowane z kilku stron tylko, ramki z zarysami rzeźbionego deseni, jakieś bezkształtne figurki z gliny, wyschłe i popękane, wypchane niezgrabnie ptaki, skórki chomików, muszle, kamyki, flet i t. p., mnóstwo wyrobów bądź zepsutych, bądź pozaczynanych i zarzuconych nieraz tu przed końcem dłonią, znać zniechęconą i niecierpliwą.

Następny pokój był przeciwieństwem pierwszego: wąski alkierzyk o jednym oknie świecił nagimi deskami podłogi i czysto bielonymi ścianami. Pod oknem znajdował się tapczan z tarcic na kozłach, zasłany wojłokową grubą derą i jaśkiem z ceraty. Nad nim w jednej linji wisiało w czar-

nych ramkach pięć sztychów: między nimi zacięty starzec Sowiński z orlim nosem i wilczymi oczyma; drugi — krótka, energiczna głowa Bema; trzeci — w bluzie i szerokim kapeluszu Garibaldi, twarz cherubina w lokach, o wejrzeniu lwa. Niżej na gwoździu wisiał bogato inkrustowany pistolet, a w głowach na małej półeczce stała ramka, wytłaczana prześlicznie ze skóry, z odpowiednim zamknięciem, w jakich chowano dawniej miniatury. Obok nocna szafka, na niej opalona łojówka w toczonym z drzewa lichtarzu, pudełko ordynarnych siarników, szczypce do obcinania świecy i tom dziejów, założony odłamkiem klingi pałasza. W rogu na brązowym pieńku gliniana misa i kubełek wody dopełniały umeblowania.

Był to schludny ciemny pokój, nacechowany surową prostotą, posępny, chłodny i smutny.

Wiktor przyglądał się sztychom i tajemniczej ramce, która go niegdyś intrygowała niemal równie silnie, jak pistolet, dopóki wbrew przepisom dyskrecji nie przekonał się, że jest tam jakaś śliczna młoda pani, prawie bez stanika, figlarnie uśmiechnięta rozkosznym rozchyleniem purpurowych ust, fioletowymi oczyma i przekornym przygięciem czarnej główki, ufryzowanej wysoko.

To też musiał być jego wódz i to nielada — myślał Wiktor, usiłując sobie przypomnieć dokładne kokieteryjne i ponętne rysy — ale w tej samej chwili usłyszał za ścianą ostry świst piły, przeszedł więc małą kuchenkę i otworzył tylne drzwi.

Na bitym placyku, w zgrzebnej koszuli i opadających na łapie drelichowych spodniach doktor piłował zawzięcie dwucalową deskę.

Nie zmienił się wiele; było to to samo duże o-

blicze, jakoś nieposkromione, wyrywające się naprzód z białego tła bujnych siwych włosów na czaszce, brodzie i nad zmysłowymi wargami pełne brózd i jam, które żłobi nietyle czas, ile wytrawia ustawiczne gotowanie się wnętrza. Z pod rozpiętej koszuli wyglądały kosmate piersi, przecięte w pośrodku paskiem opalonej skóry, kołcu rzemienia; twarz była również silnie ogorzała, prawie brązowa, a wydatny garbaty nos — barwy mocno wypieczonego chleba.

— Pomagaj boże! — przywitał Wiktor doktora.

— Ach, to ty! — stęknął głucho Postański, podnosząc nań swe wyłupiaste oczy o wielkich białkach, pociętych krwawymi żyłkami, i nieco zmętniałych i bladoniebieskich źrenicach — siadaj, jak chcesz — i, piłując dalej, dodał:

— Czy twój bóg jest i w pile?

— No, jeżeli już bóg — to wszędzie! — odparł Wiktor, sadowiąc się na przyźbie, a potem spytał:

— Cóż to doktor majstruje?

— Widzisz go, to musi być mocno zębaty, bo to dąb i twardy — mruczał doktor, nie przerywając roboty — chatę kłecę.

— Chatę?! — zdziwił się Wiktor, ale zorjentowawszy się po wymiarach i ilości desek, o co chodzi, dorzucił:

— Skądże takie minorowe myśli?

— Drugie głupstwo! — odciął krótko doktor; odwalił uderzeniem ogromnej pięści nadpiłowany obrzynek, odrzucił deskę i mówił:

— Nie, mój brysiu, żaden dźwięk nie lęgnie się w próżni, a jednak tak zwana natura "vacuum

horret" — tu podciągnął spodnie i dodał, jakby do siebie, podnosząc palec do nieba:

— Nie pilno mi do tej dziury, ani jej do mnie, może i dlatego, że mamy z sobą na pieńku. Oj, mamy! — powtórzył, machnął ręką i rzekł:

— Nadarzyły się suche deski, więc korzystam, a teraz idę na kolację; chcesz, to chodź — i zawrócił do sadu.

Tu zerwał rozszczepem kilka smukłych winiówek, siadł na niskim skoszonym potrawie i, miażdżąc szczękami z widoczną przyjemnością soczysty owoc, burknął do Wiktora:

— Jedz!

Pochłonawszy pół tuzina gruszek, otarł rękawem usta, i wlepiając w twarz Wiktora blade oczy, zaczął mówić:

— A śpieszcie się tam, uważasz, z tą reparacją świata, bo gotowicie się spóźnić — takeś mi brzęczał i brzęczał — "zobaczy doktor, zobaczy!" — żem aż wytaraszczył bańki, a choć na starość lepiej widzę zdaleka niż zbliżka, jakoś na nic zabawnego się nie zanosz! Cóż ty się krzywisz, jak środa na piątek, brzuch cię boli, czy hemoroidy?

— Dlaczego doktor mówi "zabawnego"? — przerwał mu Wiktor, jakby w roztargnieniu i pochyliwszy się w tył, utonął plecami w kopicy świeżo zgarniętej trawy.

— Naprzód ci powiem, dlaczego wogóle mówię — prawię, ożywiając się doktor. — Jutro Wniebowzięcie, uważasz, pojutrze niedziela, a zaraz wieczór. Wieczór przed świętami — miła rzecz.... zjawi się, bywało, to ten, to ów, i gadu gadu do białego rana, ledwie się język nie wystrzępi... no

i jest nałóg, istne przypiływy gadulstwa!... Dlaczego zabawne? a ot dlaczego: pamiętasz tę budę jar-marczną w Trupcu: świnia na dwu łapach przy szpadzie w płaszczu i kapeluszu z kogucim piórem; pudle — heroldy, a małpy — pазie; śmiałeś się wówczas i piszczaleś: zabawne! A mnie się kałdun też trząsł. Najśmieszniejszą była uroczysta mina świni i głupkowaty fizys tego wiejskiego gamonia w zachwyceniu — pamiętasz?

— Pamiętam, ale nie widzę związku!...

— Bagatela, boś młokos... ale ja.... Choćby w Berlinie: Ładny był marzec, a jeszcze ładniejszy ten dzień: cztery pruskie wieprze w ekstazie wśród ogłuszającego kwiku — “hoch!” niesło w pocie czoła mój kadłub, jak mnie tu widzisz. Jeden z radości szczypał mnie w pośladek, a ja topniałem z zachwytu, lizalem się po pysku z jakimś piwoszem, i patrząc w opasłą gębę, myślałem: To lew!... Ale już w maju te lwy pokazały nam swoją szczelinę; mówię tedy do swoich: jakże to? niedawno “hoch!” a teraz “pęc, pęc!” — a on mi na to: “Et, cóż chcesz? wiadomo, kartoflarze! ale Węgrzy zuchy!”

Szoruję tedy do zuchów... Ładne to ich “eljen!” a w uszach dzwoni... włoskie “evviva!” też było niczego; ale francuskie “vive!” to proszę siadać! zdaje się, że serce w gardle pęka! — no i cóż powiesz?... i hoch i eljen, evvina i vive — to po naszemu; “Postański, nóżki na stół; kartofli, papryki ze słoniną, dużo makaranu i reńskiego wina! już jest, na to paszoł won! ani silbergrosza na piwo!”

I słusznie, bom był gamoń... Ja sobie teraz czytam gazetki... Niektórzy poszli wysoko: Toż najga-

ribaldziejszy Garybaldezyk, Crispi, jest sobie ministrem, bagatela! Tylko poco on u licha małpuje Bismarck'a? Pnie się do niego, ale gdzie! niedorośnie!... taki pospolity podświnek, a to genialny yorkshire! ja się w nim kocham po prostu... to jest dopiero kapitalny łeb. Bez metafizycznych spekulacji, po chamsku zmacał przez "anus" ducha dziejów, wyciągnął go i pokazał, jak na tacy... Wy-mowa była trochę śmierzdząca, ale przekonywająco szczerą... To rozumiem! Ale jak mi tam wylezie jakie wielkanocne prosię i zacznie pokwikiwać "egalite, liberte", grzebać się w zjełczałym bigo-sie, to mnie mgli....

Tu doktor splunął i dalej monologował.

Wiktor zaś wtulał się w wygodnym rozleniwieniu coraz głębiej w świeże siano, pachnące wilgocią.

Sens słów Postańskiego nie raził go bynajmniej, sprawiał mu zato pewną różnicę chaotyczny tok jego mowy i zgrzytający chwilami głos, mby pociągnięcie tępego pilnika... Czuł wówczas prze-lotne jakby rozdymanie się w dołku piersiowym niebolesnych bąbli, które pękały w lekkim natężeniu, ociekając czymś chłodnym i obojętnym, jak limfa.

Nie miał ochoty ani słuchać, ani tymbardziej sprzeczać się; całą wiedzę jego pochłaniał cichy widok jaskrawego zachodu, gdzie wielka tarcza słońca, osuwająca się w mgłę złoto-płomienistych obłoków, oblewała się krwią w dumnym milczeniu.

Przed nim w czerwonym pyle rozciągały się obnażone przestrzenie pól, które przewiewał wieczorny chłód, wywlekając z wawozów i wykrotów mrok zdrętwiały. Popielaty, skłębiony cień szybkim

chybotliwym ruchem płażał się na miejscach opuszczanych przez światło, czając się chwilami w zakłęśnościach gruntu. Tkwił uroczysty smutek, smutek bez odrobiny cierpienia, w tym poważnym, powłóczystym spojrzeniu odchodzącego dnia, w owym roztopianiu się ognistej pożogi w morze purpury, które się przelewało z kolei różanym potokiem w świetne jeziora płynnego złota, w pasma jasnego seledynu, w obszary szeroko rozpostartych fioletów, wysysanych na siniejących końcach przez wiotkie usta liljowego zmierzchu.

Okrąg słoneczny stawał się co moment krwawszy i większy, jak płomienisty stos, rozciągany na wsze strony przez niewidomych podpalaczy, którzy zdawali się miotać pałające żagwie na wyższe szczyty, na tła gorących obłoków, by wzniecić jeden pożar na ziemi i na niebie.

Ale szybko spopielalo się rozrzucone zarzewie, miejsca zgaszonych łun nasiąkały w mgnieniu oka mętną szarością, niby dymem kurzącego się zgłiszczu, a główne ognisko, wyczerpane z mocy, krwawiło się coraz szerszym, lecz niższym, pełgającym płomieniem.

Doktór dowodził w podnieceniu:

— Siła przed prawem — to także trochę rażące, jak każda prawda, wylupiona z sentymentalnych obłonek; ale w istocie lepszą jest najbrutalniejsza siła, oko za oko, ząb za ząb, niż pompatyczne zaklejanie jej w zimne kodeksy sprawiedliwości... Jest to przynajmniej jakieś żywe, bezpośrednie, więcej naturalne, ludzkie, ruchliwsze... Siła wyczerpuje się, szaleje, może się nawet rozczulić, zlitować... Ale jak mi taki jeden, drugi kauzyperda spełnia za gażę miesięczną rolę najemnego mści-

ciela, i dłubiąc w nosie, w imię jakiegoś numerku pakuje do taczek sparszywiałego w więzieniu gamajdę, — to mnie znów mgli... Cóż ty milczysz u licha? — zwrócił się gniewnie do Wiktora.

— Bo zgadzam się na wszystko, nawet na apoteozę kanclerza, jako kwintesencję terażniejszości, która jednak nie przesądza o przyszłości nic a nic... — odparł niechętnie Wiktor. W tonie jego głosu był jakiś bezład, który się odbił w rozprężeniu rysów twarzy.

— Tamci odsyłają do nieba, a ci do przyszłości! — mruknął doktor i popatrzył bystro w zagasłe oczy Wiktora. — Ty masz klina! — rzekł raptem i wstał.

— Mam! — odparł Wiktor, podnosząc się również.

— Ma się rozumieć; jak mi tylko twój łysy braciszek przeczytał list, zaraz pomyślałem: jest pasztet! To było od początku jasne; idjoto! od pierwszego stopnia, że te schody prowadzą do piwnicy, a on sobie jeszcze gniazdko lepi, hoduje pisklęta... Fluń ty raz na to, póki czas!...

Staremu głos drgnął, jakby się zachłysnął; odchrząknął i zaczął mówić prędko i jeszcze opryskliwiej:

— Tylko sobie nie wyobrażaj czasem, że ja przez jakieś romanse!... ja tak po prostu dla własnej wygody... mnie tu, uważasz, w lesie nic, ale jak śnieg zawali, to trochę sucho... to jest nužno! niema do kogo gęby rozdziawić!...

— Ja wiem, że ty zaraz wyjeżdżasz z jakimś tam sumieniem, to głupia choroba, ale choroba organiczna, jak wada serca, z nią człowiek się rodzi, kwęka i umiera.... Ale, uważasz, przecieżyś z nią

chyba mógł — tak gdzie, choćby tu — szmat ziemi od świata odgrodzić, ile tam na was wypadnie, i żyć.... możebyś czego lepszego i dożył... To ziemia niczyja, choć ja płacę za nią podatki... Powiadasz: przyszłość, ale to jest austriackie gadanie... Ty tam, jak wygrzebiesz jednego i drugiego jak sam warjata, z osmalonymi łapami, to puchniesz z radości... Ale ty zobacz tych chłopków, których wieki prały po pyskach, tych żydków trupieckich, łyczków, ich jest na świecie bardzo dużo!... szepną im słówko miodowe, a oni wam polukrują przyszłość, o i jak jeszcze!

— Ja się tłukłem po całym świecie, i szwędam się ciągle jeszcze, słucham i patrzę, bom z natury ciekawski; a nie potrzebuję nawet chodzić... Widzisz ten step niby mój... Złazą mi się u rok rocznie na podwórko różne Copki, Grzyby, Sajki, Sołtysiki, biorą pod nogi i lizą po łapach: "coby to nam pan po somsiedzku wygodził i gront sprzedał!" Bierzcie tak, powiadam, łaskę zrobicie, bo mnie ciśnie podatek, każecie — formalnie podpiszę!... I cóż myślisz? palą im się latarnie z chciwości, ale podejrzewają, że knuję jakiś podstęp; nienawidzą mnie za to, gotowi w łyżce wody utopić; worują mi się co wiosna po skibie i czekają aż zdechnę, by całą sadybę rozdrapać... Ale ja, jak na złość żyję, bo nie chcę im sprawić tej satysfakcji... Idź, idź! wyłoż im swoje teorie!...

I doktor, jakby chcąc skompensować chwilę szczerości, mruczając o klęsce, jaką stanowią nieproszeni goście podczas najgorszej roboty, bez pożegnania poślapał do chaty.

Było już dobrze szaro; w stężalych na granat mgłach pływały jeszcze spłowiałe szczątki słonecz-

nej purpury; w upiętych obłokami głębinach nieba, jak iskry po wygasłym pożarze, migotały tu i ówdzie nikłe gwiazdy. Wiktor szedł drogą między dwoma wysokimi nasypami, jak gdyby w tunelu; zastanawiał się niby nad niespodzianą propozycją doktora, ale w ten sposób tak obojętny, jakby to było jedno z tych fikcyjnych urojeń, z którym jakaś władza myśli, wyzwolona z karbów posłuszeństwa, pozwala sobie igrać dla własnej przyjemności. Poza tym urywki tyrad doktora, pozlepiane z mnóstwem postronnych pojęć, w bezkształtnych bryłach przewalały mu się przez głowę, jak kry przez zwężoną gardziel rzecznego koryta, tworząc chwilami przykre zatory. Cała ta żywiołowa gra duszy nosiła piętno, jakby męczącego kryzysu, i odbywała się niejako bez jego udziału. Sam on zajmował w jej sprawie stanowisko roztargnionego widza, który się pyta, wzruszając ramionami: poco to wszystko, co to ma znaczyć, co mnie to obchodzi? a jednak stara się śledzić ważniejsze momenty plątającej się, pozornie bezsensowej akcji, przeczuwając, że stanie się coś, na co czeka.

W uczuciach doznawał emocji lekkiego targania, jakiego doświadcza ręka rybaka, gdy coś bierze przynętę haczyka. To zajmowało go najwięcej i wyczekiwał odpowiedniego momentu, by zdobyć nieznaną z mętnych głębin na światło wyszarpnąć.

Gdy naraz to coś pierzchło, pogrążając się w toń bezdenną, a Wiktor, przeżywszy sekundę zawodu, zorientował się nagle, że oto jest w uliczkach Trupca, że niepotrzebnie nałożył wiorstę drogi i trzeba się śpieszyć do domu.

Miasteczko po nocy prezentowało się jako tak. W sztywnej, ciemnej masie skupionych domów połyskiwały oświecone szabasówkami okna, sprawiając w pustce i ciszy wrażenie martwego wesela. Zgniły zapaszek i tonięcie nóg w lepkie, płytkie błoto, dobrze wymiszone, jak rozgrzane masło, zawiadomiły Wiktora, że znajduje się w centrum Trupca, na rynku. Był to spory, owalny plac, cichy i wyludniony w tej chwili; czasem tylko wpoprzek przesuwwały się szybko długie, niby pozbawione nóg, ciemne postacie i znikwały raptem w jednym punkcie, jakby wsiąkając w cokół wystającego muru.

W pobliżu tego miejsca Wiktor usłyszał przeciągły szmer, niby głuchy jęk zdławionego głosu, idący z pod ziemi.

— A to powściekały się paruchy, psia ich mać, z tym "magietem!" — mruknął, mijając go, stróż nocny, i powlókł się dalej, postukując leniwie grubą maczugą.

W tej chwili przemknęło tuż przed nim kilka długopółych cieni. Wiktor pogonił za nimi okiem aż do wnętrza czeluści, która je pochłonęła.

Stamtąd, gdy zbliżył się, jak z wielkiej gardzieli smoka zionął nań ostry zaduch, zmieszany z mdłym światłem, a następnie przeciągły lament i miarowe mlaskania.

Było to wejście, prowadzące do bożnicy. Zapadająca się w ziemię długa ciemna szyja rozszerzyła się niebawem w obszerną sklepioną nawę. Od pierwszego rzutu oka można było poznać, że jest to budowla wiekowa i mocna. Na chropowatych murach, ociekających kroplami rosy, pełzały jakieś zapleśniałe liszaje, które w słabym świetle

czyniły wrażenie narośli z malachitu. Duża łukowa framuga z wysokim progiem kamiennym oddzielała nawę od właściwego miejsca modlitwy; poziom jej musiał leżeć cokolwiek niżej.

W mrocznym przedsionku uwijała się garść rozgorączkowanych żydów, którzy biegali po poprzecznych korytarzach, wpadali co chwila w liczne drzwi i wypadali stamtąd po kilku naraz, gierkocząc żywo; kilku stało pod ścianami, paląc papierosy i zaglądało od czasu do czasu przez głowy skupionych na progu.

Ochłonąwszy z doznanego w pierwszej chwili odurzenia, Wiktor zobaczył naprzykład w rozmaitych punktach niewielkiej okrągłej bóżnicy mnóstwo cienkich świeczek i lampek różnej wielkości i kształtu: Wszystko to kopciło, pełzało, lub paliło się sinym, rozdętym płomieniem, jakby wysilając się zaczerpnąć tchu z ciężkiej atmosfery rozparzonych ciał ludzkich. Po środku na końcu grubego kija widniał spory domek, wylepiony z różnokolorowej bibułki, uiluminowany z wewnątrz; kij, jak się pokazało, był przytwierdzony do wysokiej katedry, obwieszonej po prostu żydowskimi wyrostkami, którzy się darli na nią, klóćąc się, spychając i kuksując się, co wlezie. Ale nadewszystkim górował podnoszący się z dołu głos, raczej lament, powtarzający ustawicznie w dość szybkim tempie dwa monotonne dźwięki:

— Naaj, naaj, la, la, la, la! — podbijane w taktach klaskaniem.

Wiktorowi zdarzyło się widywać rozmodlonych żydów, ale tutaj najwyraźniej działo się coś niezwykłego.

Spiąwszy się na palce, Wiktor ujrzał sprawcę

tego jęku: tłum głów w wysokich czapach futrzanych, niby mufki, włożone na sztorc, to znów w czarnych, płaskich kaszkietach.

Jakieś zupełnie obce, jakby po raz pierwszy widziane oblicza, zwrócone doń profilem, kiwały się miarowo w jednym kierunku, klaszcząc rytmicznie w ręce.

Widok setek ruchomych twarzy i migających dłoni znów na moment oszołomił Wiktora. Gdy to minęło, skupił oczy na miejscu, gdzie najwidoczniej ogniskowały się spojrzenia wszystkich.

Na lewo, między katedrą a łukiem muru, w przeczącym się to w tył, to naprzód pierścieniu zbitych żydów, na przestrzeni zaledwie kilku łokci kręciło się coś, nakrytego białym muślinem, niby panna młoda, tańcząca solo oberka.

Ilekroć śpiew przygaszał, z pierwszego szeregu podskakiwało w górę kilku chasydów w lisich czapach i atlasowych chałatach z głośniejszym krzykiem i żywszym klaskaniem. Odnaczał się zwłaszcza jeden żyd, czarny, jak smoła, z rozwianymi pejsami i wyschlą bladą twarzą, który wyskakiwał do pół pasa i, tocząc wkoło gorejącymi oczyma, uderzał w dłonie i wydawał dziki okrzyk, zagrzewający.

Wówczas, jak gdyby iskra elektryczna szarpała tłumem. Fale ludu chwytaly jakby epileptyczne drgawki; senne twarze wniebowziętych budziły się na chwilę, unosząc w górę ekstatycznie powieki; rysy zapamiętałych ścigały się jeszcze więcej w jakąś drapieżną zaciekłość; ożywiały się i zapalały ogniem wygasłe źrenice już zdrętwiałych, jęk głosów wzrastał się, a klaszczące dłonie wpadały,

w istną furję. Welon kręcił się ciągle w jednym miejscu z niezmienną szybkością.

— Co to tam, kobieta? — spytał Wiktor najbliższych sąsiadów, dwu żołnierzy, którzy śmiali się na cały głos.

— To nie żadne “kobite”! to magiet! — objaśniał Wiktora wysoki żyd — woń się tak co święto kręci.

— Magiet? — powtórzył Wiktor.

— To wielki magiet, “woń” u nas jest od roku, jak przyjeżdżał, to my jemu prowadzili na koniach i ten dóm nieśli, pan widzi? ładny dóm! ón był jeszcze ładniejszy, ale się trochę spalił! pan nie tutejszy?

— Nie! A może pan ma papierosika?

I, otrzymawszy dwa, żyd się ulotnił.

Wtym śpiew nagle ustał, wirująca postać znikła; przedsionek zapełnił się w mgnieniu oka żydostwem; w bóżnicy zrobiło się luźniej i wówczas Wiktor dojrzał z góry grubego żyda w fioletowym chałacie w postawie siedzącej.

Był to ów magiet.

Welon odrzucony wtył głowy pozwalał widzieć pospolitą, trochę rozlaną, starą twarz z siwym zarostem; oczy były przymknięte, a pierś ciężko dyszała.

Po paru minutach starzec wstał i, lekko nalegając na prawą nogę, przeszedł poważnie kilkanaście kroków w otoczeniu orszaku żydów, którzy cisnęli się doń, starając się dotknąć tałesu i fioletowej szaty końcem palców, w które się następnie cmokali szybko i kilkakrotnie, jakby smakując.

Tymczasem starzec się zatrzymał, zakrył twarz welonem, przytrzymując go lewą dłonią na

piersiach, prawą z małym sześcianiem na krótkiej rękojeści podniósł do wysokości skroni i skinął głową. W jednej chwili sformowało się koło, kilka lisich czapic wyskoczyło w górę, rozległo się klaskanie; zaczął tensam monotonny motyw, welon zawirował, bożnica zaczęła się pośpiesznie napelniać tłumem.

— Inny św at, inny świat nieznany!... — myślał odsunięty na bok Wiktor, patrząc na migające przed nim postacie zziajane, podniecone, żadne udziału w niepojętym dlań misterjum.

— Co, i pan tu? — przerwał mu myśli znajomy głos — kiedy pan przyjechał? słyszałem, co się pan ożenił; przyszedł pan popatrzeć; ja już tyż tam nie pójdę. bo, uf, jak gorąco! — gadał bardzo przystojny żyd, lat może pięćdziesięciu, ubrany w nowy, niezbyt długi chałat i czarny repсовy kaszkiet.

Wiktor znał go dobrze, on mu robił swojego czasu papierosy; później puścił się na handel zbożem, zarobił, stracił, znów zarobił i miał obecnie w Trupcu sklep, gdzie można było dostać wszystkiego. Był to żyd obrotny, wytarty w świecie, szachraj, ale w miarę; sprytny, obdarzony wielką dozą przenikliwego rozsądku, trochę nawet sceptyk, choć ściśle obserwował przepisy swojej wiary. Wiktor lubił z nim rozmawiać, a obecnie powitał go prawie z radością:

— Niechże mi Icek wytłumaczy, co się tu u was dzieje? bo nic nie rozumiem — rzekł po przywitaniu.

Żyd uśmiechnął się i odpowiedział, wskazując pod ścianą nawy dużą pakę.

— Najprzód my sobie możemy tu siadnąć, tu można i zapalić — dodał.

Wiktor wydobył papierośnicę.

— Dziękuję — odparł żyd, biorąc papierosa. — Pan go już widział. To magiet! on się kręci.

— Widziałem, ale na jaką pamiątkę?

— On się tak modli, bo każdy magiet ma swój sposób. Był tu jeden, co ón płakał, ale tak, że wszyscy musieli płakać. No a tego myśmy sprowadzili, daliśmy mu tysiąc rubli i dom, ale ón chce tera, coby mu dodać dwieście, i pewnie dodamy, bo jak ón jest, to się tu żydki i z Rosji i z Galicji kręcą, jest ruch, a jak jest ruch, to ón się nam opłaci. On jeszcze dobrze się kręci godzinę i potem trzy minuty odpoczywa, potem przejdzie na inne miejsce i znów się kręci godzinę ani chybi. I tak siedem razy naokoło bożnicy; ja sam nie wiem, jak ón może, bo stary i kulawy, ale może; pan przecie widział, od tego ón magiet!

— Czy to taki wyższy rabin, jak u nas biskup

— Nie, rabin — to rabin, jak ślub, to do rabina; a magiet to magiet, jak nieszczęście, to do magieta; ón potrafi "dybka" (opętanie) wypędzić, poradzić: kupić czy nie kupić, jak zrobić, coby dziecko było, kiedy go niema... Pan, słyszałem, i dziecko ma?

— Mam jedno, synka.

— Synka! nu to dobrze! zawsze lepszy syn! mój syn to też ma synka, ładne dziecko, mądre dziecko. Jest ón kamasznikiem w Warszawie, ja mu powiem, coby ón pana odwiedził.

— Dobrze! i mówicie, że ten magiet skutecznie radzi?

— Ón? ón się dobrze kręci, i mnie się widzi — dodał żyd półgłosem — co ón jeszcze lepiej kręci... Ja panu powiem, tylko niech pan nie gada. Na mój rozum, to ón jest trochę farbowany magiet... Jabym mu i trzech groszy nie dał.

— No przecież, rozumie się — zaczął tonem perswazji Wiktor.

— Niech pan tak nie mówi — przerwał mu żyd — są dobre, prawdziwe magiety, co przez nich bóg gada, ale ich mało, coraz mniej, ja znałem takie, to był magiet, jak dukat rzetelny.

— Skądże Icek wie, że był rzetelny?

— Skąd ja wiem? Ja panu powiem. To było tak: Był sobie kiele Lublina taki ot bidny żydek, co ón i pieniędzy nie miał i sprytu do żaden interes, i rad był, jak miał codzień główkę cybuli i ogon rybki na szabas, jak to u nas często bywa. Przyszedł ón kiedyś do krawca i prosi, coby jemu zrobił cycełe, pan zna nasze cycełe?... Ale on mówi, żeby ón zrobił tak i tak! i tu powiedział krawcowi takie słowo, co jemu jeszcze nikt tego nie mówił. A krawiec był trochę uczony i zaraz pomyślał, że tu coś jest. Więc mówi:

— Dobrze, Josek, ja tobie zrobię dobre cycełe, ale ty mnie poradź w jeden interes. Ja mam trzysta rubli i trzy córki i nie wiem, czy im porówno dać, czy nie? Jak ty myślisz?

— A on jemu mówi:

— Ty Jankiel możesz dać każdej po trzysta rubli, bo ty masz dziewięćset rubli.

— I tak było akurat. To się zaraz pokazało, że to jest magiet. Zaczęli się do niego żydki zjeż-

dzać, najęli mu dom na piętrze, a na dole to był zajazd. Ón radził i sumiennie radził. Aż tu przyszła ta duża wojna. No pan przecież wie lepiej odemnie. I przyszło straszne wojsko francuskie do Lublina. To ón wtenczas zawołał do siebie myszuresa; dał mu ładną pierzynę i fajną poduszkę i mówi:

— Ty idź z tym do pierwszej stancji, tam będzie taki mały człowiek, ty go poznasz! daj mu to i powiedz, co magiet przysyła, żeby ón miał dobrze spać!

— Poszedł myszures i poznał odrazu tego małego człowieka, choć w stancji było ich pełno dużych i bogatych generałów. I pan wie, kto był ten mały człowiek. To był sam Napoljon.

— To jak ón potym nazad wracał, to poszedł naumyślnie na Lublin, a nawet patrzył w lufcik. To ón mu się do ten lufcik dwa razy uklonił z kapeluszem i powiedział: błagadariu, błagadariu! tak, że wszyscy widzieli i słyszeli.

— I Icek także widział — zaśmiał się Wiktor.

— Ja nie widziałem, bo mnie jeszcze nie było, ale mnie ojciec opowiadał. A co ja sam widziałem, to ja panu powiem — odparł ożywiając się żyd. — Ja byłem wtenczas taki.... e! młodszy jak pan, a miałem już żonę i troje dzieci, a najmłodszy to był taki pimperle, ten, co ón jest teraz kamasznikiem. Ja trzymałem przewóz w Ochotnicy u pana Niementowskiego. Pan go zna?

— Nie.

— No tak, bo to daleko. Ja byłem sobie biedny żydek i trzymałem się za ten przewóz zębami i nogami, bo to było całe moje jedzenie.

¶ Pan nie był zły — tylko raptus; jak tylko co

nie tak — to taki czerwony jak rak, krzyczy, tupie... i potym dobrze... krzywdy nie miałem. Ale raz mówi ón do mnie, coby ja przywiózł mu więcej mięsa, bo ja mu woziłem co trzeba z Kozienicy; a tam właśnie żydki przywieźli tego magieta z Lublina; a ón już był stary i taki biały, jak koza. No, i trzeba nieszczęścia, co ja trochę zapomniałem o to mięso; a pan miał dużo gości, to jak ón mnie zawołał, jak zacznie krzyczeć: nie masz łajdaku miejsca od świętego Jana, nie masz! Aż mnie się trochę niedobrze zrobiło, poszedłem, ale sobie myślę po drodze: et co tam! Wykrzyczy złość i dobrze będzie. Ale na drugi dzień ón mnie spotkał i jak zawsze mówi to o tym to owym. Żartuje, jak to pan... A potym raptem:

— Ale pamiętaj Icek, że nie masz miejsca od świętego Jana.

Aż mi serce piknęło!... co tu robić, żona chora, troje dzieci... Pojechałem do magieta. Położyłem pół rubla i mówię jak jest: A ón popatrzył w dużą książkę, co u niego zawsze leżała na ładnym stole i powiada:

— Ty się Icek nie bój.

No i ja się nie bojałem ze cztery tygodnie. Aż tu kiedyś znowu gadam z panem to o tym to owym, a pan raptem:

— Ale pamiętaj, żebyś się od świętego Jana wynosił.

Jakby mnie kto pałką trzasnął; co tu robić, sam nie wiem? Miałem przy chacie kawałek gruntu; czas sadzić kartofle, a jak tu sadzić, kiedy ón tak mówi. Doczekałem się jarmarku i znów poszedłem do magieta, położyłem cztery

złote, z ostatniego rubla, i pytam co mam robić.
A ón mówi:

— Ty się nie bój, Icek!

— A kartofle sadzić!

— Sadź!

Posadziłem ja te kartofle; wyrosły takie ładne i kwitły tak, że "pc" — żyd cmoknął — aż tu akurat w piątek na święty Jan przychodzi rano karbowy i mówi:

— Icek, pan kazał, cobyś się ta duchem wynosił.

— Co, ja mam się wynosić? — powiadam — a kto będzie pilnował przewóz?

A on mówi: —

— Nie twój interes, parchu! wynoś się, bo ja cię migiem wyniosę.

— Więc ja do pana — proszę, aż zacząłem płakać. A ón jak krzyknie, mówiłem ci — wynoś się! bo cię psami wyszczuję. Lecę ja do domu; aż serce mi do wątroby skacze. A tu wszystkie bety na podwórku, żona i bachurki płaczą, tak płaczą, że aż strach, aż mi się w głowie zakręciło. Wziąłem od karczmarza rubla na borg, nająłem furmankę i lecę do Kozienicy. Przychodzę ja. Nie chcą mnie puścić; bo ón się teraz modli... Więc ja zacząłem robić taki gwałt, co aż ón sam wyjrzał i mnie zawołał. Jak ja zacząłem mówić: na co mnie magiet narobił, ja się nic, nic nie bojałem i kartofle posadziłem, a teraz moje kartofle w ziemi, a bety, żona i dzieci na podwórku.

A ón jak był w tym modlitewnym ubraniu, z grubą książką w ręku, taki siwy jak koza, popatrzał tylko dziwnie na mnie i mówi:

— Prosiłeś pana?

— Prosiłem.

— A ón co?

— A ón mnie psami.

Jak ja to powiedziałem, to jak trzymał tę książkę, jak ón ją ciśnie o ziemię, jak krzyknie: pies.

Aż się we mnie wszystko zatrzęsło. Wyszedłem cicho i myślę: co teraz będzie, no co będzie? Szabas zaszedł, nie mogłem wracać do domu, aż w niedzielę po południu zabrałem się z jednym żydkiem i jadę. Podjeżdżam do Ochotnicy, a już się zciemniło. Patrzę, a tu kiele kościółka tyle świateł, ludzie idą i coś niosą, pytam co to? Pana niosą.

Jego w tej samej godzinie, co magiet krzyknął, trafił szlag.

Tu żyd umilkł i siedział chwilę nieco blady, jakby wyczerpany.

— Zawołała mnie na drugi dzień dziedziczka i mówi:

— No cóż Icek, chyba zostaniesz: póki co... Ja głowy nie mam — i w płacz!...

— To ja zostałem i siedziałem całe pięć lat, aż odeszłem sam... A tych kartofli to było ze 20 korcy, ledwieśmy wykopali, a takie duże i dobre.

Żyd cmoknął z rozkoszą i rzekł:

— Cóż pan na to?

— No, cóż, traf!

— Traf?... — żeby pan słyszał jak on krzyknął, toby pan nie mówił traf. On umarł niedługo; ale jak on umarł: Nie stękał, nie chorował, raz tylko pisnął, tak delikatnie, jakby skrzypce zagrały i już, nie było takiego magieta...

Żyd znów się zamyślił i spytał po chwili:

— A która to godzina?

Wiktor spojrział na zegarek:

— Jedenasta — odparł i wstał.

— Pan już idzie?... Niech pan idzie, bo on się tu będzie jeszcze do czwartej kręcił. Do widzenia z panem! — rzekł Icek i wsunął się do bóżnicy.

Wychodząc, Wiktor raz jeszcze rzucił okiem w łuk framugi: właśnie wyskakiwała w górę postać zagrzewającego tłumy hasyda i Wiktor uczył na sobie gorąco rozszerzonej jego źrenicy w twarzy bladej jak papier, i dziki okrzyk.

Jakaś żydowica, którą odpychał od progu stary żydek, coś jej zwawo tłumacząc, zaczęła zaraz klaskać w ręce, chude, jak indycza łapa; druga, zgarbiona koło niej, w przekrzywionej peruce, zalewała się łzami, oglądając się wkoło wzrokiem, jakby przełęknionym nadmiarem szczęścia.

— Naaj, naaj, — la, la, la, la — gonił Wiktor już na ulicy głuchy lament przeciągły i żałosny — jak wieczna skarga bezsilnej niedoli.

— Inny świat, nieznany świat — szeptał Wiktor, oddalając się szybko, jakby uciekał od tego jęku, który go czepiał się i napełniał trwogą zabobonną.

W głowie poczęły mu warczeć gorzkie słowa doktora, jak celne strzały o ostrzach zatrutych, i opanowały go jeszcze bardziej gorzkie wspomnienia. Widział zmarnowany swój trud tak wyraźnie, niby ruń niwy zdeptaną przez rozszalały, motłoch.

— Bydło! — szeptał — brudna ciemnota, ja się im nie potrafię w takim smrodzie kręcić ani minuty....

Myśli mu nasiąkły złym gniewem, stając się metnymi.

— Naaj, naaj! la, la, la, la! — lamentowało mu w piersiach.

Zaśmiał się gburowato.

W tej chwili przemknęło przez drogę kilka konnych cieni i pogalopowało w stronę wsi. Chłopi uciekali z klonowskiej koniczyny...

Wiktor rzucił się za nimi prawie wściekły. Znikli i słyhać było oddalający się tętent, który mu zagrział tym samym przeciągłym motywem, jak wieczna skarga bezsilnej niedoli.

Ociekło mu serce łzami strasznego żalu.

— Stójcie; ja przecież dla was!....

Chciał wołać, ale go schwycił za gardło spazm. Szedł, jakby przywalony ciężarem, w piersiach czuł targanie, jakby prężenie się czegoś, co chce trysnąć do góry; a na krzyżach lekkie zimne dotknięcie chybkiej dłoni zabobonnego strachu.

Bał się obejrzeć; szybko mijał wąskie opłotki i bielone chaty, błyszczące w promieniach księżyca sinawem światłem i wpadł do klonowskiego ogródu. Tu lęk go opuścił, odetchnął głęboko, jakby po forsownym wysiłku i skierował się w stronę domu.

Targania w piersi wzmagały się; doznawał takiego uczucia, jakie musi doznawać powłoka ziemi, gdy w jednym jej punkcie rzeka, płynąca w głębiach, pragnie wytrysnąć ku słońcu ożywczym źródłem.

Był to szczególny rodzaj podniosłej nadziei; uroczyste oczekiwanie czegoś upragnionego i wielkiego; дума, że on jest; cichy smutek, że jest niewidome.

Nagle wszystko się w nim zawahało. Obudził się jak ze snu i posłyszał z bocznej werandy, oplecionej winem, chóralny śpiew, dwa głosy: niższy pani Izabeli, wyższy Maryni, śpiewały: "Lecą liście z drzewa"; basem wtórował Ignacy, trochę fałszywie, ale całość wychodziła dość składnie i mile uderzyła Wiktora.

Zbliżając się więc, zanucił barytonem następny wiersz: "Na mogile śpiewa jakieś ptasze polne!"

— A to ty marudo — zawołała Belcia.

— Cóżeś ty szabasował? — dorzucił Ignacy.

— Szabasowałem i byłem u Postańskiego — odparł Wiktor.

I znów w nim zadrżał bolesny smutek; siadł ciężko na rogu ławki.

— Śpiewajcie! — rzekł, chcąc przerwać dalsze pytania.

— Ale co? — szepnęła Marynia.

— Cokolwiek.

I popłynęły poważne dźwięki buntowniczej pieśni.

Noc była jasna, oświecona pełnią księżyca, który lśnił w słabej aureli rozwianego złota, prawie u szczytu lazurowej kupuły nieba.

Wiotkie, przeźroczyste chmurki mknęły szybko poprzez tarczę, jak sieci pajęczne, bez początku i końca, wleczone w dal nieznaną ręką niewidzialną.

Wiktor patrzył w połyskliwe oblicze księżyca i poddawał się cały urokowi nocy i potędze pieśni; wyglądały się zwolna zmarszczone powierzchnie jego duszy, a w głębiach znów się poczyły tajemnicze targania.

Gdy zaczęto śpiewać inną pieśń, Wiktor włączył do chóru swój głos, jakby chcąc zużyć w ten sposób całą wiedzę, by nic nie przeszkadzało temu, co się z nim stawało w tej chwili. Jakoż przy trzeciej strofie zupełnie niespodziewanie dla siebie, niby powtarzając za kimś, zaimprovizował na nutę przyśpiewku:

Na jutro, na noc
Daj konie, Ignacy,
Czas wziąć się do pracy,
Roboty jest moc!

Wówczas stojący wysoko sopran Maryni zachybotał się i złamał nagle, jak przetrącony słup kryształu,

Zrobiło się bardzo cicho. Belcia obejrzała się mimowolnie i spytała z niepokojem:

— Co to?

— Wiktor chce jechać! — odparł półgłosem pan Ignacy.

— Kiedy?

— Jutro!

— Ależ! — oburzyła się Belcia — też koncept z kalendarza.

— Słońce tak jaskrawo zachodziło — ślota albo wiatr, jak zapisał!

— Rozumie się — przyłączył się pan Ignacy — zostań choć do poniedziałku....

Wiktor milczał, sam był niemal przerażony swoim oświadczeniem, który mu wyniósł na usta, jak gdyby jasny wyblysł, idący z dna duszy. Ale to podniosłe, gorące wrażenie złamało się razem z głosem Maryni i znikło bez śladu. Czuł obecnie że szala nie zważyła się bynajmniej, przeciwnie

trącona jakąś obcą siłą, chwieje się w obie strony w szalenie szybkich wahaniach.

Było to uczucie niezmiernie bolesne. Wiktor cierpiał po prostu fizycznie.

A tymczasem oboje Ignacostwo napierali coraz silniej, a nadto Belcia zażądała poparcia od Maryni.

— Ta, wtulona w róg altanki, milczała parę sekund; potem poruszyła się gwałtownie, aż za-
drżały liście winogronowe i wymówiła powoli nie-
swoim głosem:

— Jeżeli Wiktor chce jechać, to widać musi...

Jeszcze raz chybnęło się wszystko w Wiktorze; serce oblało mu się wzruszeniem tkliwej wdzięczności. Coś się przerwało, trysnął w nim war i Wiktor poznał w sobie ten dawny słup ognia, żarliwy, gorejący równym, ale niezmiernie wysokim płomieniem.

— Tak, muszę! — wyrzekł zupełnie świadomie, spokojnym, silnym i stanowczym głosem.

— Tymbardziej — dodał w duszy.

— Ha, jak musi, to niema rady! — odparła Belcia z rozdrażnieniem w tonie. — Chodźmy już — dodała zimno i, dzwoniąc niecierpliwie kluczymi, wyszła do pokoju.

IV.

PIORUN.

Nazajutrz dzień był rzeczywiście brzydki, mizerny. Po mlecznym niebie przelatywały raz po raz rozstrzępione cienie chmur, sypiąc deszczem ziarnistym. Wiatr gwizdał po obnażonych polach, szarpał poszycie stert, szukał skrzydłami drgającymi głodem drapieżnym umarłych liści w klonowskim parku, zbijał owoc w sadzie i przez długą aleję cienistą wyrywał się na olbrzymi staw. Tam wypierał z głębin mętną wodę i spienione piersi fal o niski brzeg roztrącał... Szumiał po oczeretach, włóczył za sobą pstrokate wieńce rybitw krzykliwych i ginął na przeciwległym brzegu we wnętrzach lasu. Po chwili wydierał się stamtąd podwójnie silny i dziki; ze smętnym łopotem przeciągał po rdzawych brózdach, chwając niepewnymi lotami wron i kawek, jak chorągwiami żałoby.

Pod wieczór przyczał się i dyszał tylko chwilami, jak zwierzę zmęczone. A od tych westchnień sypały się różnobarwne płatki róż sztampowych, żałośnie dzwoniły szyby w oknach dworu i stroczyły się grzywy i ogony czwórki szpaków stojących przed gankiem.

Wyrzało słońce duże, niskie i omglone jakby przepojone spienioną krwią.

Zbliżała się godzina rozstania.

Wszyscy byli zebrani w obszernym dziecinnym pokoju. Wiktor w podróżnej granatowej kurcie łobuzował się z małcami. Aurelka wykręcała starannie nogi najnowszej lalce; Marynia dokarmiała kaszą pyzatego, umorusanego Afnisia, ostatnią latorośl Belci, a pan Ignacy palił papierosa za papierosem. Miał minę zafrasowaną, doznawał pieczenia w żołądku i był w tak czarnym nastroju, że tracił wiarę w skuteczność wody Franciszka Józefa, którą stale od kilku lat popijał z dobrym skutkiem.

Nastrój ten spowodowała poranna dłuższa rozmowa z Wiktorem.

Zaczęło się od sprawozdania rachunków z działu i zrazu wszystko szło jak najlepiej, jak to pan Ignacy lubił, t. j. niespiesznie, systematycznie i skrupulatnie. Wiktor nie wzbraniał się przed oglądaniem planów; przepatrywał wykazy ogólne i szczegółowe, słuchał, a przynajmniej udawał, że słucha drobiazgowych wyliczeń, wodził cierpliwie trochę sennymi oczyma po długich kolumnach cyfr, a dowiedziawszy się, że mu pozostaje 30 tysięcy, z których połowę może podnieść choćby zaraz w banku Ziemiańskim, ucieszył się w sposób odpowiedni. Podziękował bratu, zażądał czeku, prosząc o zatrzymanie reszty kapitału nadał na hypotecę Klonowa, jako funduszu Maryni i Ignasia.

Pan Ignacy, pieszcząc się przyjemnością sumiennego spełnienia obowiązku, oraz solidnym zachowaniem się Wiktora, wydał odpowiedni czek,

i odrzuciwszy z tą ostatnią rachunkową czynnością sztywność urzędnika, począł żartobliwie ciągnąć brata za język, by się dowiedzieć w jakim interesie myśli umieścić podniesioną sumę.

Jakoż się w końcu dowiedział.

Po chwili osłupienia napadł z niesłychaną gwałtownością na Wiktora i po kilkuletniej przerwie powtórzyła się dysputa tak zaciekle, jak nigdy przedtem, z tą odmianą, że pan Ignacy gorączkował się i nacierał. Wiktor zaś bronił się względnie spokojnie, ale nie ustąpił ani na krok. Przeciwnie, zdradzał raczej tendencje posunięcia się dalej.

Oskarżał się o karygodną słabość, której się dopuszcza przez wzgląd na Marynię i Ignasia. Rozgrzewał się miłością dla nich.

Przytym tak widoczną była przykrość, z jaką poruszał ten przedmiot, że gniew i oburzenie pana Ignacego roztopiły się szybko w szlachetnym smutku. Kiedy zaś Wiktor w dodatku pierwszy przeprosił go za parę ostrzejszych wyrazów, pan Ignacy wzruszył się do łez.

Nastąpiła serdeczna chwila, a w niej obustronne zwierzenia. I właśnie owe zwierzenia brata przygnębiły ostatecznie Ignacego, zwłaszcza gdy Wiktor odrzucił jego projekt natychmiastowej emigracji za granicę, jako przedwczesny i wogóle na razie dla pewnych względów niemożliwy.

Napróżno Wiktor starał się później zbagatelizować znaczenie swych słów. Ignacy nie dał się pocieszyć i czuł się kompletnie rozklekotany i fizycznie i duchowo. Zapijał więc robaka nikotyną, raz wraz spoglądając z za dymu na Wiktora. Chwilami coś w rodzaju otuchy świtało mu w sercu, gdy widział, jak ten dokazuje z dziećmi, z takim

oddaniem się zabawie, jakby był sam najnaiwniejszym z całego ich grona.

Ale te błyski szybko gasły; płocha wesołość brata zaczynała go nawet drażnić, a miary dopełniały ostre podniesione dźwięki głosu żony, strofującej w dalszych pokojach kogoś ze służby w sposób niezbyt parlamentarny.

— Skaranie boże z tym szturmakiem — kończyła właśnie w pobliżu drzwi Belcia i znów jęknęła na progu: — Ależ tu czarno, ojciec znowu pali w dzieciennym pokoju! Kasiu, otwórz lufcik — zawołała ze zgrozą i, zwracając się do Wiktora, recytowała resztkami irytacji w głosie:

— Pamiętaj, że masz dwa słoiki w walizie, nie pozwalaj jej rzucać posługaczom. Wierzch i dziury wyłożyłam owocami... Wyjm, bo pogniją i na nic będzie bielizna. W koszyczku masz nalewkę, dwa kurczaki, serek owocowy, garnuszek masy, w serwecie kieliszek; bułki kup na stacji, bo będą świeże...

— Bój się boga kobieto! — zaśmiał się Wiktor — czy ty chcesz koniecznie ze mnie zrobić kapłona?

— Ignacy, powiadam ci, nie pal! — przerwała ostro Belcia. — A ty, koźle uparty, jak masz jechać, to jedź, bo już szósta, spóźnisz się!...

— Oho! — zawołał Wiktor, spoglądając na zegarek — prawda! No, basafyki, — dodał, zdejmując z kolan Mieczysia i Zygmunta — najeżdźcie się, teraz czas na mnie!

I począł całować dzieciarnię, podnosząc je kolejno w górę. Ostatniego uściskał Ignasia, postawił go na ziemi i przypatrywał mu się długo w milczeniu.

— Figa jeszcze — szepnął i rzekł głośno — no, do widzenia, daj rękę tatusiowi...

Malec z rostawionymi szeroko bosymi nóżkami i wypiętym brzuszkiem wytrzeszczał swe ciemne oczęta na ojca, na czołe zrobił mu się charakterystyczny dołek, znamionujący u dzieci pracę myśli.

— Dodzenia! — wymówił i wyciągnął okrągłą jak wałeczek rączynę; potym, straciwszy równowagę, usiadł mocno na podłodze, obejrzał się wesoło na wszystkich i zawiadomił o upadku dźwiękiem — ba-buś!

— My ze stryjkiem pojedziemy — napierali się tymczasem starsi synowcy.

— Ale naturalnie, siadajcie na konie i dopędzicie — uspokajał ich Wiktor, wskazując krzesła.

Malcy rzucili się do stołków, a starsi wyszli na ganek.

Burtowano pakunki, a pan Ignacy nagle począł namawiać Wiktora, by się choć do jutra zatrzymał.

— I tak się spóźnisz; patrz — mówił — znowu wiatr i coś się chmurzy za lasem. Zmokniesz jak kura, a jeszcze gdzieś się wywrócisz na tych Myszynieckich wertepach....

— Nie — odparł Wiktor — jak jechać, to jechać. Dawaj pyska, nudziarzu!

— No to z bogiem, z bogiem!... — bąkał, ścisnąc brata pan Ignacy — a wracaj prędko i szczęśliwie, pamiętaj wracaj, wracaj — uczepił się tego wyrazu, i gdy mu Wiktor wyrwał się z objęć, krzyknął dyskantem:

— Ferdź, durniu! pociś balabany zaczepił —

i rzucił się do koni tak gwałtownie, że aż mu spadły binokle.

— Weselej jechać, panie! — odparł furman.

— No! to zresztą... — mruczał oślepiiony pan Ignacy, starając się pochwycić drżącymi rękami rozbujany sznurowadło.

Pani Izabela tymczasem, całując Wiktora w czoło i usta, powtarzała, szlochając:

— Pamiętaj... konfitury!

— Dobrze — rzekł głucho Wiktor i zbliżył się do żony,

Marynia w ciemnej obcisłej sukience stała cały czas wyprostowana, przez co zyskiwała na wzroście i smukłości. Było coś przykrego i nienaturalnego w jej wyprężonej postawie, w zamarznętych rysach twarzy, której ściągnięte w dół kąty ust nadawały wyraz niemal bolesny. Szare, wiecznie tonące w wilgotnej mgle oczy były tym razem aż do połysku suche. Gdy mąż zbliżył się, zimny, dreszcz drobny i przeraźliwy wstrząsnął nią kilkakrotnie. Bez tchu pochyliła się naprzód i umarłem sercem przylgnęła do piersi Wiktora.

Jego miękkie, czułe pocałunki, miłośniczo składane na rękach i ustach, napełniły ją bezmiarem tkliwej bolesti.

— No, do widzenia, Maryś... — powtarzał Wiktor podartym szeptem.

A słowa te, jak cetnary gruzu i ziemi, waliły się w głąb jej istoty, aż na dno, gdzie rozbrzmiewały ciężkim echem głuchego łoskotu.

Cicho bez łyzy, bez żadnego wyrazu zarzuciła mu ręce na szyję, a długie filigranowe palce spłótły się w żelaznym uścisku.

— No, Maryś... Ignas czeka... — mówił Wi-

ktor, rozplątując delikatne jej dłonie i pocałował obie raz jeszcze.

— Do widzenia... Ignaś! — rzucił z wysiłkiem.

Skoczył na brykę.

— Jedź!... — krzyknął.

Konie ruszyły z miejsca dobrym truchtem, pobrzękując dzwonkami; sparły się na mostku; prawy orczykowy spłoszył się, za co dostał batem.

— Ha, ho! małeńkie — zaśpiewał za wrotami Fedź. Zaturkotały szybciej koła, zadygotały i rozpląkały się dzwonki donośniej; mignęły kilkakrotnie dwa szare kaszkiety; wypłynęły raz jeszcze na wzgórk, zapadły i znikły.

— No chodźmy już — podążając za mężem, zawołała ze schodów pani Izabela.

Ale Marynia została i wytężoną władzą wszystkich zmysłów goniła odległe brzęczenie dzwonków, słysząc je tak dokładnie, jakby się w nich tłukło jej własne serce wylękle i krwawe.

Te ledwie uchwytnie metaliczne dźwięki potężniały w niej stokrotnie, i grały przeciągle w piersiach, jak organy żalu. Aż nakoniec niezwykle ostrym dźwiękiem przebiły ją nawskroś.

Jak ptak raniony ciężką śruciną, porwała się wówczas z przed ganku, okrążyła dom i wbiegła na nasyp piwnicy, by choć cokolwiek raz jeszcze zobaczyć.

Pusto było jak okiem sięgnąć. Za przepojorowym szkarłatem ścierniskiem, w tęgich, liljowych mgłach krwawiły się pasma łuny zachodu, a tarcza słońca, tonąca w wiśniowym obłoku, wyglądała jak wzgórek płomieni.

Z prawej strony, z majaczących za stawem

gąszczów leśnych, wynurzyło się, rosnąc szybko w kierunku purpurowych blasków potworne sine cielsko sfałdowanej chmury, bure po brzegach, otawiane w głębi.

W chwilach złowrogiej ciszy słyszeć było wark kłębiącej się w jej wnętrzościach ciemności, która zasępiała wszystko dokoła... Powietrze zdawało się ugiąć i trzeszczeć pod tym ciężarem, czołgającym się szybko.

W lekim trwożnym szepcie wszystkich liści, w prędkim chybotliwym drzeniu fal Śniwody, malował się niezwykle niepokój, który z niesłychaną siłą udzielał się Maryni.

Z zimnem w szpiku kości stygła na masypie jak statua z czarnego marmuru na obsuniętym kopcu samotnej mogiły.

Nie śmiała się poruszyć, tylko włosy zaczesane na skroniach, targały się gwałtownie w podmuchach wichru, niby dwa rdzawe skrzydła ptaka, rwące się do lotu.

Tymczasem las roztopiał się powoli w stalowej zielonawej mgłę, aż zlał się z wodami stawu w jeden bezkreślny obszar groźnego morza.

Nad morzem tym zwieszały się ciężko podarte olbrzymie frendzle, niby zębate, postrzępione blachy zaśniedziałej miedzi.

Wicher wzmagał się, a chmura z sino-żółtej stawała się brunatną, bałwanila się coraz silniej, ukazując miejscami swe przepaściste wnętrza, z których walił się kłębami biały dym.

Po chwili zaczęły po niej latać płochliwe ognie, równie szybkie jak wątle, a głuchy wark zmienił się w grzmotliwy turkot i dudnienie.

Potężny żywioł zdawał się jeszcze nadludzką

potęgą hamować szalejące w nim siły; drgał grozą, lecz i majestatem zarazem.

Wkrótce jednak wściekłość i rozpasanie przemogły.

W chmurze zaczęło się coś kotłować, przewracać, a mroczna jej powłoka łupała się z łoskotem w zygzaki sino-czerwonych pręg, które się łuszczyły w mgnieniu oka, osuwając z tartasem na ziemię. Ponure jej cienie roztwierały się co chwila ogniem migotliwym.

Rozbestwiony wichur w zdziczałym poświście rzucił się na pnie drzew, które się jęły rozpaczliwie bronić bolesnym wyginaniem konarów i szamotać. Cały park szedł z zatoki i skrzypiał żałością.

Maryni tchu brakło w piersiach; osaczał ją wilgotny tuman, zimne krople biły po twarzy, aż raptem oślepla od nagłego światła, i w tejsamej chwili ogłuszający trzask wstrząsnął nią do głębi.

Z krzykiem zduszonym na śmierć w gardle zleciała z nasypu i gnana panicznym przestraczem, smagana linami deszczu, szarpana wichurą, wpadła na ganek.

Oszalałymi rękami odważyła ciężkie drzwi i, dygocąc całą, z trudem dźwignęła się na górkę.

A gdy się wreszcie zdołała opamiętać, z rwącym serce jękiem osunęła się na łóżko, miotając się w paroksyzmie spazmatycznego łkania.

Kiedy się podniosła, już ledwie drobne strugi deszczu sączyły się po szybach, a w dalekich cieniach zapalały się ciche błyskawice. W niej zaś na widok tych ogni bez gromu wzdrygało się serce i kruszyła dusza. Od chwili wyjazdu Wiktora przerażały ją śmiertelnie właśnie odległe pioruny.

Jak się pokazało — słusznie, bo od tej ostatniej burzy i od pierwszej wieści o Wiktorze, długotrwały smutek i niepokój osiedlił się w Klonowie.

Mijały miesiące, a Fedź prawie nie złąził z koźła. Cugowym szpakom podciągnęły się brzuchy, a jeden najmłodszy ochwacił się i zmarniał na nic. Zastąpiono go innym i znów gorzej już dobrana czwórka to odwoziła kogoś z domowych, to przywoziła ze stacji. Droga przytym, pięć mil opętanych, zrobiła się fatalna, to grzązka, to grudowata, jak zwykle w późnej jesieni. To też podróż męczyła i konie i ludzi.

Przez zamglone szyby licznych okien klonowskiego dworu nieraz godzinami pozostali starsi wyglądali powrotu spodziewanego — najczęściej Maryni, a dzieci — słońca.

Nie wypogadzało się jednak; po oślizłych dniach, blado-żółtych, jak widma światłości, dniach bez poranku, południa i słodkiej chwili wieczornej, rozwlekłych i monotonnych, przychodziły ciemne noce, chmurne bez gwiazd.

A po każdej rozmiękła w parku ziemia zakwitała bujniej bladym złotem i przywiedłą czerwienią, przerzedzały się liście na drzewach i same drzewa.

Posępniał czas. Niekiedy tylko, jak złotoskrzydły ptak, przeleciał promień słoneczny i rozwidnił wszystko na krótko; zadrgał jakiś cieplejszy powiew, niby ostatnie wejrzenie konającego światła i kostniał w mgłach.

I znów szklane oczy melancholji wlepiły się w ziemię z wysokości nieba. Sterczały sztywnie sylwetki drzew, wykręcając niby w kurczach przed-

śmiertnych zczerniałe konary. Zgnilizna grobów czaiła się w kurhanach zgorzałych liści. Tęsknota bez granic szła od wyrudziałych pól i martwych powierzchni Śniwody, po których się snuły liljowe tumany, niby błędne sny.

Wszystko wycieńczone chyliło się do wiecznego spoczynku.

Jedna Marynia niezrażona niczym, niezmordowana, z wytrwałością granitu, z uporem mania-ka jeździła ustawicznie tam i napowrót, to do Ignasia, który przechodził ciężką szkarlatynę, to znów bliżej męża.

Oboje państwo Ignacostwo wyrażali nieraz podziw nad tymi zasobami energji, zaradności i siły, ujawnionych nagle przez tak potulną istotę, za jaką uważali Marynię.

To zboczenie organiczne, takie, jak wada serca! — wtrącał Postański, który się zgodził kurować Ignasia i, ku zdumieniu wszystkich, zamieszkał w tym celu w Klonowie.

Obecność jego nie przyczyniła się bynajmniej do rozjaśnienia atmosfery domowej. Stary mruk albo milczał, jak niemowa, albo odzywał się, zdaniem pani Izabeli, nieraz ni w pięć ni w jedenaście, a zawsze prawie zrgyźliwie. Nudził się przytym i tłukł się po wszystkich kątach, jak Marek po piekle.

W pogodniejsze dni majstrował coś w parku, zgrabiał liście, lub opatrywał godzinami świerk, strzaskany piorunem.

We flagi i słoty przysłuchiwał się lekcjom Zygmunusia, i kiedyś napadł na Belcię, że go uczy bajek.

— Jejmość mu w głowie przewracasz głupstwami — wołał w pasji — bajdy, bajdy!...

— Nie bajdy, lecz bajki! — zaperzyła się Belcia — które mają sens moralny, i są prawdą pięknie wyrażoną!

— Tak! no to powiedz mi, kiedyś taka reżolutna, jakie ja mam buty na sobie.

— Przedewszystkim zabłocone! — odcięła Belcia.

— Ale krótkie, czy długie? — nalegał Postański.

— No, krótkie! — odparła Belcia, zmieszana zapytaniem.

— A widzisz, jejmość, że długie — huknął tryumfująco Postański, zadzierając do kolan nogawice.

— No i cóż z tego? — spytała Belcia, uradowana nieobyczajnością starego.

— A no, że można udrapować tak but z cholewą, że wygląda jak trzewik, a fałsz — że wygląda jak prawda. Z tego lwa zedrą skórę; mysz nie przegryzie sieci, bo ma za małe zęby, i kot ją zresztą zdławi. A wój, dobrodziko, Jachowicz był dubeltowy dureń — zakończył doktor i wyszedł, trzaskając drzwiami.

V.

ROZPACZ.

Wiosenny, wilgotny wiatr, niby pieśczośliwy a dojmujący, przedmuchał Postańskiego nawskróś. Znalazłszy się w ciepłym pokoju, dość długo rozcierał zgrabiałe ręce, zanim ogrzawszy się należycie, zbliżył się do Ignasia, który do spółki z pucołowatą Aurelką rozrabiał kawałek mydła w glinianej miseczce.

— No cóż tam, skurczybyku, list od tatusia jest? — spytał Postański, ciągnąc z lekka faworyta za nastraszony wicherek ciemnej czupryny.

— A, jest tam... — odparł pośpiesznie chłopak, wysliznął się z pod ręki doktora i, umaczawszy rozszczepioną słomkę w mydlinach, wydał oba policzki.

Ta niedbała odpowiedź, naiwna obojętność dziecka wobec rzeczy przeraźliwych dla mózgu i serca uraziły Postańskiego, jak nadeptanie obolałego nagniotka; syknął niecierpliwie, lecz wnet się pohamował refleksją.

— Naturalnie! Smarkacz, dla niego tatuś, to dźwięk bez szczypty treści...

Tak myślał, idąc w głąb domu, usposobiony zgryźliwie dla wszystkich, nie wyłączając dzieci.

I mylił się.

Ignas od paru lat, to jest od chwili wyjazdu Wiktora, wprowadzie raz tylko, i to zgórą miesiąc temu, widział ojca.

Widzenie to jednak odbyło się w niezwykłych okolicznościach.

Naprzód Ignas wraz z matką zrobił olbrzymią, jak na pięcioletniego malca, podróż pełną dziwów. A było to tak.

Ten mały pokój z żółtych politurowanych deseczek z dwiema wyścielanymi kanapkami i siatkową półeczką nagle zaczął się trząść i dudnić miarowo. Przez małe okienko bez ram poprzecznych widać szereg zielonych, żółtych i niebieskich dużych pudeł z małymi szybami, ogromną, jakby lokomobilę z szerokim kominem, owianą parą i dymem, potym kolorowe latarki, człowieka z zieloną chorągiewką, moc rzeczy przeważnie nieznanych, a wszystko to szybko ucieka w tył, kręci się i znika.

Słupy towarzyszą oknu wytrwale, są połączone licznymi drutami.

Mama powiada, że to telegraf.

Pokój chwilami przestaje się chybotać i wówczas wszczyna się gwałt: dzwonią, jak w Klono-
wie na obiad, tylko dużo razy i donośniej, słysząc przeraźliwie gwizdanie, czasem okropny kwik, jakby trzem świniom odrazu świderkowate ogonki Ralf poobrywał, czasem szczekanie żelaza, jak w kuźni; jacyś ludzie z pakunkami włączają i wyłączają z pokoju, który się znacznie oziębia.

Rozlega się ponury jęk przeciągły, daje się uczuć mocne targnięcie i kanapka drga dalej, postukując.

Ściemnia się. Zaczynają latać wpoprzek okna

ogniste patyczki, jak gruba tłąca się zapalka, coraz ich więcej i coraz dłuższe, zmieniają się w końcu w szeregi rozognionych drutów. To zapewno na noc zapalono ten telegraf.

Druty żarzą się ustawicznie, a pokoik kołysze się tak dobrze, jak jaka huśtawka, coraz wolniej i ciszej...

Budzi go mamusia. Dzień. Siedzą w małej karetce: jadą powoli, a taki huk, jak na grobli przy młynie. Powozów ze sto dziesięć, zaprzężnięte w jednego konia, najwyżej w parę koni a ludzi — strach ile...

Chłopów nie widać, chat także, ani trawy, ani drzew, tylko kamienie.

Jadą po kamiennej drodze, idą stada panów i pań po kamiennej posadzce w długim korytarzu pod kamiennymi ścianami.

Coś się Ignasiowi majaczy, niby sen, którego sobie przypomnieć nie może.

Wjeżdżają w sklepiony otwór w kamiennej ścianie, jakby w wielką grootę, i są po chwili w zwykłym niewielkim pokoju.

Mama dotyka palcem białą kosteczkę, tkwiącą w krążku drewnianym, co wisi na sznurku zielonym. Wchodzi czarno ubrany pan bez wąsów i brody, jak ksiądz. Mama prosi go na obiad i mówi Ignasiowi, że po obiedzie pojedą do tatusia.

Ignas wie, że ma niezwykłego tatusia, ale po tym wszystkim, co widział, ojciec wydaje mu się czymś nadzwyczajnym. Ciekaw jest, jak go mama wśród tylu ludzi odszuka.

Ale mama potrafi widać wszystko, bo oto po długiej przejażdżce powozikiem, ukazują się drzewa pokryte szronem, ośnieżone kopce darni, pole—

zupełnie wieś, i znów kamienie i budynki, wielkie jak lamusy - fortece.

Wchodzą po schodach i w jakiejś mrocznej salce mama rzuca się na szyję nieznanemu mężczyźnie.

Ma to być tatuś.

Wcale nie jest tak dziwny i ogromny, jakim go sobie Ignasz wyobrażał; wyższy wprawdzie od stryjcia, ale niższy od pana Pościańskiego, za to bardzo chudy, twarz podobna do tego portretu, co jest u mamy, tylko oczy jeszcze więcej głębokie, niby dziuple, i blask próchna góruje w ich ciemności.

Mężczyzna ten chwyta Ignasia i podnosi do wysokości głowy....

— Pocałuj tatusia! — podpowiada, szlochając mama.

Ignasz całuje, a tatuś oddaje mu pocałunki tak mocne, że aż oddech zamiera w piersiach dziecka.

Ignasz czuje na twarzy łzy nie swoje, a potym własne. Smutno mu, dziwnie i strasznie zarazem.

Tatuś stawia go na podłodze i poczyną ścisnąć i uspokajać mamusię, która tak się zanosi od płaczu, jakby tylko co dostała w skórę.

Ignasiowi bardzo żal mamusi; chlipie więc i przez łzy przypatruje się lśnjącemu mundurowi łysogo pana, który jedną białą ręką z pierścionkami na dwu palcach szczypie wąsik, a drugą bawi się złotym zegarkiem.

Potym ta sama powrotna droga już mniej zajmująca.

Ignasz jest znudzony i zdaje mu się, że sto mil oddziela go od chwili wyjazdu z Klonowa.

Aż kiedyś budzi się: Co to?

Sanki klonowskie, konie, aleja wjazdowa; po

bokach i nad nim ciemność, a przed nim ruchome kolisko ognia.

To Jędrus, stajenny, jak objaśnia mama, świeci smolnym kagankiem.

Chwilami ogień przygasza i, ścieli się świetlistym kręgiem na białym tle śniegu; kapie płomień, to znów bucha do góry, i wówczas czerwone słupy stają w konarach osrebrzonych topoli.

Cicho przechodzi słup ognia z drzewa na drzewo; dzwonki jęczą, a mamusia pyta raptem:

— Pamiętasz tatusia?

— Pamiętam — szepcze w oczarowaniu Ignas.

— I będziesz pamiętał?

— Będę!

I istotnie pamięta, ale na swój sposób.

Rzeczywiście rysy twarzy ojca zmieniły się już wprawdzie z rysami portretu, ale słowo "tatus" zachowało władzę wywoływania wrażeń niezwykłych.

Na dźwięk tego wyrazu Ignasiowi zwykle zaczynają grać w uszach dalekie kapele dzwonków, lub posępne poświsty; w oczach migają linie żaru, lub stają łuny czerwone, płonące w srebrnych puharach cicho ogniem wysokim, a w sercu majaczy mętne wzruszenie rozlewnego smutku.

W danym wypadku niedbała odpowiedź chłopca tłumaczyła się nader ważną sprawą — czynieniem cudów na jawie.

Bo oto właśnie na końcu zwykłej słomki pod tchnieniem jego piersi miała się zjawić ni stąd ni zowąd kulka zrazu mała i mętna, potym coraz większa, pełna światła i kolorów tęczy, zatrzymująca w sobie uroczne odbicia wszystkich przedmio-

tów, równie śliczna, jak znikoma, a doktor chciał odwlec czarowną chwilę zjawienia się cudu.

I, gdy tak zachwycone dzieci tworzyły światy kruche, Postański wahał się przed progiem saloniku: czy wejść, czy wracać do domu?

Słyszał przez zamknięte drzwi zirytowany głos Belci; sensu słów nie rozumiał, ale domyślał się, że toczy się jakiś spór małżeński, w którym safandula Ignacy uosabia rezygnację milczenia, a żona róg obfitości mowy artykułowanej.

Drażniły go te sceny i myślał już cofnąć się, gdy właśnie Belcia zatrzymała się dla nabrania tchu, i w tej nieznaczej przerwie wpadło mu w ucho wyraźne zdanie Maryni:

— Nie, ja pojedę! — wyrzeczone przejmującym do żywego głosem, tak stanowczym przytym, jak nagłe uderzenie kancistego stempla.

Gdy wszedł, wyrażenie to zostało poparte raz jeszcze twardym wyrazem twarzy Maryni, o profilu jak gdyby zaostrzonym, subtelnym, a jednak kłującym w oczy pociągnięciem śpiczastego rylca.

Niespodziewane zjawienie się Postańskiego zatamowało w środku wyrazu nowy upust słów z ust Belci, rozognionej ferworem, drgającym w rozdętych nozdrzach.

Na widok doktora bezradne, rozlane rysy twarzy pana Ignacego wzmocniły się raptownym skurczem ożywienia, a Marynia ze zgaszoną twarzą i mgłami w oczach, jakby szukając ucieczki, rzuciła się ku Postańskiemu, włożyła mu zmięty arkusik w rękę i usunęła się na najbliższe krzesło, widocznie wyczerpana do szczytu.

Był to list od Wiktora.

Doktor rozpostarł na dłoni papier, i trzymając

go na odległości wyprostowanej ręki, sylabizował półgłosem, odcyfrowując duże, pokręcone kulfony, nakreślone drżącym pismem.

“Marynko, Ignasiu i wszyscy moi — jeszcze w Europie. Zawdzięczam to memu łamignatowi, który uczynił przerwę w podróży. I cieszę się, że stosunkowo prędko otrzymasz ten list, a ja twoją odpowiedź....

Piszę, leżąc, spuchniętymi palcami, więc niezbyt wyraźnie. Leczy mnie quasi-rodak, taki nieokreślonego wieku wędzony śledź, naczelny lekarz szpitala.

Pamięta jeszcze cokolwiek i wita mnie z rana:

— Dzień dobry panu, jak tam, dużo boli, czy mało boli?

A ja mu na to:

— Zapisz doktor receptę taką długą, jak stąd do mego domu, a zobaczysz, jak po niej skoczę z łóżka, choć mam nogi jak konewki.

A Piotr Piotrowicz odpowiada surowo i poważnie:

— Nie, tego nie można.

I tak sobie gawędzimy co dnia na ten sam temat. Podobał mu się mój “reumatismus acutus”, czy jak go tam, a przezeń moja osoba...

U was tam wiosna za pasem, a tu śnieg do pasa....”

— Właśnie — podchwyciła Belcia — to też mówię, zaczekać do lata, zresztą do przyszłego listu... Nic pilnego! Ale w zimie, taki świat drogi!...

— Tydzień tylko kolejną — zaczęła Marynia.

— Tydzień tylko kolejną! — przedrzeźniała Belcia — mała rzecz, tydzień tłuc się kolejną! toć można dostać mizerery, a zapalenie płuc albo

mózgu, jak amen w pacierzu!... Niech doktor sam powie?

Postański milczał z chmurną twarzą i przy-mkniętymi oczami; głębiej niż zwykle zbrudzone czoło zdawało się coś przypominać.

—Piotrowicz, Piotrowicz — mruknął kilka-krotnie i po chwili rzekł, zwracając się do Mary-ni. — Ja znam tę wędzonkę! on nie jest nawet zły, tylko takie sobie wszystkożerne bydlę... I jest tam jeszcze kilku wpływowych “nosofyrkaczy”, co przekładają kulebiakę farszem liberalnym... Sprja-liśmy się ongi, gdym tam bawił, jak moczymordy... Jeżeli się tedy już jedzie, to ja dam listy; mogą się przydać, bo oni lubią popisywać się fyrknięciem przed obcym, a zwłaszcza przed damą.

— Dziękuję — szepnęła Marynia i przytuliła się nagle do starca, całując go w ramię.

Postański żywo i ukradkiem musnął ją dłonią po włosach.

— No, no, no! — mruknął, odsuwając się, od-wrócił się szybko i rzucił wychodząc:

— Ja tam u ciebie, Ignacy, w gabinecie na-smaruję epistoły!...

W pani Izabeli coś się zagotowało. Miewała nieraz dobre zajścia z doktorem, ale w danym wypadku Postański nietylko niejako zdecydował kwestję wbrew jej zdaniu, ale uczynił to w spo-sób lekceważący, z absolutnym pominięciem jej zapytania i osoby, jakby nie istniała.

Zadrasnęło ją to do głębi.

W ślepym rzucie wzburzonej krwi zawierciło się żółte, spiczaste uczucie, złe i mściwe, które objawiało gwałtowną żywiołową potrzebę wpicia

się w coś żywego, by stępić drażniące ostrze w skurczach cudzego cierpienia.

Postański wyszedł, ale pozostała współwinna Marynia.

Wlepiając drapieżne w jej postać zaokrąglone, ciemne z gniewu źrenice, pani Izabela rzekła dość wolno, przyciszonym, dobitnym głosem:

— Gdybyś była zatrzymała Wiktora, jak mówiliśmy, prosiliśmy nawet, nie mizdrzyłabyś się teraz do tego gburą i libertyna, który się z tobą i z nieszczęściem przyplątał do naszego domu...

Marynia nie rozumiała całkiem obelgi, ale uczuła przeszywający ból; podniosły się w niej posępne dymy wspomnień owej okropnej chwili w przededniu rozstania. Ten sam nadludzki wysiłek zaparcia się siebie dla niego wracał z przeszłości i walił się na nią, jak spadająca z góry lawina. Przybladła i mrugając z przerażenia oczyma, z żałosną twarzą krzywdzonego dziecka czekała na cios zniewagi.

Pani Izabela w zaciekłym zapamiętaniu chciała coś dodać jeszcze, gdy naraz przed nią znalazł się mąż.

Zmierzyła go wyzywającym spojrzeniem granatowych oczu, ale natrafiła na opór nieznany.

W mętnych, szarych źrenicach pana Ignacego uparcie świecił stalowy błysk nieugiętej energii. W zebranych rysach twarzy było coś groźnego. Zbiegły się zsunięte brwi w jedną prostą linię i twarz Ignacego przypomniła silnie oblicze młodszego brata.

— Ani słowa, Belciu, — rzekł surowo — ani słowa więcej... Idź i przygotuj do podróży, tak,

jak ci powie udobruchane serce, a ja zajmę się końmi....

Stał jeszcze chwilę, jakby na coś czekał.

Pani Izabela spuściła oczy; wówczas on wyszedł.

Po krótkiej minucie milczącego sam na sam, pani Izabela spojrzała ukradkiem na Marynię, która zmierzchłą twarzą próbowała się do niej uśmiechnąć, ale w tym wysiłku drobne usta skrzywiły się w grymas gorzki i bolesny, a zmordowane jej oczy zdawały się omdlewać pod parciem napływających zewsząd łez.

Na widok ten w duszy pani Izabeli w mgnieniu oka przekreśliło się wszystko na dobrą stronę.

Pochwyciła w objęcia bratową i poczęła mówić szybko i z płaczem:

— Maryniu, niech pękne, jeżeli naprawdę chciała cię obrazić! Ale ten stary ma dar doprowadzania mnie do pasji. Zła jestem, prędką jestem, ale i on nieznośny, a ty skryta... Powiedz sama, Winna może jestem, ale i wyście winni... No, wołałabym z piątego piętra skoczyć na bruk, choć mam wstręt do tego, byleby się to wszystko odstało... Jedź, choćby zaraz, jak chcesz, choć to do prawdy niema za grosz sensu!... Tylko się nie gniewaj!...

— Ja się nie gniewam, Belciu, ja tak tylko... — szeptała Marynia.

I jak kryształowe paciorki, łzy utoczone długim krążeniem w orbitach rozjątrzonych bólem oczu, spadały jedna **za drugą po** gorejących policzkach.

Nazajutrz do dnia zaopatrzona należycie w zapasy, ciepłe ubranie i pieniądze, wycelowana ser-

decznie przez wszystkich, a najczulej przez Belcię, Marynia wyruszyła w podróż.

Opanowawszy rozkliwienie, wywołane pożegnaniem, poczęła rewidować pamięcią zawartość swego kuferka i z przyjemnością przekonała się, że oprócz paru zakwestjonowanych drobiazgów, nie zapomniała niczego.

Macając przewieszoną przez ramię torebkę, i wyczuwając piersią umieszczony za gorsem płócienny woreczek z poważniejszą kwotą pieniędzy, zaniepokoiła się przypuszczeniem, że mogą ją okraść, a później ogarnęła ją wątpliwość, czy zdąży na właściwy pociąg.

Zdawało jej się, że wyjechała za późno; martwiła się, że jadą leniwie i że ten wiosenny deszyk, który z głębi powozu przedstawiał się jako ruchoma siateczka, drgająca przed nastawioną budą, usiłuje bieg pojazdu zahamować.

Jakoż wkrótce powóz istotnie zatrzymał się raptem, a Marynia ujrzała na fartuchu dużą rękę; poznała ją i po raz pierwszy zauważyła, że ta podług Belci "niedźwiedzia łapa" jest piękną.

Była to wielka muskularna dłoń, niezwykle formna; długie wyraziste palce na czarnym tle skóry czyniły wrażenie spiżowego odlewu, dobytego z ziemi, któremu ani skazy, ani narosłe pleśni i pyłu uwarstwienia, nie zdołały odjąć cech artyzmu.

— Czy ci nie przeszkodzę? — rzekł, odpinając fartuch, Postański.

I zaraz dodał, jakby chcąc się usprawiedliwić:

—Widzisz, mam interes na stacji!

— Ależ owszem! — robiąc pospiesznie miejsce, odpowiedziała uprzejmie Marynia.

Doktór, otrząsnąwszy grubą watowaną kurtę z rosy deszczu, wszedł do powozu i zakomenderował:

— Jazda!

Ruszyli.

W sercu Maryni zadrżała fala rzewnego wzruszenia z tego powodu, że jej dwukrotnie powiedział „ty”, choć dla Postańskiego, jak się słyszało, wyrażała Belcia, „wsadzić komuś „ty” — to chleb z masłem.

Przytym zdawało się jej, że wypada koniecznie zacząć jakąś rozmowę; ilekroć jednak zdecydowana stanąć przemówić, zwracała spojrzenie na Postańskiego, ulepione zdanie zapadało się w przepaść mętnego smutku.

Starzec siedział do niej profilem. Widziała jego nieruchome białe wypukłe oko, wydatny orłowski i prawy policzek, poryty cały zmarszczkami i przerżnięty blizną, niby przedarty kawał szczelnego zapisanego pergaminu.

Patrzała w te rysy, jak w poszarpane wyrazy skreślone piśmem nieznanym. Dziwaczny rysunek jego zgłoszek podszeptował jej niepojęte dźwięki, o brzmieniach tak posępnych, jak chrzęstliwe wzdrygania się tablic żelaznych, gdy rozszalały wichry przeciąga nicą nad cmentarzyskiem, gdzie już nie grzebią nikogo.

Była to jakaś pełna rdzawych szczęków, metaliczna mowa, nie na ludzką miarę tworzona, język tak twardy, że mógł skrzywić wypieszczone usta.

Jechali długo w milczeniu.

Pierwszy odezwał się Postański.

— Tak! — mruknął do siebie, potrząsnąwszy głową.

A potem, zwracając się do Maryni całą twarzą, zapytał ostro:

— Po co tyż jedziesz właściwie?

I nie czekając odpowiedzi ciągnął dalej:

— Napierałaś się odrazu — wiem!... Ale on nie chciał, chyba później, jak się na miejscu rozejrzy i Ignaś podrośnie... Miał rację... więc pocóż teraz? Przecież zostać przy nim nie możesz i musisz wracać do dziecka.

— On chory!

— Więc cóż, czy myślisz go kurować?

— Nie, ale dojrzyć, zobaczyć jak tam...

— Zobaczyć — przerwał dorywczo Postański. — Bezpieczniej nie patrzeć. Oko, to podły instrument; niejedno zobaczy i potem pazurami nie wydrzesz tego z pamięci. Takie to głupie te gały — mruknął i urwał nagle.

A po chwili zapytał prawie gniewnie:

— Więc znaczy: jedziesz?

— Przecież doktor sam...

— Chcesz powiedzieć, że namawiałem, bo dałem te listy. Może; ale teraz kategorycznie odmawiam, po namyśle — odmawiam wbrew własnej wygodzie — odmawiam, rozumiesz! Bo, jak każesz zawrócić, będę musiał rypać na stację piechotę, a kapuśniak mrzy, choć może i przejdzie, bo deszcz ranny i płacz panny, oba krótkotrwałe...

Maryni drgnęły płochliwe usta; w głosie doktora dźwięczał ostrzegawczy, złowrogi ton, niby daleki sygnał ciągnącego na krwawy łup niebezpieczeństwa.

— Nie każę! — wyszeptała trwożnie i żałośnie.

Doktor westchnął; machnął niechętnie ręką i, osowiały, począł się wpatrywać w rozpyloną kurzawę dymiącego dżdżu.

W Maryni w zgiełku chaosu trzepotał się gwałtownie niepokój, jakby dopiero teraz zrozumiała, że puszcza się w drogę daleką i nieznaną, niewiedzieć po co, zupełnie bezradna wobec cierpień dręczących ciało i duszę człowieka, co się stał szaleństwem radości i ognistym bólem wszystkich jej zmysłów, władz serca i mózgu.

Powóz znów się zatrzymał na chwilę.

Podniósł się szlaban i przetoczyły się koła z dźwięcznym turkotem w poprzek toru kolejowego. Wkrótce ukazała się nędzna stacyjka.

Okazało się, że do nadejścia kurjera pozostaje pół godziny czasu. Przed zamkniętą kasą szwargotało żywo paru chałatowych żydków; między dużym oknem i wagą na drewnianej ławce, reprezentującej poczekalnię trzeciej klasy, chrapał rozwalony chłop w żółtym kożuchu i barankowej czapce, w nogach jego siedział jakiś mizerak w długich butach i kaszkiecie z oberwanym daszkiem i cienką laseczką kreślił zygzaki na zbłoconej kamiennej posadzce.

W poczekalni drugiej klasy nie było nikogo.

Marynia roztarasowawszy się z manatkami na ceratowej kanapce, zajęła się poprawianiem roztrzęsionej jazdy koafjury, a Postański obejrzawszy wszystkie tablice i wybladłe ogłoszenia, porozwieszane na ścianach, skierował się w stronę bufetu, skąd rozlegał się intrygujący go szmer.

Gdy zbliżył się, nad ladą ukazała się rozczochrana głowa czerwonej, rozmazanej dziewczki, która obrzuciwszy doktora ciekawym spojrzeniem, pochyliła się znów i z pasją, klnąc ordynarnie, poczęła dmuchać w uparty samowar.

Postański powiódł okiem po stole bufetowym,

gdzie pod zakurczonym kloszem jęłczał w towarzystwie wyschłych skrawków kiełbasy dziurkowaty ser, oklejony srebrnym papierem; dalej stał gąsiorek wódki, parę talerzyków z czymś, śnać jadnym i sztuczna palma, otoczona wianuszkami butelek wina krymskiego. Zmacawszy twardość bułki, Postański machnął ręką i cofnął się do stołu z pochyłym blatem, oklejonym ceratą; tam widniał kałamarz z wetkniętą obsadką.

W kałamarzu dużo było różnych rzeczy, ale tak mało atramentu, że doktor musiał napluć do środka, by otrzymać parę kropel mętnej cieczy, którą z pomocą zardzewiałej stalówki zdołał namazać, jak kwaczem, telegram następującej treści:

“Jak zdrowie Gintowta? Żona dziś jedzie. Proszę spotkać na dworcu, wszystko ułatwić”.

Przy podpisie po chwili namysłu dodał:

“Ten sam co uleczył”.

— Chyba pamiętają — mruknął, przejrawszy papier; wygrzebał z węzełka chustki dwie zmięte rublówki i wyszedł.

Marynia tymczasem wydobyła z koszyczka zapasy i gdy doktor powrócił, zaprosiła go do śniadania.

Dary Belci zostały spożyte wyłącznie przez doktora, gdyż Marynia poprzestała na szklance herbacianej lury, którą w formie rewanżu postawił Postański.

Sama stacyjka zaczęła się powoli ożywiać.

Marynia i Postański wyszli na peron i przechadzali się w milczeniu, oczekując pociągu, który się zatrzymał na stacyjce zaledwie parę minut.

Deszcz już właściwie nie padał, ale słońca nie było widać, między szarem niebem i roskistymi

garbami zrudziałych pól wisiał drobniutki pyłek oślizłej mgły, tak, że patrzyło się na świat jak przez spotniałą szybę.

Nagle zrobił się gorączkowy ruch; z krzykiem "na bok!" przetoczyła się żelazna taczka z kuferkiem Maryni; trzasnęły drzwi i wyleciał krępy brunet w czerwonej czapce, zapinając po drodze mundur.

Pod ścianą wyrósł, jak z pod ziemi, lichy odziany młody parobczak i zastygł jak posąg, z rozdartym rękawem, trzymając w ręku sznurek przywiązany do serca dzwonka.

Za chwilę brzęknął dzwonek, i z hukiem i turkotem wpadł zdyszany, krótki pociąg. Zaszumiała wypuszczona para. Wyskoczyło na peron paru konduktorów, wykrzykując nazwisko stacji. Jakiś pasażer bez czapki, z imbrykiem w ręku, puścił się ku drzwiom bufetu i, rażony nowym uderzeniem dzwonka, pędem zawrócił nazad.

Marynia za tragarzem znikła w przedziale drugiej klasy, a po chwili wróciła na platformę.

— Jest miejsce do spania? — spytał Postański, stojąc tuż przy stopniach wagonu.

— Jest — odpowiedziała Marynia tonem zamysłonym, zaplatając drobne ręce na spuszczonej sztabie poręczy.

Po dłuższej pauzie doktor raptem począł mówić prędko urywanym głosem, jakby mu brakło tchu:

— Więc ty mu powiedz, uważasz!... Głupstwo, wszystko minie! Ty, serce moje, jakby tam co, to pamiętaj, że masz Ignasia! i ja!... Pamiętaj!

Jęknął trzykrotnie dzwonek, rozległ się terkotliwy gwizd, ponuro stęknęła lokomotywa, powtór-

ny świst prześwidrował powietrze; szczęknęły łańcuchy, zachwiały się wagony.

Postański spiął się na palce i pocałował Marynię w złożone ręce.

Ona wyciągnęła filigranowe dłonie, ale już go nie mogła dosięgnąć; wychyliła się więc naprzód, robiąc znaki pożegnania.

Doktór długo ścigał oczyma tę twarz i rękę, trzepocąc się przy niej, niby motyl przy płatku kwiecica, aż unoszona wichrem pary, dymu, turkotu, zgrzytu i żelaza, roztopiła się w mgle stalowej.

Podniśla się gdzieś kolorowa łapa sygnału. Zamajaczyło światło latarni. Znikli z peronu ludzie. W dali porwał się ostry ton trąbki drożnika i zgasł.

Chwilowo zelektryzowana stacyjka pograżyła się w zwykłą drzemkę, a doktor stał ciągle wlepiając mętne źrenice w nieskończone linje szyn, jakby zamagnetyzowany ich wytartym połyskiem.

Po dniach słoty przyszły dwie wielkie ulewy.

Strumienie ogrzanych deszczy roztopiły brudne śniegi, zatajone w wąwozach, dziurach i wykrotaach, zmyły zaskorupiałe pleśni zimy na ziemi, a jasne słońce i klucze ptaków w błękitach obwieściły tryumf wiosny na niebie.

W ciągu kilkunastu dni cały krajobraz zmienił się do niepoznania: Suche miotły w parku jęły się nocami przyodziewać listowiem, wyleniałe gazony i pola poszywały się miękką runią delikatnej trawy.

Śniwoda, rozbudzona przez ptactwo, witające radosnym krzykiem wielkie jej zwierciadło, zako-

łyssała od brzegu do brzegu miłosnym rytmem odbite w nich lazury.

Dzieci wypuszczone z mieszkania, niby gołębie z arki, pomimo surowych przestróg Belci nie siadania na wilgotnej ziemi, przynosiły do domu coraz częściej pozielenione ubranka i mnóstwo wiadomości: to, że lipa w liściach, kasztan ma już kity, czeremcha biała od góry do dołu, szary ptaszek gnieździ się w porzeczkach, dzieciół kuje w ciemnej aleji, a bocian niósł do wsi maleńkie dziecko, a może tylko taką dużą żabę.

Pan Borowski, który niedawno skarżył się na duszność w piersiach i wróżył sobie rychłą śmierć, ozdrowiał nagle, dosiadł deresza i z młodzieńczym animuszem począł się uwijać po polach i hukać na parobków, jak przez tubę.

Belci przybyło w krowiarni i w ogrodzie roboty "póty", jak się wyrażała, podrzynając pulchnym różowym palcem białą, ślicznie postawioną szyję.

A pan Ignacy korzystając z ciepła, zabrał się do picia Karlsbadu.

W tym celu wstawał o godzinie 6-ej rano i spacerując po parku, w półgodzinnych przerwach wlewał w siebie małymi haustami trzy kubki wody, którą w specjalnym naczyniu z termometrem ogrzewał stary Jan, nader sceptycznie usposobiony do tych zamorskich wynysłów.

— Na czczo wódka i to zemgli — gderał, gdy pan Ignacy żalił się na osłabienie — a cóż dopiero taka szwabska woda zgniła i ciepła!...

— No, no, no! — mitygował zrzedę pan Ignacy, choć czuł, że kuracja idzie nieszczególnie; przypisywał to jednak brakowi spokoju.

Jakoż w istocie naprzód Belcia przez troskliwość robiła mu kilka razy na dzień awantury z powodu rzekomego przekraczania djety. Boroński piłował go w sprawach gospodarstwa, a do wszystkiego dołączał się absolutny brak wieści od Maryni, czym się gryzł.

— Na dobrą sprawę możnaby już i dojechać i wrócić, i co najmniej wór listów napisać — zakończyła Belcia pewnego wieczoru dyskusję w tym przedmiocie. I zepsuła mężowi całą noc.

Pan Ignacy do późna zastanawiał się nad przyczynami milczenia Maryni, robiąc tysiące coraz mniej prawdopodobnych przypuszczeń, aż się zorientował, że mu się kręci we łbie z senności i zmęczenia, zgasił światło, obrócił się do ściany i zamknął powieki, pod którymi błysnęło kilka ognistych linii.

Chciało mu się bardzo spać, a sen nie nadchodził, natomiast rozigrane władze wyobraźni poczęły w ciemności wyrabiać istne orgje: Jaskrawe szczątki dawnych obrazów, wspomnienia świeżych wrażeń zlepiały się z urywkami dziwacznych pojęć w jakieś pstrokate figury, pozbawione określonego kształtu i sensu, to znów tworzyły poplątane łańcuchy, idące niewiadomo skąd i dokąd wirowym, migotliwym ruchem. Chwilami upiór snu zamacał całą istotę i dawał fałszywe wrażenie głębokiego uśpienia: znikało wszystko podobne do myśli w dymie szarej mgły, w której zwojach poczynaly się kłębić rozwiewne, nigdy niewidziane postacie o potwornych kadłubach, bezkształtnych głowach, wyrażających duszność, przestרח i boleść. Wówczas pan Ignacy w zimnym pocie zrywał nadludzkim wysiłkiem ciężkie tępa tego le-

targu, otwierał oczy i nie poznawał położenia przedmiotów w swoim pokoju: zdawało mu się, że leży obrócony głową do okna, które tymczasem połyskuje w stronie nóg; macał ręką ścianę i powoli przekonywał się, że wszystko znajduje się na właściwym miejscu.

Przewracał się wtedy na drugi bok, otulał się szczelniej w kołdrę, ścisnął rozpaczliwie powieki i poczynął rachować w takt pulsów krwi, walącej w skroniach gorących:

— Raz, dwa, trzy... dziesięć, dwadzieścia!... Kury pieją, drą się jak opętane! Bodaj ich djabli!... List Maryni mógł zginać, jak ten wtedy od ojca tak ważny, bo o pieniądze...

— Ja nie liczę! — spostrzega pan Ignacy i znów się zabiera do rachunku.

Jest w wielkiej sali; tłum gości. Wiktor tańczy mazura z Marynią, która chce jego właśnie dobrać do figury; tu pan Ignacy spostrzega z przerażeniem, że jest bez butów, że mocno przerażony kryje się za krzesło, chcąc ukryć ten brak w swojej tualecie, i jednocześnie pociesza się myślą, że jest to tylko sen. Nagle ciżba się rozsuwa i wynurza się postać Postańskiego, który mu kładzie rękę na prawym boku, ciężką i gorącą, jak kawał gorącego żelaza.

Krótki, przeszywający ból; łuna ognia i wszystko zapada się w głąb nieznaną, a on ostatni.

Nad ranem zbudził pana Ignacego stary Jan.

— Czego chcesz u diabła? — zaprotestował, wytrzeźwiony mocnym targnięciem pan Ignacy.

— Już po szóstej, woda czeka! Pan zasnął!

— A ubranie oczyściłeś?

— A jakże!

— Pokażno zegarek!

Okazało się, że jest wpół do siódmej. Nie było rady, pan Ignacy począł się leniwie ubierać.

Czuł niesmak w ustach, zawadzanie w okolicach wątroby. Wziął kubek i, krzywiąc się, żółty, jak cytryna, popijając ciepłą gorzkawą wodę, powlókł się po parku.

Poranek był pogodny: Po wodnej roztoczy nieba na skrzydłach lekkiego perłowego obłoku żaglowało w zenity błyszczące słońce. Wzdychał słodko wiatr. Mięliste, lśniące liście drzew i krzaków, przypruszone pyłem wysychającej rosy, szepotały sobie dyskretnie historie minionej nocy miłości. Tu i ówdzie ćwierkały wesoło wróble; śmigłe jaskółki, jak kule pierzaste, przeszywały jędrne powietrze.

Znacznie wyżej, niby wieniec jasnych kwiatów, rozwiany, szybowało w błękitach stado gołębi.

Przeciągnęły ostrym klinem kaczk i zapadły w oczeretach mgły, wiotkiej jak nici pajęczce.

Z tej strony słychać było szum i bulgotanie przelewającej się przez stawidła wody, silne, nierówne uderzenia kijanek, pluskanie rzucającej się ryby; a z przeciwległego brzegu, z jasnych kęp brzoź i klonów, sprawiających na ciemnym tle sosen wrażenie bukietów światła, odzywały się stale turkawki i często kukulka.

Wysoko pławiła się rdzawa kania, błyskając od czasu do czasu srebrnym podszyciem zakrzywionych skrzydeł, niby jataganem ze stali.

Gdzieś w pobliżu rozlegało się rażne parskanie konia, a po chwili basowy, trochę ochrypły śpiew:

Hej, tam na jeziorze,
 Rybka mała
 Ostrem skrzelem
 Wodę porze!
 Wodę porze!

A wtym szczupak się pomyka
 Się pomyka
 I polyka
 Ją nieboże,
 Oj nieboże!

To pan Borowski jechał wzdłuż brzegu Śniwody, i, dziarsko ćwikając leszczynowym prętem nad uchem starego deresza, puszczał na lśniące kręgi wody potężny swój głos:

Ale byłbym wielkim żakiem,
 Wielkim żakiem,
 Gdybym cię choć nie skosztował!

(Przypomniało się panu Ignacemu swawolne zakończenie następnej strofki i poweselał nagle.

Ciekawszym okiem rozejrzał się dokoła i odczuł w szerokim krajobrazie najwybitniejszy jego ton: bujność i rozmach wydzierającego się na zewnątrz życia, które tętniało rozlewnym rytmem wszędzie — w rozgrzanych świegotem ptactwa gęstwinach zieleni, w wilgoci tłustej ziemi, falującej ziołami zbóż, w czystych masach powietrza, drgających zapachem i złotem strun promienistego słońca.

Jakby odświeżony tym wrażeniem szedł już zwawo w stronę domu. Jedną ręką chwiał kubkiem w takt dźwięczącego w uchu motywu, drugą klepał po osiwiąlej mordzie Ralfa, który mu towa-

rzyszył w rannych przechadzkach. Uszczęśliwiony pieszczotą kundys, wywijał szybko oblepionym bodziakami ogonem, wspinał się na tylnych łapach i chwycił spiłowanymi zębami dłoń pana, wydając chrapliwe rżenia, które miały naśladować pisk radości.

Nagle wybiegł naprzód, zatrzymał się i nastroszył wilcze uszy; pan Ignacy również przystanął, słysząc zbliżające się trajkotanie niekutego wozu. Po chwili między topolami ukazały się dwa gniade, łyse, kolankowate koniki i woźnica w szerokim słomianym kapeluszu i chłopskiej świcie.

— Sza, tu! Ralf! — zawołał pan Ignacy na psa, który rzucił się z ujadaniem, ale dopadłszy wozu, uciął i szczekając wesoło, począł podskakiwać do wysoko wymoszczonego siedzenia, na którym widniała okutana postać niewieścia.

Gorąca, płochliwa fala rozlała się w piersiach pana Ignacego, błyskawicznie skrzyżowało mu się w głowie przypuszczenie z wątpliwością; przyspieszył kroku, zbliżył się do ganku i miał już pewność.

— Marynia! — krzyknął, podbiegł i pochwycił w objęcia schodzącą z wozu bratową. — Jak się masz, serce, kochanie! — począł mówić, ale czułe słowa skrzepły mu w gardle od chłodu, który wionął od ciepło ubranej postaci.

W zimowym burnusie, jak wyjechała, w futrzanej foczej czapeczce stała przed nim obojętna, o filigranowych, sztywnych rysach, jakby wyrzezbionych z kości słoniowej; szare źrenice, nieco zdumione i nieruchome utkwiała w jego twarzy.

W pewnym momencie panu Ignacemu wydało się, że te źrenice ożywiają się, ale było to tylko

złudzenie wywołane drgnięciem długich rzęs, one patrzyły nań dalej martwe, tępe i oślepiałe, jak oczy ślepeca.

— Maryniu, co tobie? Bój się boga! Jakże tam Wiktor? — jął się znów dopytywać pan Ignacy zdyszany ze wzruszenia głosem.

— Wiktor umarł! — posłyszał słowa wyrzeczzone bez przerwy i żadnej intonacji, jak jeden za długi wyraz i, jak przywalony ciężarem siadł raptem na schodach, śledząc machinalnie płynący w górę burnus brązowy, oszyty futerkiem popielatym, i oberwaną falbanę czarnej spódnicy, która zaszeleściła po stopniach, na progu zawinęła się w fałdę i znikła we drzwiach.

— Wiktor umarł! — po chwili absolutnej pustki w myślach, powtórzył mimowoli, jakby zdziwiony, i uczuł raptem natychmiastową potrzebę podzielenia się z Belcią nieprawdopodobną wieścią.

Wstał i, potykając się o Ralfa, który mu się płatał u nóg, wpadł do pokoju.

— Gdzie pani? — wrzasnął na Stefanka, frote-rującego posadzkę.

— W spiżarni — spadając ze szczotek, odparł chłopak, wystraszony ostrym dźwiękiem głosu łagodnego pana.

Ignacy przebiegł pokój dziecięcy; tam spłoszył z przed lustra czeszącą się bonę, pannę Florentynę, która cofając się z piskiem za parawan, skrzyżowała szczerlnie chude ręce na miejscu, gdzie gorset odstawał od deskowatej piersi; potrącił kogoś w korytarzu i zwolnił kroku, słysząc podniesiony głos Belci.

— A pójdziesz! Któż tam znowu Ralfa wpuszczał? Zabierajże go! — zawołała rozpaczliwie na

męża, odpychając nogą psa i podnosząc w górę talerz pełen twarogu.

— Wiesz?...

— Co mam wiedzieć?...

— Wiktor umarł! — dokończył złamanym szeptem pan Ignacy, wyrzuty nagle z sił.

Belcia cofnęła się o krok, patrząc na męża szeroko rozwartymi oczami. — Co ty mówisz? — rzekła przyciszonym z przerażenia głosem.

— Marynia wróciła, Wiktor umarł — wyjąkał pan Ignacy, zdjął binokle i przycisnął palcami powieki mętnych oczu.

Belcia przybladła, oparła się plecami o ścianę i jęła powtarzać:

— Boże, Boże!

Potym szybkim ruchem zbliżyła się do męża, objęła go oburącz za szyję i zaszlochała cichym płaczem.

Po wyzółkłych policzkach pana Ignacego z kącików przymkniętych oczu poczęły się sączyć cienkie łzy.

Wieść o powrocie młodej pani i śmierci pannieczka, jak zawsze nazywano Wiktora, rozbiegła się szybko po Klonowie i zrobiła niemałe wrażenie zwłaszcza wśród starszej służby.

Jan i pan Borowski byli formalnie rozżaleni na Wiktora za wszystko, co im ten ulubiony urwisz narobił.

Klucznica dowodziła, że dawno już przeczuwała taki koniec, a zwłaszcza, jak w szafie deska "łupła", była pewna, że się coś złego musi przytrafić, tylko nie chciała mówić.

Do dzieci przekradła się wiadomość przez Ignasia, któremu panna Florentyna, jakkolwiek nie

znała Wiktora, z płaczem dochodzącym do spazmów, uroczyście oznajmiła o zgonie ojca.

Ignas o istocie śmierci miał niewiele gorsze wyobrażenie od dorosłych; wiedział, że jest to rzecz nie powszednia, na którą nie tak łatwo się zdobyć, i zapomniany w ostatnich czasach tatuś przez ten krok niezwykle urósł mu do niezwykłych rozmiarów.

Z pewną dozą dumy zwierzył się z tej nadzwyczajnej przygody tatusia przed Aurelką, która przyjęła tę wiadomość z należyтым podziwem. Cały zaś cień, smutek bezwiedny, który padł na duszę Ignasia, od bliższego zetknięcia się ze śmiercią szybko został niejako zasnuty szychem ambitnego zadowolenia, jakie mu sprawiło jawne wyróżnianie jego osóbką przez wszystkich.

Powodów tego wyróżnianie nie rozumiał, tak samo jak nie mógł pojąć dokładnie, dlaczego nagle go pieścą i nazywają półsierotą, ale domyślał się, że wszystko to pozostaje w ścisłym związku z ostatnim czynem tatusia, i wraz z podziwem dla ojca rodziło się nieśmiałe uczucie tkliwej dlań wzięczności, pewien naiwny pietyzm dla jego pamięci.

Tak więc dziecko przyjęło zmarłego Wiktora zupełnie inaczej, niż dorośli, bo z rozczeniem wdzięczności i pogodnie, podczas kiedy w ich żalu po nim fermentował pierwiastek szczególnej pretensji do nieboszczyka, jakby zawinił i, jeśli się to nie ujawniało otwarcie w słowach a nawet w myślach, to niemniej istniało w rozgoryczeniu serca i zaprawiało odpowiednio i słowa i myśl.

— Ha, cóż robić, wola boska! Kto wie, może

to i lepiej... dla niego, bo cóż takie życie, pasmo udręczeń. On tu, ona tam! jedno zmartwienie!

— Zapewne! — wzdychał smutno pan Ignacy, przyczym czasami robiło mu się trochę przykro, jakby się wstydził i rozumiał, że, mówiąc tak czyni jakąś ujmę bratu.

Jakoż istotnie, by ulżyć sobie, zmniejszali oboje wartość straty, zniżając tym samym wartość zgaszonego istnienia.

W ten sposób i pod tym względem uczucia ich wobec śmierci Wiktora różniły się radykalnie od uczuć Ignasia, któremu śmierć podniosła postać ojca na tajemnicze wyżyny, utrwaliła i, niby wonny balsam zwłoki, uchroniła od rozsypania się w proch wszystkie szczątki wspomnień, które dotychczas zdołały się zachować w głębi jego duszy.

Wogóle przywieziona przez Marynię wieść była obu państwu Ignacostwu ciosem nietyłe dotkliwym, ile nagłym i przez to ogłuszającym.

A złożyły się na to różne okoliczności.

Najprzód od paru lat nie widzieli Wiktora, mimo to jednak, dopóki trwały troski i kłopoty z tego powodu, przywiązanie braterskie nie tylko nie słabło, lecz jakby się podsycalo podmuchem niepokoju.

Ale później, gdy się wszystko wreszcie rozstrzygnęło, gdy przebolawszy doznane zmartwienia, poczęli się godzić z losem, jednocześnie żywość uczuć dla brata jęła płowieć w ich sercach, jak płowieją w oczach barwy oddalającego się przedmiotu. Przytym nie wstrząsnęła ich groza śmierci, lecz tylko jej echo.

Nie widzieli ani szczebli boleści, po których w nicość, wzdrygając się przed nią, zstępowało to

życie, ani siności trupa, dołu ziemi, migających szybko łopat, by spieszniej zasypać mogiłę; nie wiedzieli nawet, jak to się stało i kiedy właściwie.

Wszystko to niewątpliwie stępiało grot ciosu, choć z drugiej strony brak wszelkich szczegółów o śmierci Wiktora sprawiał wrażenie pewnego niedosytu, budził w uczuciach łaknienie ostrej zaprawy do ćmiącego w nich smutku.

Doświadczali tego oboje, a zwłaszcza Belcia, która po prostu nie mogła sobie dać rady z tego powodu.

Delikatność nie pozwalała indagować Maryni, należało czekać na jej zwierzenia; a one nie nadchodziły. W dodatku w całym zachowywaniu się Maryni, było coś nie dającego się ściśle określić, jakaś nieprzystępność, która niweczyła nadzieję otrzymania kiedykolwiek komentarzy do słów "Wiktor umarł".

.

I na tym się urwała pierwsza ich rozmowa.

W porze obiadu znów zeszli się wszyscy.

Przy stole Marynia zajęła swoje dawne miejsce.

Nie zauważono w niej nic szczególnego; była mizerna jak ludzie zdrożeni, trochę niedbale uczesana i za spokojna. Jadła może więcej niż zazwyczaj, ale inaczej; raz powoli, machinalnie, jakby w roztargnieniu, przerywając jedzenie pauzami wpatrywania się wprost przed siebie, to znów, gdy szcęknięto nakrycie, z nerwowym pośpiechem oglądając się w stronę, skąd się ów dźwięk rozległ.

Milczała, jak zresztą wszyscy, nie wyłączając dzieci, których żywość krępował i ciężki na-

strój starszych i spojrzenia Belci — surowe, karzące każdy zamiar figla, panny Florentyny — rozpaczliwie zgorszone.

Siedziały więc i one cicho, kiwając pod stołem zniecierpliwionymi nóżkami i, naśladując starszych, poskramiały się nawzajem giestami i strojąc poważne miny, lub wpatrując się natrętnie nieco wylękłymi oczyma prosto w twarz Maryni, która zachowywała się zupełnie biernie wobec tych spojrzeń i całej ceremonji, odprawianej głównie na jej intencję,

Pani Izabela rozumiała, że choćby przez jeden wzgląd na obecność służby, bony i dzieci w czasie obiadu nic się stać nie może, ale za to liczyła na poobiednią siestę, która się od wieków odbywała w małym saloniku...

Jakoż gdy się tam znaleźli we troje, ogarnęło ją silne wzruszenie; drżącymi rękoma rozlała herbatę i nastrojona minorowo z westchnieniem szczerego smutku siadła i czekała.

Pan Ignacy również uczuwał niepokój, była nawet chwila, w której miał ochotę uciec, ale jakaś obca siła zatrzymała go w głębi fotelu.

Marynia tymczasem obracała bezmyślnie srebrną łyżeczką w szklance, jakby jej bardzo zależało natym, by się cukier co prędzej rozpuścił i zdawała się być pochłonięta jedynie tą sprawą.

Wkrótce pani Izabela odgadła intuicyjnie, że i ta chwila, tak odpowiednia dla zwierzeń, spełźnie na niczym, że ta nieprzenikliwa "mumja" nic nie widzi poza szklanką herbaty, którą wypić należy, bo stoi przed nią i cała życzliwość współczucia względem Maryni, które ją już napępniało po brzegi, spiekło się w oschłym wrażeniu wrogiego

rozdrażnienia. Jednocześnie Belcia była gotowa gwałtem wedrzeć się w duszę Maryni, choć jeszcze jasno zdawała sobie sprawę, że jest w tym i brutalność i okrucieństwo. Ale wkrótce i te skrupuły znikły, pozostał w nich jedynie inglisty instynkt, kształtujący formę postawienia kwestji.

W rezultacie Belcia stłumionym głosem spytała nagle:

— A kościół tam jest?

Pan Ignacy drgnął jak ukłuty.

Marynia podniosła na bratową zlekka spłoszone oczy, podała się naprzód głową, jak to czynią ludzie głuchawi, i po pauzie wydzierający się z jej tępych źrenic przeblysł znikł, jakby się cofnął, a twarz, która się była zmieniła na moment, przybrała poprzedni, tylko więcej natężony wyraz obawiania.

Z goryczą w sercu, zawstydzona własnym postępkiem Belcia, dla pozorów posiedziała jeszcze chwilę, poczym pospiesznie opuściła pokój, nie domyślając się, że jej pytanie nieskuteczne na razie nie chybiło jednak celu, jak to ujawniło się nazajutrz.

Dnia tego przed wieczorem zjawił się Postański.

Śmierć Wiktora, jak się okazało, nie była dlań niespodzianką, przyjął bowiem wiadomość z odpychającym spokojem.

— Należało tego oczekiwać — mówił — jechał już dobrze podcięty, a przytym dla głupstwa niktby mu nie pozwolił wylegiwać się na tapczanie. Musiało mu nie wiele brakować, skoro go doktorzy przy wzięty w obroty.

— Czy skończył nagle? — spytał, opanowując

drapieżne akcenty, którymi stopniowo nasiąkał jego głos.

Na twarzy Belci odbiło się silne zakłopotanie.

— A, widzisz! — jakby z wyrzutem zwróciła się do męża.

— Pan pyta, a my jak tabaka w rogu!

— Tak, doktorze, przykro wyznać, ale nic nie wiemy, ani co, ani jak, ani kiedy? nic a nic, umarł i basta! mniej niż w klepsydrze... Żeby choć słówko pisnęła, albo sobie śpi, albo się tłucze, jak ćma po kątach, albo siedzi i milczy jak pień!...

— Belciu! — strofującym tonem starał się pohamować żonę pan Ignacy.

Ale w niej już wszystko było w rozpędzie.

— Daj pokój! — przerwała w podnieceniu — jeżeli ona tego nie pojmuje, to się da jeszcze jakotako wytłumaczyć, ale ty powinienesz zrozumieć, że kto jak kto, ale my mamy chyba prawo, nawet obowiązek wymagać, by nas raczono wtajemniczyć w cały przebieg tego nieszczęścia. Są to rzeczy przykre, smutne, ale drogie, których wspomnienie powinniśmy zachować dla...

Tu Belcia szerokim ruchem ręki wskazała dzieciarnię, która wypadła ze szpaleru strzyżonej akacji: pierwszy, naśladując zająca, zmiatał co się krępy Zygmus, za nim z piskiem, naśladując gonięcie psów, biegł spocony, tłusty Mieczys i Aurelka, z roztrzepanymi loczkami, z tyłu wlokąc za rączkę trzyletniego Apusia, a za nim dążyła wielkimi krokami panna Florentyna w zsuniętym na tył głowy kapeluszu, wołając z wystraszoną miną:

— "Pas si vite, enfants! pas si vite!"

— "Ou es Ignas?" — spytała Belcia, gdyż jego to miała na myśli.

— “Madame, lui change l’habit!” — odparła bona, znikając na skrócie alei.

— Więc się dzieckiem jednak zajmuje! — mruknął ponuro Postański, ściągając gniewnie czoło.

— Widocznie! — odrzekła Belcia — choć po miesięcznym niewidzeniu jedyne go syna....

— Dwadzieścia dwa dni tylko — poprawił pan Ignacy.

— Ach, ty zawsze — zaczęła popędliwie Belcia i umilkła, bo w tej chwili przed werandą ukazał się Ignaś, miał na sobie ciemne spodenki po kolana i wyrzucaną bluzkę z kołnierzem marynarskim; zlekka zaczerwienione powieki i zasmarkany nos świadczyły, że niedawno płakał.

— Gdzie, ciociu, wszyscy? — spytał żywo, trąc niecierpliwie wystającą kostkę jednej nogi, chudą, pociętą łydkę drugiej, i nie czekając odpowiedzi, posłyszawszy daleki hałas, krzyknął cieniem dyszkantem:

— Hop, hop! — podskoczył w górę i puścił się pędem w tę stronę, zadzierając wysoko małe brudne pięty.

W pobliżu rozległ się cichy, żałośnie wołający jęk, niby wyrzut:

— Ignasiu! — i zgasł równie szybko, jak się porwał.

Doktor, Ignacy i Belcia, jak na komendę obrócili się w tym kierunku.

Był to głos Maryni.

W czarnej sukience, nierównym, plątającym się krokiem, jakby zawadzając o niewidzialne przeszkody, ze słabym wypiekiem na bladych policzkach, zbliżyła się d owerandy i stanęła w jasno-

zielonej framudze delikatnych liści krzewiącego się wina.

Złożyła drobne dłonie na drewnianej balustradzie, zaciskając na niej kurczowo subtelne pociągłe palce, które zdawały się to argać, to drętwieć na przemian.

Wolnym obrotem głowy przenosiła kolejno z twarzy na twarz duże nieruchome oczy, zmęczone, jakby zawrócone wewnątrz, i zasnute mgłą długotrwałej gorączki, przypatrując się każdemu z obecnych pilnie i badawczo, jakby ich poznawała po raz pierwszy.

Była to dla wszystkich niewypowiedzianie ciężka chwila: nie mógł wytrzymać tego błędnego spojrzenia pan Ignacy; przeniósł je do końca Postański; ale ledwie odeszły te oczy, zmętniały mu źrenicy i przekrzywiły się białka, jakby z nadmiernego wysiłku; Belcia cofnęła się przed nim odrazu, mrużąc powieki.

A Marynia raptem, jakby sobie przypominając z czym przyszła, wyrzuciła jednym tchem:

— Tam, Belciu, niema kościoła, jest tylko ksiądz staruszek-wygnaniec, i on to...

Głos jej zadygotał, chybnął się boleśnie i pękł. Umilkła na parę uderzeń rozdrzanego serca i, obracając się nagłym ruchem do Postańskiego znów prędko rzekła:

— Ten pan dziobaty kazał się klaniać... Że go pan nie zapomniał, dziękuje... i ja także...

Zacięła się ponownie.

A potem, nie patrząc nigdzie, z nerwowym pośpiechem, zamierającym raz po raz głosem, łapiąc to oddech, to wikłający się wątek, chaotycznie, z przejęciem, jakby porywana naprzód tokiem

wstrząsających zdarzeń, poczęła mówić uciętymi zdaniem:

— Przyjechałam. Dzień... Śnieg był. U wejścia zaczepił mnie... cały w dziobach z bielmem na oku... Złękłam się i zdziwiłam...

— Tak, to ja! — powiadam.

I zaraz ucieszyłam się. Pokazał mi telegram, że nie sama jedna, i pan Postański taki dobry... Chciałam od razu do szpitala... Ale on:

— Tak niemożna, bo dziś nie dzień!

— Ja mu listy. Wziął.

— Dobrze — mówi — postaram się.

Zawołał sanki. Takie duże konie... z krzykiem i dzwonkiem poniosły w skok przez szeroką, pustą, długą ulicę.

Domeczek zawiany... Niska, zgarbiona staruszka pocałowała mnie i mówi, jak śpiewem:

— Odetchnij sobie gołębaczko!... a ty miły idź, spraw się... Poszedł. Czekam. A ta znosi konfitury, pierożki... chodzi koło mnie i coś gada. Patrzę w szyby jak w mgłę. Za oknem tak białe i cicho... Sama nie wiem, gdzie jestem, co będzie?... Płakać się chce. Śnieg płatami pada... na śnieg... strasznie smutno....

Tu głos Maryni cichnąc stopniowo, umilkł, jak się rozplywa przewlekłe, tkliwe "pianissimo" struny skrzypcowej, co długo szlocha w sercu, choć już ją rzuciły palce artysty, by dotknąć innej.

I raptem, wzburzona, zelektryzowana, coraz prędzej, jakby nagłona do pośpiechu, wyrzucała:

— Jedziemy... Pozwolenie... pytają żołnierze... Mam... Wchodzę... Duszno... Tapczany w obie strony, ktoś jęczy. Strachlałam... to nie on!... w drugiej salce pod oknem...

— Wiktor! — prawie krzyknęła, podając się w przód. Przybladła, złapała oddech i po dłuższej pauzie skarżyła się z żalością:

— Otworzył oczy, patrzy i nic; nie poznaje... Z płaczem do niego... A on dopiero wtedy:

— Ach, to ty Maryś?! — i całuje... Pochyliłam się, a tu w głowie tyle siwych włosów, tyle siwych... broda urosła i także tyle... Jak poduszki ręce, i bierze tymi opuchniętymi rękami moje w swoje, jak w ogień:

— Wiedziałem, że się wybierasz i po coś ty przyjechała, po co Maryś?!

Ciągle odwraca te oczy jedyne, a mnie tak, jakby kto serce wyjmował. Później uciszył się i rozpytuje o dzieci, o was, o drzewa, o Klonów, o wszystko, o Ralfa, o Ralfa... chciała powtórzyć raz jeszcze wyraz ostatni, ale się złamał w gwałtownym drgnięciu szczęk i jednocześnie kilka łez spłynęło po znękaney twarzy.

— Opowiadam... Zamyka oczy i leży taki cichy. Śpi, myślę — przestałam... Ale on:

— Mów Maryś!... ja widzę wszystko!...

— Ale tu, ale tu... przeszła moja godzina, przeszła... Nie chciałam za nic wyjść, kazali... musiałam. Wyszłam! — Zakończyła z goryczą i drgnęła. Twarz jej oblokła się mętną bladością. Łzy wyschły. W rozszerzonych zalęknieniem źrenicach mignął krótki, przeszywający błysk rozpaczliwej determinacji.

— A kiedym wróciła — zaczęła przenikliwie i głos jej zerwał się tak nagle, jakby to, co nań dźwignęła, przedarłszy powijak wyrazów, zważyło się nazad w głąb jej istoty.

Poruszała długo pustymi wargami, aż w końcu

zatulał się na nie poszarpany szept, niby echo snutej wewnątrz opowieści: — On już był... umarł!...

Zakryła twarz drgającymi konwulsyjnie palcami, a gdy wreszcie odpadły zemdlone dłonie, ukazała się szara maska, rozciągana wszerz boleścią: opieczono usta drżały; obłąkane oczy czyniły wrażenie pękających szczelin, przez które zdawał się widnieć biały pusty bezkres...

— I potem zabili gwoździemi... — zadygotał zdziczały, jakby wyjęty z bezdennej rozpadliny serca samotny jęk — takimi...

Tu rozłożyła drobne ręce na przesadnie dużą miarę.

Odwróciła się raptem i szła zygzakiem w ogród.

Widać było pod obcisłym jej stanikiem wzdrygające się raz po raz łopatki, a w ciszy śmiertelnej dolatywał ni to płacz, ni to kaszel, coś, jakby żałosne zachłystywanie się skrzeczanego dziecka.

Znikła w szpalerze, a na werandzie ciągle trwało milczenie.

Belcia blada i cudownie piękna leżała w krześle ogrodowym z rozchyłonymi ustami i odrzuconą w tył głowę. Pan Ignacy oparł się oburącz o ławkę, jakby usiłując się podnieść z miejsca i ciężko oddychał.

W rogu, pod oplątanym grubą winną łożą słupem, stał bez ruchu, jak posąg, ogromny Postański, w głębokich zmarszczkach brązowej jego twarzy czaił się drapieżnie posępny cień, w podkreślonych krwią wielkich białkach zarysowały się wyraźniej rozplynięte źrenice, a w środkowym ich punkcie tlił się, niby ostrze, płomyk złowrogi i mściwy.

W owej to okrutnej godzinie drgnęły w sercu Maryni pierwsze fatalne skręty nawijanej w minutach śmierci Wiktora sprężyny boleści i, chwytając się trybami za tryby, poruszyły się zębate koła bezlitosnej tortury.

Istota jej, nawskrós przejęta chłodem, który zionął z tej mogiły, na razie jakby stężała, i cały bieg życia wewnętrznego zastygł w jednym miejscu.

Dojechała do Klonowa, niby w śnie letargicznym, a w zeszytniałych mrokach jej duszy tkwiło ustawicznie coś niepojętego, jak gdyby nieruchome straszdyło nocy, hypnotyzujące, zdrętwiałe z przerażenia, władze zmysłów monotonnym szeptem: **Wiktor umarł.**

I oto nagle, pod wpływem drobnych napozor bodźców, w cieple znajomego środowiska, stajał i prysł tężec osłupienia; dusza Maryni wstrząsnęła się w posadach i ruszyło się w niej wszystko, jak w odwilż kra.

Pogrążone w ciemności skrzeplewrażenia rozpuściły się i wypłynęły na jaśnie, w postaci obrazów przenikliwszych, niż sama rzeczywistość, bo każdy rys konturu wysubtelniał obecnie wibrujący ostrz rozjątrzonej świadomości, ton barwy sycił się żywą krwią obolałego czucia.

Wiktor umarł — to, jak krzyż na czele orszaku straszliwych wizji: kiru, trumny, żałobnych lamentów dzwonu, pełgania dymiących gromnic, ponurego jęku requiescat obszedłszy dookoła cały umysł, jęło się spuszczać ostrożnie, krok za krokiem — niby kondukt w czeluście katakumb ciągnący — w podziemia jej duszy głębiej i głębiej, napęlniając posępnym zgiełkiem i światłem te naj-

tajniejsze zakątki istoty ludzkiej, tak czułe i bojaźliwe, że echo szeptu wznieca już tam popłoch, wąły odbłask rani, a blask parzy te rany.

Wreszcie, gdzieś przed niedostępną rozpadliwą zatrzymywało się wszystko, cofało się wstecz i zawracało od początku.

I znów po stokroć gasły w jej oczach i zachodziły szklistym bielmem te jedyne źrenice; nad wydartym z uścisków umiłowanym ciałem zatrząskiwała się deska wieka, rozelkane tętna pulsów były w zadzierzyste gwoździe, u stóp przepaści rozstępowała się ziemia i jak w odmęt udręczeń rzucała się w nią sama, rozmiądzając serce o tę trumnę.

Umarł: — niby oszalałe struny arfy, jednym pociągnięciem szarpnięte, wzdrygały się wszystkie włókna mózgu spazmem tej myśli i rozbrzmiewały naraz wstrząsającym chórem, aż trzeszczała czaszka.

I potym minąwszy zenit wysoko rozpiętej rozpacz, przesilał się zwolna atak gwałtownej boleści.

Nad całym obszarem jej moralnego istnienia rozpościerał się ciężki, dławiący smutek blachami ołowiu; duszę zalegała taka martwota i cisza, jaka panuje w mrocznych przybytkach kościoła przed Wielką Nocą, gdy się przerwie wieczna pamiątka męki ofiarnej, ołtarz miłości zburzony, a pod nim w grobie leży z krzyża zdjęty, zabity bóg, obnażony i w ranach.

W tajemniczej tej ciszy jednak trwał w Maryli ciągle samotny szum głuchego żalu, jakim kuczą długo jeszcze wielkie rury organu, choć już grać dawno przestano, i tułało się niespokojne

przeczucie, że w tym głębokim szmerze czai się jakiś straszliwy dźwięk, który tylko czyha, by wybuchnąć, jak w ciemnościach chmury zatajony grom.

Jakoż zaledwie zdążyło się ukształtować tkliwsze wzruszenie, kojące wspomnienie, marzenie nieśmiałe, jakby w odpowiedzi spadało grzmotem: "niema" lub "nigdy" i druzgotało na miazgę to wszystko.

Wówczas napinały się do ostatecznych granic i bytu instynkty, by odepchnąć te śmiertelne wyrazy, i władze umysłu, by ogarnąć i pojąć ich treść niepojętą.

Ale próżne to były wysiłki.

Nie będąc tedy w stanie ani wchłonąć, ani wytrącić z okręgu uczuć i myśli tego, przeciw czemu buntowała się cała istota, Marynia póty zmagala się z sobą, aż w końcu, cierniową drogą boleśnie gorzkich ustępstw, zawarła rodzaj przy mierza.

Mianowicie, poznawszy bezowocność absolutnego oporu, przez jakiś wyłom dała wtargnąć do swego wnętrza tym żywiołom zniszczenia, jakie były w przeświadczeniu, że kształt, ukochany całym szalem przepalanej krwi, już nie żyje, i w rezygnacji biernej boleści czuła, jak "niema" i "nigdy", niby miecz zagłady i ogień, co aż do zatracenia pożera, pustoszą w niej bujną winnicę miłości, która nieraz w nocie duszne oczekiwań, chyliła się wezbranymi gronami ku temu jedytnemu wybrańcowi jej zmysłów.

I w miarę tego, jak znikały fizyczne elementy miłości do Wiktora, cielesna jego powłoka wysubtelniała się niejako w jej wyobraźni, zatracala

pierwszorzędne znaczenie, odsuwając się na plan dalszy, a zato coraz plastyczniej wyłaniał się jego moralny wizerunek, zyskiwał na doniosłości, aż stał się głównym rdzeniem ukochań i pożądań wszystkich najdelikatniejszych władz jej duszy.

Marynia mogła już bez rozpaczy myśleć, że nie istnieje, a raczej przestać myśleć, czy i gdzie istnieje ta smukła postać, te przepaściste oczy, brwi jak sobole, energiczna, pełna dobroci i pracowitego znużenia, ukochana twarz mędrca i apostoła?

Ale nie mogła bez rwania w sercu ani na chwilę przypuszczać, że ten żarliwy ogień ustawicznie płonący równym i niezmiennie wysokim płomieniem, został zgaszony, że niweczącym potęgą „niema” i „nigdy” ma na łup wydać i jego duszę, że ta szlachetna skarbnica uczuć i myśli ma być na zawsze dla niej zamknięta. Tu niepodobieństwem było najdrobniejsze ustępstwo, jeno walka do upadłego — śmierć lub zwycięstwo, nie więcej.

Jakoż nakoniec Marynia, prawie na skraju kłęski, znalazła ocalenie w postaci wiary.

Nie była to jednak bynajmniej powrotna fala zasad religijnych, lub choćby pojedynczych jej dogmatów: nieśmiertelności i zmartwychwstania. Pierwiastek, który w niej powstał, był czymś zupełnie nowym:

Marynia mianowicie uwierzyła w możliwość bezpośredniego obcowania z Wiktorem, jako z duchem, z nim jednym tylko, i nie wątpiła, że jest władna w odpowiednich warunkach otrzymać od tego ducha, z którym nadal trwa w związku nie-

rozerwalnym, znak pewny, a nawet widzenie. I wówczas zaczęło się dla niej inne dziwne życie:

Wszystko, co w zwykłym trybie życia jest uważane za istotne i ważne — cała realna rzeczywistość stała się dla niej czymś błahym, zupełnie obcym, a czasem nawet wprost dotkliwym przez swą brutalną namacalność, którą, jeśli znosiła — to tylko jako przemijającą tymczasowość, niby dłuższy przykry popas na obrzydliwej drodze ziemskiej, przed granicami mistycznej krainy, tak bliskiej przytym, że choć oczy nic nie widzą jeszcze, przeczuwa dusza już od dawna jej tajemnicze tchnienia i drży od stóp do głowy.

Godziny dnia stały się dla niej pustą formą czasu, którą się starała byle czym zasypać, a że wszystko dla niej było równie mdłe, wróciła do swoich dawnych zajęć i w ten sposób weszła w powszedni tryb życia Klonowa.

Państwo Ignacostwo wywnioskowali z tych pozorów, że Marynia nakoniec przeboleła cios śmierci, a niektóre niezupełnie normalne objawy, jak na przykład: podniecony nastrój zbliżaniem się nocy, oddawanie się bez wyboru każdej nastroczającej się robocie, bez względu na jej wagę i ostateczny rezultat, pewna mechaniczna zawziętość w samym procesie pracy, połączona z niedbalstwem wykonania — wszystko to składali na karb silnego zdenerwowania i byli pewni, że to z czasem przejdzie samo przez się, jak minęły owe paroksyzmy strasznej pierwszej rozpacz. Cieszyli się, widząc zmianę na lepsze, niepokoił ich tylko cokolwiek zewnętrzny wygląd Maryni, który istotnie mógł budzić obawy.

Zawsze filigranowa jej twarz przez zmizernienie, powiększenie się oczu, podkrążonych aksomitnym cieniem i wysubtelnienie rysów stała się obecnie czymś nadzmysłowym, jakimś zachwycającym zaziemskim widziadłem, które może się rodzić w głowie artysty, ale i pozostaje w niej, jako wzór idealny, nie dając się technicznie wyrazić w całej doskonałości żadnym ze środków sztuki, bo najmisterniejsze są nadto brutalne.

Najbliższe otoczenie nie mogło sobie zdawać sprawy z całej wymowy i piękności tego oblicza, gdyż ostrze cierpienia kształtowało te rysy stopniowo i na jego oczach, przez co miało czas oswoić się z nimi. Ale na nieobecnych czyniła ta twarz wstrząsające wrażenie, chłopcy nawet bali się Maryni i mawiali, że "młodsza pani patrzy umarło i gdzieindziej".

I rzeczywiście Marynia w dzień właściwie nie żyła, a jedynie figurowała na widowni życia, ze spłynięciem zaś słońca zaczynała patrzeć gdzieindziej.

Taki podział doby był skutkiem intuicyjnego przeświadczenia, że duch Wiktora nie może się objawić w ostrym świetle dnia, w bezmyślnym jego zgiełku, lecz tylko w mroku ciszy nocnej, choćby dlatego, by dać znak, że czyni to dla niej jedynie.

To też gdy zgaszenie światła i cisza naokół świadczyły, że wszyscy już posnęli, wówczas Marynia zrywała się z łóżka, ubierała się byle jak drżącymi z pośpiechu rękoma, po ciemku, by nie obudzić śpiącego w sąsiednim pokoju Ignasia: po omacku, ostrożnie schodziła po schodach oglądając się, czy jej kto nie śledzi, odsuwała cichutko za-

suwki bocznych drzwi i wymykała się do parku.

Tam właśnie rozgrywał się finał tragedji. Stary park klonowski posiadał wiele tak dziwnych i tajemniczych zakątków, że każdy wrażliwszy osobnik znalazłszy się w nocy odczuwał nieświadomy, niepokój.

W miejscach tych ugrupowanie drzew i krzewów, zwłaszcza w poświacie księżyca, tworzyło do tego stopnia fantastyczną panoramę, że zjawienie się w tej dekoracji czegoś niezwykłego nie tylko się wydawało możliwym, ale niemal naturalnym.

Marynia знаła te miejsca i dawniej, przez bojaźliwość, nie zapuszczała się w nie nigdy sama, szczególnie pod wieczór. Obecnie zaś właśnie spieszyła do tych ustroni i szła z zamieraniem tchu w ustach, z bijącym trwożnie sercem z tklivością w rozdrzanych piersiach, niby czysta, nieświadoma grzechu dziewczyna, idąca po raz pierwszy na schadzkę z wymarzoną kochankiem.

Na jednym ze skrętów ciemnej aleji, gdzie się przerywał szczelny szpaler drzew, zatrzymywała się zwykle.

Tu pochylone ku sobie graby tworzyły rodzaj sklepionej nawy, wychodzącej na niewielką półokrągłą polankę, otoczoną klombami bzu, czeremchy, kalin i leszczyny, dobrze podszytej trawą i paprocią. Miejsce to niedość zacienione wierzchołkami niskich drzew, blado rozwidnione przesączającymi się tu i ówdzie promieniami księżyca, czyniło wrażenie jakiejś zaczarowanej groty, lub mistycznej świątyni. Tajemnicze jej wnętrze wypełniał odurzający zapach okwitających bzów i konwalji, której dużo było naokół. Chwiejba liści wy-

twarzała nieustanny trwożny szmer, niby szepty ust niewidzialnych. Kłębiące się w powiewie nocny czubate korony krzaków to zasłaniały, to odsłaniały majaczne srebrne witraże, wywołując w ten sposób fantastyczną grę światłocienia. I w owych przemianach efektów księżycy gałęzie, liście, konary, krzewy całe, pęki kwiecica, wszystko uruchomiło się, przybierając rozwiewne nieuchwytnie kształty dziwotworów nieznanych.

Za każdym westchnieniem wiatru odmieniała się dekoracja, rozsuwały się niejako kulisy, otwierały się nowe perspektywy; jakieś otchłanne pieczary, zaczarowane korytarze, poplątane labirynty; zmieniało się natężenie światła, zapachu i szmerów, rozszeptwały się inaczej zakłęcia, wyłaniały się inne kształty niewidzianych nigdy postaci, rzekłbyś, zaczynał się nowy akt niepojętego misterjum. A niekiedy jeszcze z oddali, jak struna ku temu widowisku napięta nadlatywał rozetkany śpiew słowika.

Marynia, napawając się zaświatowym dreszczem wchłaniała w siebie ów czarodziejski nastrój zjawisk nadprzyrodzonych, upatrując we wszystkim głęboką niezbadaną treść, której nie dociekała myślą, ale ogarniała wysubtelnionym uczuciem.

Miała wrażenie, że to, co się przed nią odbywa, jest tylko prologiem do tego, co się stanie, co się stać musi i czeka narazie biernie. Ale wkrótce wzrastający w olbrzymich progresjach niepokój i nerwowe zniecierpliwienie popychało ją do czynu.

I wówczas to zaczynały się właściwe ewokacje. Z początku były to tylko sugestie milczące,

óżniej dołączały się do nich nieśmiałe szepty i prośby, a wkońcu już w głos, wyciągając przed siebie błagalnym ruchem obie rozrzucone ręce, brała poprostu jękiem wszystkich władz duszy: Wiktorze! Wiktorze! coraz namiętniej, z tak strasznym wreszcie natężeniem duchowego wnętrza, jakby wraz z tym wołaniem wychodziła sama z siebie i za krawędzie zmysłów przelewała się najdzenniejszą częścią własnego istnienia.

W tych to momentach otrzymywała jasne jak oczywistość, poczucie, niezachwiane niczym przekonanie, że on jest przed nią, że jeszcze jeden nader drobny wysiłek, a dostąpi łaski widzenia.

Ale tu był właśnie fatalny jej okres.

Przez mgnienie śmiertelnym wysiłkiem trzymała się w tym zenicie i, czując, że słabnie, rzucała się przed siebie na miejsce, gdzie spodziewała się ujrzeć kochane widmo.

I nagle pryskał cały czar, pierzchało wszystko. Dłonie gotowe do uścisku, kalecząc się o gałęzie przyżowały się na jej przepelnionych płaczem pierśiach, rozszerzone źrenice poznawały w ułudnychjawiskach zwykłe liście i drzewa. Wyczerpana do znużenia padała gdziekolwiek, bez żdźbła siły i szlochała żałośnie, w łzach jej płynął tesam przepaścisty smutek, co w przedziwnych słowach biblijnej pieśni:

“Otworzyłam miłemu memu; ale miły mój już był odszedł i minął. Omdlałam była na głos jego; szukałam go, alem go nie znalazła; wołałam go, ale mi się nie ozwał”.

Oraz taka straszliwa skarga, jak w następnych:

“Natrafili mię stróżowie, co chodzą po mieście;

ubili mię, zranili mię, wzięli i płaszcz mój z mnie stróżowie murów”.

I w istocie, jak przedtym, w dążeniach swych do niego — o realne, tak teraz rozbijała się o nie widzialne mury, niemniej pilnie strzeżone jak tamte, równie nieprzebyte i bezlitosne. W krwi tych nowych ran zaogniały się dawne, zasklepione już blizny, bo w gruncie rzeczy była to tasama rozpacz, tylko misterniejsza, delikatniejsza, niby grubopilnik przeobrażony w kuźnicy cierpienia na cienki skalpel, który sięga wywecowanym ostrzem w najsubtelniejsze tajniki duszy.

I długo nieraz Marynia, przeniknięta nawskróś boleścią, leżała tak w rosie trawy, jak zabita, a potem skołatana, pełna tej suchej, zelżywej goryczy, jaką poi odtrącona z przed ust czara szczęścia wracała do domu; waliła się na łóżko i zapadała w ów martwy sen, którego ani przespać, ani przerwać.

A jednak w rezultacie Marynia żyła tylko tymi momentami ekstatycznych porywów, gdyż po mimo cały tragizm następujących potem upadków one w niej utrwały wiarę w możliwość przekroczenia fatalnego kresu, wywołania upragnionego widma, co się stało jedynym jej celem.

To też czuła się najmocniej przybitą w czarną, bez gwiazd i miesiąca pochmurne noce, kiedy lawa ciemności, zalewająca jednostajnie cały park, niwecząc mistyczny urok w otoczeniu, rozpraszała i w niej nastrój skłonny do wizji.

Wówczas w miarę zbliżania się odpowiednie pory, miast zwykłego podniecenia zjawiało się w niej poczucie istnienia w sobie jakiejś luki, przez

tórą niby przez szczelinę pękającego naczynia, chodzą z niej kropla po kropli miazga i krew życia.

Był to stan nieznośny, podobny do owych chorób, dla których medycyna nie posiada ścisłej nazwy i środków, kiedy to nie wie się, gdzie jest ognisko cierpnia? bo i nic i wszystko dolega, głód trawi, i niema apetytu; mdleje się co chwila całą przytomnością umysłu, czuje się ciężar własnych członków, jak gdyby brzemię cielesnego bytu; i płakać trudno i uśmiechnąć się niepodobna, ni żyć, ni umrzeć, a tylko nad czymś, co jest najboleśniej, myśleć i myśleć bez końca.

Więc tułały się w niej długie żale nieznane, smutki tajemne; ciekły gdzieś w głębi, jak rzeki pod ziemią, łzy niewidzialne, a w mętach myślenia, niby sygnał burz w dalekich otchłaniach drzemniących, zapalały się wątłe błyski nieuchwytnych pojęć.

Potym, w jakimś wrażeniu tak szorstkim, jak darcie szczytki po szkle, przecierały się powoli zwierciadła świadomości, myśli rysowały się wyraźniej i jednocześnie zwężała się luka, zasklepiając się z tym ognistym bólem, jaki sprawiała zasychająca z zewnątrz rana głęboka.

Marynia z pewną dozą złośliwego rozjątżenia zaczynała się trzeźwo zastanawiać nad własnym nieszczęściem:

Dlaczego mianowicie dotychczas nie pękła zasłona pomiędzy nim a nią, choć bywała już tak wątki i do rozdarcia napięta, że zdawało się, iż słyszy trzask rwących się tkanek?

Dlaczego ten jego cień w chwili, gdy jest tak bliski, że prawie dotykalny, właśnie wtedy ucieka?

Dlaczego ona nie może się zdobyć na ten ostatni drobny wysiłek, by pokonać zawady i osiągnąć wreszcie łaskę widzenia?

Tym ostatnim pytaniem dręczyła się najsilniej z nim bowiem wkradła się wątpliwość, że być może nie jest godna tej łaski, bo go zamało kochała.

I zaraz przychodziły jej na myśl wszystkie drobne przykrości, jakie wyrządziła Wiktorowi za życia i wzrastały do rozmiaru krzywd strasznych, bo niepowetowanych; a jednocześnie całkiem męka, którą rozpaczała po jego śmierci, spadała w jej oczach do poziomu błahej, częściej, płaskiej wprost niegodziwej komedji.

I wówczas rzucała sama siebie na pastwę gryzącej ironji.

Z piekielną satysfakcją gromadziła dowody i zarzuty i stawiała pod ich pręgierzem z uczuciem dzikim, jak gdyby bezzelnej dumy.

Przypominała sobie najdokładniej, jak to za nosiła się kiedyś od płaczu na ulicy wobec tłumów nieznanych ludzi z powodu trzech rubli ukręconych za robotę sukni.

Jak się buntowała i tupała nogami, gdy w dzieciństwie karano niesłusznie.

A teraz — sztychowała — wystąpiłam z tymi smutnymi marnymi łzami, z głupim buntem, z trzyroublową rozpaczą, by godnie uczcić stratę. Takiego kochała!

I, przepojona do gruntu goryczą i wstrętem, pęty się kłuła w zatwardziałe serce do żywego, a

niekczone, ociekało całe gorącymi łzami krwawego żalu.

Wtedy dopiero poczyniała się nieśmiało rozszeszać szczerością wyznania win i krwią tego żalu i zdobywała poczucie, że, mimo wszystko, jedna jest jednak przebaczenia i litości.

Mijała zwolna skrucha, a ostatnia jej resztkawracała się w stronę Wiktora, w postaci lekkiego wyrzutu:

Dlaczego on nie wejrzy na jej słabość, nie użasię do tyła, by wesprzeć ją w stanowczej chwili, gdy wyzuta z sił, rzuca się całym bólem serca ku tego widmowej postaci?

I wnet zalewała ją fala tkliwego rozrzewnienia.

— Może są zawady, które i on pokonać sięili? — myślała z żałosnym smutkiem, patrząc w żarne czeluście nocy. Była bowiem już pewna, że w tym nieskończonym posępny morzu tuła się ukochany bolesny cień, smutny, że jej niema, oztęskniony, jak ona, i takież samotny.

Otwierała okno i rzewnym, cichym płaczemawoływała go z ciemności, choć jasno widziała, że to na nic, że daremnie gubi łzy w tym głuchym bezmiarze, bo w taką noc ani one jego, ani n ich znaleźć nie może.

Wreszcie wyczerpana do dna owym wichremprzeczných wzruszeń i myśli, wracała na łóżko spała zwykle do późna.

Czasem jednak jeszcze raz podnosił się w niej łacz dziwny, jakby nieswój, któremu przysłuchiwała się w półśnie, jako cudzym głosem, szlochałym nad smutkiem nieznanym.

Kiedys, po paru dniach słoty, obudził ją nad

ranem taki płacz; tym razem wrażenie obcości było tak silne, że się aż podniosła na łóżku i obejrzała dokoła.

— Ach, to ja! — pomyślała, oprzytomniawszy zupełnie.

— I czego? — dodała, czując szybkie wysychanie łez i wszelki brak śladów odpowiedniego wzruszenia.

Spojrzała mimowoli w otwarte okno. Deszcz już nie padał; z chłodnym prądem powietrza napływały do pokoju ukośne pasma pachnącej wilgocią jasności, pełne wirujących w nich centel i złotej kurzawy.

Przez nią Marynia widziała wklęsły obszar modrego nieba, a na nim perłowy rozwiewny obłoczek, który się jej podobał z lotności fantazyjnych kształtów, a także jako zapowiedź końca słoty, nadzieja pogodnych nocy.

Pierwszy raz od dawna, miast głuchego smutku, że już się budzi ze snu, doznała krzepiącego wrażenia ogólnej rzeźwości.

Wstała rażno i poczęła się ubierać mniej leniwie, niż zwykle.

— I po co tak wcześnie? — przemknęła jej przez głowę refleksja, ale, że była już gotowa do wyjścia, nie chciało jej się cofać.

W całym domu panowała jeszcze cisza; jedyną wskazówką, że pora wstawania się zbliża, stanowiły w sieni na kominku stojące w żarze posmолone gliniane imbryczki z kawą, którą Jan w ten sposób przygrzewał, otwarte drzwi ganku, kupka śmieci na schodach i rozlegający się z za klombów łoskot trzepanych dywanów.

Te znaki i odgłosy obecności ludzi, jak zawsze

ak i tym razem, uraziły nieco Marynię, zachnęła
ę lekko i, minawszy szybko schody, szła spiesźnie
głąb parku. W miarę oddalania się od domu,
racała do równowagi, i wkrótce uspokoiła się
upelnie; zwolniła krok i, machinalnie omijając
tojącą jeszcze w zagłębieniach wodę, z pewnym
adowoleniem wyczuwała pod stopą sprężystość
wilgotniałej glinki. Ilekroć zawadziła o jaką ga-
ż, obryzgiwał ją chłodny tuman rozpylonej rosy
czasem wraz z resztkami osypującego się kwiecica
mocnym przywiedłym zapachu; wzdrygała się
ówczas od stóp do głowy, ale bez przykrości.
W ten sposób bezwiednie zaszła w najdalszą część
arku, której nie zwiedzała od dawna. W jednej
zapuszczonych, nieogradowanych uliczek, chcąc
minąć spruchniałą, zwaloną w poprzek ławeczkę,
kręciła nagle w bok i znalazła się w tak zwanej
"Aleji Maryni", prowadzącej do "wąwozu Wiktora".

Była to szeroka ścieżka, ta sama właśnie, któ-
i Wiktor w czasie ostatniego pobytu w Klonowie
rukował dla niej tak pracowicie sam, własno-
ęcznie.

Rude kawałki cegły już się porozsuwały, połu-
ały się w wielu miejscach i pokruszyły na miał
terwonawy. W każdej z tych szczelin zieleniła się
robna trawa, a gdzieniegdzie w zatrzymanych
rugach deszczu igrało słońce. Na widok ten
ała, matowa cera Maryni zbladła jeszcze o je-
n ton; bez tchu patrzyła chwilę w tę swoją dro-
nę, a potem zadrgało w niej serce, a za nim
szta istoty, i, jakby podniosła się cała do oczu
ezbraniem, napływających zewsząd rzewnych łez.

Pochylając się cokolwiek naprzód w niesłycha-
ym rozkwileniu wszystkich władz ducha, poczęła

ostrożnie stąpać po cegielkach; starała się nie ominąć żadnej z tych relikwii, dotykając je lekko i czule, bądź stopą, bądź spojrzeniem.

Z otwartych szeroko oczu bez bólu toczyły się łzy duże i tak obfite, że częstokroć bryzgały wprost z policzków na ziemię, jak ta rosa, strącona w tym nabożnym pochodzie z liści burzanów i krzewów.

W ten sposób przeszła do samego końca i zatrzymała się na skraju głębokiego wąwozu, za którym, gwałtownym spadkiem gruntu kończył się właściwy park, a zaczynała się bujna łąka, idąca równolegle do brzegu Śniwody, niby wzdłuż rozpostarta długa wstęga zieleni, przyprószona drobnym mieniącym się pyłem rozbitych na miazgę brzoświatów. Na końcu jej w dali widniał rozciągnięty szereg białych postaci, które zdawały się chwilami wciążyć w jednym miejscu. Od czasu do czasu i równi z głową którejś z nich zawisła paląca się w słońcu krzywy błysk i rozlegał się ostry donośny dźwięk. Nagły błysk ten i dźwięk zdawał się Maryni czymś bolesnym. Zastaniała więc przed niemi rzęsą splakane oczy i opierała się wzrokiem w puszystych splotach zwieszających się w dół z drzew, i tak od liścia do liścia obsuwały się mimowoli jej spojrzenia coraz niżej i niżej poburyścianach urwiska, aż spadły na dno.

I tu nagle źrenice jej stanęły słupem, cofając się żałośnie i przerażone, jak gdyby przed haniebnym ciosem gburowatej pięści, godzącej w twarz między oczy, lub zelżywym kopnięciem rozjuszanego żołdaka, kutym obcasem, pod samo serce.

Tam, w całej swej ohydzie, odrażająco-brutalnie leżała przed nią śmierć. Na samym spodzie "wąwozu Wiktora" w kupie mokrych, zgorzałych li

walał się Ralf, a raczej rozkładające się jego ścierwo.

Leżał na płask; wzdęty nagi brzuch i wyleniałe boki, jakby wylizane do wytarcia, wymoknięte do zrudzenia sierści, zatracały już swoje kontury, stając się rozlazłym, rozpływającym się na wsze strony bezkształtem. W zapadłej ramię pachwiny zadniej nogi gotował się ruchliwy kłębek białego robactwa; nad zakłętym niby wilgotna plama, okiem, unosiły się duże muchy o zielonawo-stalowych mieniących się barwach; z obwisłej bezwładnie, jak czarna ząbkowana frendzla wargi, wyłaził siny język. Jedna paszczyka zdawała się żyć jeszcze, trwał w niej bowiem śmiertelny, zajadły skurcz rozżartej wściekłości, błyskał zło-wrogo biały kiel i zatapiał się w każdy nerw Maryni.

Cała jej istota, skręcając się boleśnie w prze-rażliwym popłochu, jęła uciekać w głąb siebie, jakby się chciała skulić i ukryć w jakiejś ciemności przed ukąszeniem tego widoku.

Ale on ścigał ją, rzucał się na nią wszędzie, nieodparty, straszny, obrzydliwy, ociekający zgnilizną i wstrętem.

Wszystko razem trwało jedną sekundę, a Maryni zdawało się, że to są wieki nieludzkiej katuszy.

Nakoniec w głowie jej, niby ciężkie dzwony w chwiejącej się kopule wieży, objętej z dołu pożarem, drgnęły spiżowe olbrzymie, zatargały się wściekle i, bijąc na alarm i trwogę, szalały, wykręcając się sercami pudowymi ku czerwonym łunom, chmurom popiołu i dymu.

A potem, rzekłbyś, oberwały się naraz i wi-

rując z warkiem przeciągłym, zleciały w przepaść bezdenną, druzgocąc i łamiąc po drodze wszystkie przęsła.

Z ich jękiem, zwała się Marynia trochę na ukos w pęk traw, zbieła twarzą do góry.

O jakiejś martwej godzinie odsłoniły powieki dwie wielkie szare źrenice, mętne, niby okopcone sadzą zwierciadła. Zmatowały się w nich srebrne podszycia rozszeptanego listowia młodej brzoźki, zszarzał biały obłok, sunący w tej chwili po niebie, potem przejrzał się jasny błękit, płowiejąc w tym odbiciu i znów zmrużył bezczelny promień słońca.

Już bardzo blisko dzwoniły ostre kosy, kiedy dźwignęły się powtórnie rzęsiste powieki, a potem i reszta członków. Marynia wstała i tąsamą drogą, potykając się o czerwone rumowiska, o cegły, niby o zastarzałe skrzepy krwi, leżącej we złach, powlokła się bezmyślnie do domu.

Nieobecność Maryni przy rannym śniadaniu nie zdziwiła nikogo, często bowiem wstawiała dopiero popołudniu, a z rokazu Belci, która uważała sen za najlepszy środek na wszelkie dolegliwości fizyczne i moralne, nikt jej wcześniej nie budził.

Dopiero przy obiedzie, wysłany na zwiady Ignas zawiadomił, że mamusia śpi, ale w ubraniu i zabłoconych pantoflach.

— Śpi, to dobrze, ale poco w ubraniu i jeszcze w pantoflach? — zadecydowała Belcia, wzruszając ramionami.

— Wartoby ją jednak obudzić — odrzekł przy kawie pan Ignacy — za długi sen męczy: ręczę ci, że to jedna z przyczyn jej osłabienia, mizernieje z każdym dniem!

— Zdaje ci się — zaoponowała Belcia — mi-

zerna była, jest, i z takim kanarkowym apetytem nie może być inna! w każdym razie dowiem się bo poco w ubraniu? to jest rzeczywiście zabójcze dla zdrowia! Dlatego też ci mówię, nie sypiaj po obiedzie, a chcesz, to się rozbierz... Oj, będzie znów Karlsbad w robocie! — zawołała za odchodzącym mężem; schowała cukierniczkę do kredensu, kazała znieść ze stołu okruszyny dla wróbla i udała się na górkę.

Pan Ignacy drzemał właśnie drugim nawrotem, gdy wpadła gwałtownie do gabinetu Belcia; od razu poczęła mówić wzburzona, tonem wyrzutu:

— Tak, ty sobie tu się wysypiasz, a ja tam głowę tracę!

— Cóż znowu takiego?

— Co? Marynia ledwie żyje!

— Et, gadanie! — wstając niechętnie, mrug pod nosem pan Ignacy; wiedział, że Belcia pod wrażeniem chwili zwykła przesadzać.

— Mrucz! mrucz! niech się świat wali, byleś ty się wyspał — ciągnęła Belcia tym samym, tylko nieco głośniejszym tonem. — Powiadam ci, przychodzę, a tu pościel do góry nogami, a tam ona leży twarzą do poduszki, pantofle unurzane w błocie, suknia odrapana, mokra aż na plecach, we włosach zielsko, najwyraźniej wstawiała i gdzieś już chodziła, przewróciła się, czy co? ręce — lód, głowa jak ogień.

— No, ale cała? — przerwał trochę niecierpliwie pan Ignacy.

— A tybyś chciał, żeby jaka? Jeszczeby tego brakło.

— Więc cóż wielkiego? wstała, wyszła, ślizko przewróciła się, podniosła się i wróciła do łóżka.

— Tak! — przeciągnęła Belcia i rozděły się jej nozdrza. Wydobyła nagle z za pasa pęk kluczy i kładąc je równie manifestacyjnie, jak mocno na biurku, rzekła, przedrażniając męża:

— Oto proszę wziąć, pójść, harować, pilnować, chorych, a ja będę sobie spała, w łóżku gniła, karlsbad piła!,,,

— Belciu! — z wyrzutem, strofująco i jednocześnie błagalnie zawołał pan Ignacy.

— Nie, Ignasiu!

— Ja przecież chcę tylko wiedzieć, co jej właściwie jest?

— A to się spytaj! — odcięła ostro Belcia, i wnet zapominając o roli obrażonej, zaczęła z ferworem opowiadać:

— Ani słówka nie mogłam z niej wycisnąć; rozbierałyśmy ją we dwoje z Florentyną, jak jaki automat; nawet oczu nie otworzyła; okryłam ją ciepło, i lecę po kwiat lipowy, a po drodze do ciebie, żebyś sprowadził Postańskiego, ale ty....

— Ja siadam i zaraz piszę! — chwytając papier i pióro, zażegnał dyplomatycznie burzę pan Ignacy.

— No, więc pamiętaj! — udobruchana gotowością męża, tonem przestrogi rzekła Belcia, zebrała klucze i wyszła.

— Może i rzeczywiście co złego? — myślał pan Ignacy, stylizując list do doktora.

— Trzeba się jednak wpierw przekonać — dodał, zaklejając kopertę — bo stary za fałszywy alarm gotów się obrazić!

Wsunął list w kieszeń i poszedł na górkę.

W korytarzyku zatarasowała mu przejście szafka i łóżko, oraz Belcia, która nader głośno prze-

strzegą służyć, by się zachowywała cicho i znosiła rzeczy ostrożnie.

— A to co? — spytał pan Ignacy.

— Ignas pójdzie na dół, może to co zaraźliwego?

— Jakże ona?

— Śpi! napisałeś?

— Napisałem, że proszę bardzo w ważnej sprawie; o chorobie nic, bo mógłby odmówić, zwłaszcza, że on wyraźnie unika Maryni, sędzę, że i dlatego rzadziej do nas zagląda.

— To prawda, a tak ją niby lubił! et fantastyk!

— Czy można do niej?

— Tylko cicho, żeby nie obudził!

Pan Ignacy, minąwszy na palcach opustoszały pokój Ignasia, stanął na progu i wychylając się, zajrzał w stronę łóżka Maryni, które znajdowało się w głębi, zasłonięte w części otwartą połową drzwi.

Marynia leżała bokiem, nieruchoma, okryta poszyję kołdrą i pledem; na tle poduszek widniały rozstrzęsione cienie bujnych włosów, osuniętych nieco w tył; z pod nich wyzierał skrawek skroni, niby płatek marmuru w żyłki niebieskie, niżej zamknięte oko, okrążone z góry mocnym łukiem brwi, a z dołu z sinawym cieniem, wyglądało, jak wydłużona koncha masy perłowej, zatapiająca się w głęb; tuż pod tym, na białym jak papier listku policzka paliła się mała, czerwona plamka wypieku.

Ogólne wrażenie całości było takie, że pan Ignacy cofnął się i na pytanie żony: Śpi? — odparł mimowoli — zdaje się! — i wybiegł coprędzej

oddać posłańcowi list, nagląc go w dodatku do pośpiechu.

Pomimo to Postański przybył dopiero w porze kończenia robót na polu i zaczął odrazu od wymówek:

— Co wy wyrabiacie; nakoniec — pogoda! Siał, kosić — mam tego na cztery ręce, a tu im pilne interesy!... cóż to za ważna ta owa sprawa!

— Marynia chora — z przyciskiem oświadczyła Belcia.

— No to ja wiem dawno....

Ale Belcia nie dała mu dokończyć, opisując żywo i barwnie stan Maryni, robiąc różne przypuszczenia co do przyczyn choroby i t. p.

Postański, nachmurzony, słuchał wszystkiego cierpliwie, a gdy Belcia umilkła, rzekł głucho:

— Cóż ja na to poradzę?

— Jakto, przecież pan doktor?!

— A, w tym charakterze — odrzekł szorstko Postański — no, to odjąć z mózgu bańki, z serca pijawki, a jeżeli się to nie da, to krew puścić i basta! — zakończył rozdrażnionym głosem.

— Co? — spytała, nie orjentując się Belcia.

Doktor raz jeszcze wyraz po wyrazie z pewnym okrucieństwem powtórzył receptę.

Zrobiła się dłuższa przerwa.

— Nie, doktorze! — zaczął pan Ignacy — nie przeczę, że przejścia moralne poderwały siły Maryni, ale w danym wypadku, jak pan słyszał, zwykłe przeziębienie jest bardzo prawdopodobne; nie można tego lekceważyć, to prawda, ale i tracić nadzieję....

— Ja tam nie tracę, czego nie mam — mruknął Postański — ale skoro chcecie... Gdzież ona?

— U siebie.

— No to chodźmy, Ignacy! — rzekł sucho doktor, a już na gorze dodał: — Zresztą zostan, ja sam....

Ignacy zatrzymał się przy drzwiach, a doktor wszedł do pokoju Maryni.

Okna tego pokoju wychodziły na wschód, to też panował w nim mrok taki, iż trzeba było zapalić świecę. Rzęsy Maryni, która leżała obecnie na wznak, drgnęły pod wpływem nagłego światła; wypieki na policzkach zwiększyły się cokolwiek. Postański dotknął jej ręki, była dość ciepła, ale nie zanadto. Gorączki niema — pomyślał Postański i począł się wpatrywać w jej twarz. Drobną zmarszczką pośrodku czoła, ostra linja nosa, rozdziałek na białych anemicznych wargach i lekkie rozdwojenie podbródka, zdawało się dzielić to marmurowe oblicze na dwie symetryczne połowy, cierpiące każda oddzielnie; takie przynajmniej wrażenie odniósł Postański śledząc ściągnięte w dół kąty ust, lecz niejednocześnie.

— Maryniu! — szepnął doktor, nakrywając ręką białe rozgorzałe czoło.

— Maryniu, co tobie? mów serce! — powtórzył raz jeszcze, schylając się nad nią coraz niżej i niżej, jakby do pocałunku.

Aż naraz tuż pod jego oczyma uniosły się na moment jej powieki i ukazały się wielkie, jakby rozpuszczone w białkach, fosforyzujące źrenice. Poczem Marynia szybko odwróciła się do ściany ruchem niechętnym i zbolalym, który zdawał się mówić: Ach, nie tykajcie!

Postański jak oparzony tym spojrzeniem odskoczył i wzdrygnął się, zdmuchnął nagle świecę i wycofał się jak mógł najciszej z pokoju.

— Czy śpi? — spytał półgłosem pan Ignacy.

Doktór w milczeniu ujął go jak kleszczami za łokieć i odciągnął od progu, potym odetchnął głęboko i począł mówić urywanym szeptem.

— Nie, nie śpi! to jakiś kryzys stanowczy... dlaczego? nie wiem... co będzie? również nie wiem... Stanie się, co się stać musi... żadna interwencja nic tu wskórać nie może...

A Ignacy zatrwożony wyrazem kryzys, myśląc, że Postański swoim zwyczajem chce się wykręcić od leczenia, jął go prosić i zaklinać, by na noc został.

— Ja tu każę doktorowi łóżko... wszystko zaraz! — nacierał coraz śmieiej, widząc, że stary nietylko nie oponuje, ale jest w dodatku, jakby, wzruszony.

— Poco łóżko, dość fotel!

— Nie, gdzieżbym mógł żądać... facygować... za nic!...

— Fotel! powiadam! — syknął rozdrażniając się nagle Postański — w łóżku tak kaszlę, że zmarłych budzę. Choć wogóle poco te głupstwa, kiedy to wszystko na nic i bez sensu...

Ale pan Ignacy nie słuchał reszty i, bojąc się, by doktor nie zmienił decyzji, wybiegł wydać odpowiednie rozporządzenia.

Wkrótce też wniesiono fotel obity ceratą, antyk na wielkich rolkach, mebel tak duży, że człowiek średniego wzrostu mógłby w nim mieszkać.

Doktór zdjął obuwie, postawił fotel na wprost okna i sadowiąc się, mruknął:

— Wygodny! Co ona robi, jeżeli nie śpi, a nie śpi napewno — pomyślał; i nie mylił się.

Marynia ani chwili nie spała, choć rzeczywiście, zwłaszcza z początku, stan jej, przez brak absolutny myśli i wrażeń i stępienie zmysłów przypominał sen.

Po owym długotrwałym omdleniu stało się z nią coś podobnego, co się czasem dzieje z misternym mechanizmem, który uległ wstrząśnieniu. Nic stłukł się, nic się w nim na pozór nie zgruchotało, ale obluzowało się za to wszystko: więc klekocą mućterki na śrubach wytartych, kręcą się kółka, ale tryby nie trafiają na tryby; zawadzają o siebie rozwijające się bezładnie sploty rozhartowanej sprężyny, wiercą się osie każda oddzielnie, zatraciwszy związek z całością; kiwają się w różne rytmy osamotnione wahadła; skazówka stoi ciągle na jednej czarnej sekundzie, a ogniskujące wszystko lustro, w którym przedtym odbijał się zgodny zespół maszynierji, migoce płochliwie od tego bezcelowego wirowania pojedynczych części, z których żadna już nie jest na swoim miejscu.

To też w Maryni tułało się ciągle błędne poczucie zruszenia z właściwego miejsca wszystkich władz duszy, powikłania się całej istoty, która się rozpadła na jakieś kawałki, niepasujące do siebie. A potem osobowość jej, jakby rozdziwiła się cała na sprzeczne obozy, które poczęły zmagać się z sobą.

Z jednej strony ślepe instynkty organiczne, żadne na wszelką cenę życia, rzuciły się na ratunek zagrożonego istnienia, siłąc się zaprowadzić dawny ład w rozprężonym bycie: — z drugiej, ociemniałe w tej katastrofie, ale zawsze jeszcze więcej świadome, choć mniej potężne od pierwszych, pierwiastki — opierały się temu z całej siły, niwe-

cząc pracę podjętą przez tamte żywioły, gdyż przeczynały, że z chwilą, gdy wszystko zostanie wdrożone w dawną kolej, musi nieodzownie wydzwonić ta sama przzerwana minuta, tym samym fatalnym głosem niewysłuchanej do końca boleści, i wołały zginąć na zawsze, niż doznać powtórnie tego wstrząsającego cierpienia. Był to więc rzeczywści pewien kryzys ostateczny, którego bieg zależał jedynie od układu sił wewnętrznych Maryni; a tego stosunku Postański i nie znał i ani jako człowiek, tym mniej, jako lekarz — nie był moco odmienić.

Doktor czuł to intuicyjnie, a jeżeli został — zrobił to mimowoli, wprost dlatego, że go prośby Ignacego zaskoczyły w chwili upadku energii. Obecnie był nawet zły na siebie z tego powodu, i pewnoby odszedł, gdyby fotel był mniej wygodny i nie tak go bolały ręce i nogi od robot w sadybie; przytym było dość późno.

Błada, krótka czerwcową noc już się rozmięka z dniem na niebie; to też, ilekroć Postański zwracał się do pokoju Maryni, przez uchylone drzwi widział tam ciemność i gwiazdę mrugającą za oknem, a przed nim trwał jeszcze zmierzch: na widnokręgu pełgały ciągle mleczno-różowe zorze zachodu, jak gdyby słońce nie miał onigdy się zapisać, a jeno spalić się na krańcach zimnej bryły świata.

W słodkiej ciszy szybkim taktem rechotały żaby, a gdy chór umilkł, rozlegały się pojedyncze monotonne kumkania. Postańskiego jął morzyć sen, i jednocześnie przypomniła mu się stara noc na Węgrzech. Stał sam daleko od obozu na wysuniętej pikiecie; za nim na ciemnym szafirze za-

rzyły się złote gwiazdy, a przed nim bielały dalekie łuny płonących wiosek. Było tak samo jak dziś — cicho, gdzieś tylko w bagnisku odzywały się smętnym głosem żaby. I one to, oraz niektóre szczegóły krajobrazu, przypominały mu nagle tak żywo Smutnińce i Cmentarki, że miał złudzenie, iż jest na ich polach.

Zdjęła go straszna tęsknota; zciężał mu w rękach karabin, a kask żelazną obręczą opasał skronie; serce poczęło walić jak młot pod mundurem; a w piersiach czuł łzy. Miał chwilę, w której chciał rzucić broń i wracać; ale nie wiedział kiedy, bo za nim było coraz ciemniej, a przed nim było coraz krwawiej i bliżej rozpałało się półkole pożarów.

Tu doktorowi poczęły się mieszać obrazy. Wydało mu się, że jest w bitwie, ale wszystko odbywa się inaczej, niż w rzeczywistości. Warczą bębny, ale tak głucho, jakby były obciążone skórą, lecz suknem, granaty pękają z ledwie dosłyszalnym łoskotem; w końcu ruszył do ataku bez komendy wraz z całym oddziałem; płątały mu się ciągle nogi, naciskał kurek — ale broń nie dawała ognia. Wtym rozpierzchli się wszyscy i poczęły przed nim migać, obłąkane paniką, blade twarze, które zmieniały mu się w oczach w ukochane oblicza osób dawno umarłych. Zdjęła go rozpacz, nastawił bagnet i sam jeden czekał na chmurę jazdy, która nań leciała z tętentem drgającej ziemi. I chmura ta zasłoniła mu wszystko; pociemniało mu w oczach, podobnie, jak wówczas, kiedy otrzymał ciężki postrzał. Siwa głowa opadła na piersi i Postański zasnął na dobre.

Kiedy otworzył oczy, przed nim była noc, a za

to okno Maryni bielilo się świtem. Nastawił uszu, słysząc jakiś szelest; zdawało mu się, że to ona rzuciła się na łóżku. Ale już cicho było, więc się tylko poprawił na fotelu, podniósł kołnierz kubraka, czując chłód, i zadrzemał. Wkrótce gwałtowniejsze poruszenie znów go wyrwało ze snu. Tym razem jej szyby drżały jasnożółtą poświatą; z jego strony również płowiała ciemność, stając się szarą; wyłaniały się kontury pobliskich drzew, rozchwianych lekkim podmuchem, i rozlegało się ćwierkanie budzących się wróbli.

Postański, przeciągnawszy się, ziewnął; szmer idący z sąsiedniego pokoju otrzeźwił go do reszty. Odsunął ostrożnie fotel i zamyślił się: co mu właściwie robić wypada?

Nagle mocniej skrzypnęły sprężyny łóżka, trzasnęła deska podłogi i, jak widmo, przesunęła się w białiznie wiotka postać Maryni, znikając za framugą.

Postański zastygł w nieruchomości i wlepił wielkie przerzkrwione oczy w uchYLENIE drzwi.

Szczęknął dwukrotnie zamek pełnym tonem, dało się słyszeć odsuwanie ciężkiej szuflady, i po tym Postański ujrzał szybko migające obnażone ręce Maryni, które najwidoczniej szukały czegoś pośpiesznie; wyrzucając z komody rozmaite rzeczy tak gwałtownie, że aż furczały, rozlatując się na wsze strony.

Raptem coś błysnęło, zataczając półkole w powietrzu i ze szklanym brzękiem upadło tuż pod progiem.

Postański drgnął; poznał ten przedmiot po kształcie i połysku. Był to sztylet kaukaski w srebrnej oprawie, przywieziony przez jednego z ko-

legów Wiktora, prześliczny wyrób, którego zalety doktor chwalił nieraz, i jako znawca broni, umiał ocenić.

Patrząc nań starzec wzdrygnął się mimowoli, a potem struchlał: Na rękojęści zamknęła się kurczowo mała dłoń Maryni; klinga cofnęła mu się z przed oczu, i po chwili w poprzek półotwartych drzwi przesunęła się z powrotem biała postać.

Wprzelocie drasnęło go, jak ostrzem, krótkie łyśnięcie jej rozgorzałej żrenicy.

Doktor uczuł tysiące szpilek na plecach i piersi, podniósł się, jak szarpnięty obcą siłą za włosy, i chciał skoczyć do jej pokoju, ale w sekundę straszonym, szybkim, jak błyskawica, wysiłkiem woli pohamował ten pierwszy odruch.

Zaciskając usta, bez oddechu, jakby chciał zataić swą obecność nie tylko przed nią, ale i przed samym sobą, z przymkniętymi oczami i głową wtuloną w podniesione ramiona, począł się tyłem na palcach cofać ku wyjściu.

Zaledwie jednak przestąpił próg, opuściło go panowanie nad sobą; prędko, jakby uciekając, przebiegł korytarzyk; trzęsące się ręce, namacawszy jakieś drzwi, otwały się gwałtownie, i Postański, znalazłszy się w małym pokoiku, rzucił się na spłowiałą kanapę, aż zadzwoniły połamane sprężyny; tu ukrył rozprzęgnięte rysy twarzy, poszarpanej zmarszczkami i blizną, w twarde, spracowane dłonie i jął powtarzać uporczywie:

— Byle dobrze i od razu! byle dobrze i od razu!.... — tak wytężonym szeptem, jakby w kogoś całą duszą winawiał to swoje życzenie.

Potem głos mu zamarł i siedział długo tak w milczeniu. W końcu osunęły się bezwładnie rę-

ce, zgarbiły się plecy, zwisły policzki, koło oczu i nosa zarysowały się siateczki niezliczonych zmarszczek, i z sędziwego olbrzymiego starca — wyjrzał dziad zgrzybiały.

Podniósł się niedołącznie, zbliżył się do podłużnego okienka, zeszytniałymi palcami dwakroć minął zaszczyпки, zanim zdołał je otworzyć i pchnął je wreszcie na zewnątrz.

Zadźwięczały szkiełka takim głosem, jak przed laty, zachybotały się połupane ramy i skrzypnąwszy w zardzewiałych zawiasach, wykrzywiając się nieco, zawisły w wyznaczonym dla siebie kawałku przestrzeni.

Doktór oparł się o futrynę i patrzył.

Nieopodal, wyżej niż okno, bujały się lekko czubate korony dwu rozłożystych lip, pełnych radosnego świegotu ptactwa. Widno było, choć słońce jeszcze nie wzeszło. Nad widnokregiem, niby drobne łódki o śnieżnych żaglach i żywszymi banderach podnosiły się rozprószone lotne obłoki, jakby popychane w górę wzbierającą falą seledynowej jasności. Pod nią, na żółtawym tle widnego drżenia, rumieniły się pasma różowe, które zdawały się pędzić ową jasność wzwyż, wzmacniając ton jej koloru. Same zaś syciły się krwią niewidzialnego źródła, które musiało być coraz bliżej, bo barwa ich nasiąkała w oczach purpurą.

Postański przyglądał się bezmyślnie owej grze światła, a rysy jego ściągały się stopniowo, przybierając wyraz surowego skupienia. Wreszcie wyprostował się całym wzrostem i, uderzając posępnymi oczyma wynurzający się kraniec czerwonego kręgu, wymówił z groźbą w głosie:

— A ty zawsze mi błysniesz... na pobojuwsku!...

Tymczasem wielka kula wisiła już nad horyzontem i, płynąc w górę, zmniejszała się szybko i bladła; potym stopiła się na szklisty błękitny brylant, iskrzący się aureolą tak olśniewających blasków, że doktorowi oczy zaszyły łzami. Odwrócił się ze zgaszonym wzrokiem i twarzą ściemniającą od dymu wewnętrznej zgryzoty.

— Nie takim rzeczy widział! — mruknął ponuro i skierował się do wyjścia.

Przed pokojem Maryni przystanął i, tając oddech w piersiach, nadśluchiwał długo i pilnie; panowała tam straszna, śmiertelna cisza.

Doktor zamierzał wejść, ale nie czuł się jeszcze dość na siłach, domknął więc tylko drzwi, i znów wyszedł na korytarzyk.

Rozległy się czyjeś kroki na dole.

— Kto tam? — przechylając się przez wąż poręcz schodków, zawołał zdławionym głosem Pościński.

— To — ja, Jan!

— Państwo wstali?

— Pani już!

— A pan?

— Właśnie niosę ubranie!

— To nieś, i powiedz, żeby pan natychmiast tu przyszedł!

Kiedy się zjawił mocno zaspany jeszcze pan Ignacy, doktor właśnie wychodził z pokoju Maryni.

— Cóż tam, jakże, lepiej? — spytał, zaniepokojony nagłym wezwaniem.

— Lepiej! — zabrzmiała odpowiedź, ale tak

oschła i zimna, że Ignacy, miał ucieszyć się, zaniepokoił się jeszcze silniej.

Spojrzał badawczo z pod binokli w kamienną twarz doktora, ale nie mógł nic wyczytać w tych zawiłych rysach, więc spytał:

— Kryzys minął szczęśliwie?

— Minął! — odpowiedział Postański poprzednim tonem.

— No to dziękuję... bardzo!... — z niezrozumiałym dla siebie wzruszeniem i pomieszaniem począł się jękać pan Ignacy, wyciągając do doktora rękę.

Ale Postański zamiast podać dłoń, wytarł ją w połę kubraka, i dopiero wówczas Ignacy zauważył, że końce trzech palców są zbрызane krwią.

— Co doktorowi? — zawołał zmienionym głosem, chwytając go nerwowo za ramię.

— Nic! puść mnie, bałwanie! — syknął w pasji doktor.

Ignacy osłupiał na chwilę, a potem tknięty strasznym przecuciem, rzucił się do drzwi Maryni.

Postański zrobił szybki ruch, jakby go chciał zatrzymać; machnął niedbale ręką i usiadł na fotelu osowiały.

W sekundę rozległ się zduszony jęk — ach! a za moment ukazał się pan Ignacy blady, jak trup, bez binokli, z przerażeniem w mętnych oczach i, krzycząc: — Wody! wody — wybiegł z pokoju.

Postański rzucił się za nim, jak wściekły:

— Czy ty chcesz całą wieś tutaj sprowadzić?!...

Ale Ignacy już był na dole i wołał chrypliwie:

— Belciu! Janie! wody! — tak przeraźliwym głosem, że aż zbudziły się dzieci.

Pierwsza zerwała się Aurelka i, przestraszona, jęła szarpać za kołdrę śpiącą obok pannę Florentynę.

— “Que veux-tu? laisse moi!... insupportable... (Co chcesz! daj mi spokój!... nieznośny...)”

— zadźwiandała bona i odwróciła się do ściany.

Wówczas Aurelka jak stała, w koszulce, poczęła pukać w sąsiednie drzwi, wołając:

— Ignasiu!

— A czego tam? — zadźwięczał po chwili cienki głosik.

— Wstawaj, coś się stało!

Wyjrzała ściągła zaróżowiona snem twarzy-czka.

— Co takiego?

— Nie wiem, ale tatuś krzyczał wody!

— Pewnie pożar.

— Prawda, pewnie!

— Czekaj, zaraz — i Ignas począł tarmosić Zygmuś, powtarzając:

— Dziń, dziń, dziń! — wstawajcie — pożar prawdziwy!

— Gdzie, co? — dopytywały się dzieci, zelektryzowane wiadomością, gdyż właśnie poprzedniego dnia bawiły się w straż ogniową niecąc i gasząc papierowe pożary.

— No to trzeba w tej chwili, w mig się ubierać — oświadczył Zygmuś, który z opisów czynności straży zaczerpnął pomysł do tej zabawy.

— “Dormez enfants” — (Spijcie dzieci) — głębi łóżka jęczała Florentyna, zła, że jej przeważają sen.

Ale dzieci ubierały się na gwałt. Apuś począł

płakać, bo mu się pokręciły majteczki, a jako najmłodszy i bez tego grał rolę kopciuszka w zabawie.

Ignas wybawił go z kłopotu. I wkrótce cały oddział był gotów. Zygmus na czele z trąbką, Ignas z drewnianym toporkiem, Aurelka z filiżaneczką, Mieczys z kieliszkiem, a wreszcie Apus z czerepkim — znaleźli się u drzwi, wiodących na korytarz.

Tu dopiero nastąpiła chwila opamiętania się i refleksji.

— Gdzież ten pożar? — spytał dowódca.

— Strażak, Aurelka, wie — zameldował pośpiesznie Ignas.

— Ja nie wiem... tylko tatuś wołał wody! — odparła zmieszana Aurelka.

— No więc jakże będzie? — rozkładając wykręcone dłońmi do góry ręce, z zawiedzioną miną począł się skarżyć Mieczys.

Ale w tej chwili rozległa się z góry urywana komenda Postańskiego:

— Nie trzeba nikogo!... Ja sam z Janem... marsz na dół, i nie puszczać ani psa kulawego zwłaszcza dzieci!...

— Widać na górze... — zaczęła Aurelka.

Ale nikt już nie wierzył w pożar, natomiast słowa Postańskiego upewniły dzieci, że się istotnie coś niezwykłego stało, a nadto dały do zrozumienia, że, aby dowiedzieć się prawdy, nie należy działać otwarcie, ale, jak "indjanie", z podstępem.

Wnet toporek w ręku Ignasia zmienił się w tomahawk, reszta zaś przeobraziła się w odpowiedni sposób, i dzieci, uchylając drzwi na szparkę, począł śledzić z zasadzki ruchy i zamiary "białych".

Przesunął się przez korytarz pan Ignacy, a

nim Belcia, oboje rzeczywiście biali, zwłaszcza ostatnia, jak papier.

Potym z wiadrami wody i ścierką w przeciwną stronę podążył Jan. Skrzywienie schodków zaświadomiło, że udał się na górkę.

Było to dość dziwne, bo szorowanie podłóg należało do dziewczek piekarnianych, nietyle jednak znamienne, by zappełnić długą sprzerwę absolutnej ciszy, która zaczynała już ich nużyć.

Dla rozrywki próbowano utatuować Apusia, a mazgaj piskiem swoim zmusił do wstania pannę Florentynę, która przeszkodziła tej operacji.

Z boną dzieci wogóle nie liczyły się wcale, w danym wypadku ubarwione fantazją ich opowiadania zaostrzyły i jej ciekawość do tego stopnia, że ta "blada twarz", "francuska żyrafa", jak ją przerwał na poczekaniu "czarny wąż", Ignas, wziął udział w zasadzce.

Wkrótce zaskrzypiały schodki i znów przeszedł stary Jan, ze zwojem bielizny, poplamionej krwią.

— "Oh! le linge sanglant" — (Oh! zakrwawiona bielizna!) — jęknęła, cofając się panna Florentyna.

Dzieci obejrzały się na nią i po sobie z pewnym niepokojem.

Ukazał się Jan z kubłami wody.

— Co to Jan? — zaczęła go panna Florentyna, ale stary nawet się nie zatrzymał. Bona przysięgła drzwi mniej szczelnie i stanęła pierwsza z nich, zasłaniając malcom cały widok.

Okoliczność ta i oburzyła dzieci i nastroczyła sposobności do nowych pomysłów.

Należało koniecznie wypędzić to "obce i niezliczne plemię" z opanowanej siłą pozycji. —

Namówiono więc Apusia, aby udał chorego. Wybrano go na ofiarę najprzód dlatego, że istotnie często chorował na robaki, powtóre był najmłodszy, i przytym skłonny do poświęceń, gdyż przebiegał nie jedynie wybijał się na trochę zaszczytniejsze stanowisko. Jakoż, krzywiąc się odpowiednio, malarz począł pisać i wiać się na łóżeczku, a reszta dzieciarni zaalarmowała pannę Florentynę, że Apusia strasznie nudzi.

— I ma takie długie robaki, jak pani nosi! — dodał półgłosem Ignas za oddalającym się zaborem, którego wyparowano, akurat wczas, bo właśnie na korytarzu wszczęła się żywsza krzątania.

Przeleciał parę razy Jan, potym Belcia i pan Ignacy, który prędko wrócił i wraz z Janem udał się, ale tym razem nie na górkę, tylko gdzieś dalej.

Po krótkiej pauzie ukazali się ponownie, dzwoniąc obitą ceratą starą sofę, która stała w końcu korytarza bez żadnego użytku, gdyż była tak twarda, iż jedynie dla popisu można było na niej nachnąć kozła. Sofa znikła w saloniku, skąd się wkrótce rozległo przesuwanie mebli; dzieci wbiegły na pusty korytarz, ale wnet się cofnęły przeczornie, słysząc nowe kroki.

— Tatusz poszedł na górkę — zawiadomił Złoty gmuś.

Nastąpiła dłuższa przerwa. Zapiszczały silnie schodki. Nadspodziewanie szybko ukazał się pan Ignacy i dostrzegłszy chowającą się główkę, pobiął do drzwi, zatrzasnął je gwałtownie i zaknął na zasuwkę.

■ Wszystkie dzieci odskoczyły od progu, prędko

Ignasia, który nie tracąc przytomności umysłu, przytknął cko do dziurki od klucza.

Schody skrzypiały niezwykle żałośnie; przemknęła się najprzód ciocia Belcia, szeleszcząc spódnicą; rozległo się ciężkie stąpanie i Ignas ujrział najprzód nogę, a potem cały prawy bok pana Pościańskiego, który niósł coś dużego.

Z ramienia doktora zwieszała się bezwładnie jakaś ręka. Chłopak ją poznał po filigranowej, białej jak alabaster, delikatnej dłoni, która mignęła mu tuż przed okiem i drgnęła tak dziwnie, jak jego serce

— Co tam? — dopytywali się mali towarzysze.

Ale Ignas milczał; odsunął się od nich cicho i ukucnął w kąciku ze zwieszoną czarną makówką i żałośnie zgiętymi w podkówkę ustami.

Dzieci spojrzały po sobie i posmutniały również.

W jakiś czas później odsunęła się zasówka i w drzwiach stanęła Belcia, na białych policzkach miała dwie czerwone plamy, oczy były suche, dopiero gdy się zbliżyła do Ignasia i dotknęła go ręką, trysnęły pierwsze łzy.

— Nie masz już mamusi — szepnęła, całując go z płaczem.

A potem, zwracając się do reszty dzieci, rzekła:

— Ciocia Marynia umarła... jest już u Bozi... chodźcie zmówić pacierz!

I wprowadziła je do saloniku.

Dzieci mimowoli zbiły się w gromadkę na progu i patrzyły zdumione i wylękłe zarazem; jeden

'Apuś nie czuł trwogi, tylko zawód, bo się spodziewał ujrzeć ciocię u Bozi, a nie na sofce.

Tam właśnie w czarnej sukience w otoczeniu wazonów kwiatów leżała silnie wyprostowana Marynia z głową opartą na atłasowej poduszce; ciemne sploty włosów rozpuszczone z umysłu na szyję, zakrywały ranę przebitej arterji, przez którą z krwią spłynęła boleść jej życia.

W smukłych marmurowych palcach, splecionych poniżej piersi, trzymała złocony obrazek.

Twarz biała i przeźroczysta, jak alabaster o przedziwnie subtelnych rysach, zdumiewająco piękna, miała egzaltowany wyraz cudownego zachwycenia. Nie czyniła jednak wrażenia ani życia, ani martwoty, ani nawet uśpienia, a raczej arcydzieła sztuki, które nie żyje i nie umiera, lecz tylko trwa i sprawiedliwości ciągnących zdala wieków powierza wszystkim swój smutek, cały ból cierpienia.

— Klękniście! — szepnęła Belcia i zaczęła pacierz.

Ale, ledwie wymówiła pierwsze wyrazy, rozległo się ciche łkanie, wydzierające się z drobnej piersi Ignasia, który dygocąc, jak liść, nie mógł ani uklęknąć, ani oderwać błędnego wzroku od rysów matki.

Widząc to pan Ignacy, pochwycił chłopca na ręce i wyniósł go z pokoju, Belcia z pomocą panny Florentyny uprowadziła resztę szlochających dzieci.

W pokoju został jeden Postański który oparty o ścianę stał cały czas z nieruchomą twarzą, jakby wyciosaną w szarym piaskowcu. Wzdrygnął się z lekka, słysząc płacz Ignasia i znowu zastygł,

utkwivszy wielkie błędne oczy, rozjątrzone krwawymi żyłkami prosto w twarz zmarłej.

Gdy wszyscy wyszli, zbliżył się, pochylił nad Marynią, dotknął ustami zimnego czoła i wyszeptał:

— Chyba ci lepiej!

Wychodząc, raz jeszcze obrzucił cudowny ten kształt takim wejrzeniem, jakim się żegna na zawsze kunsztowną urnę z popiołem spalonego na proch serca.

VI.

NIEPOROZUMIENIA.

Pomimo środki powzięte w celu zatajenia samobójstwa Maryni, wieść o nim w postaci głuchej i bałamutnej wersji przedostała się za obręb Klonowa, jak się o tym przekonał pan Ignacy. Gdy się bowiem zjawił nazajutrz po wypadku na plebanji omówić sprawę pobrzebu, nowy proboszcz, począł mu stawiać w sposób inkwizytorski różne drażliwe pytania: dlaczego nie został we właściwym czasie wezwany ze św. sakramentami? czym się tłumaczy tak nagły zgon parafjanki? i t. p.

Pan Ignacy próbował zrazu wykrętów, ale, jako nienawykły do dyplomacji, począł się wikłać i w końcu, zły i rozjątrzony badaniami, oświadczył prosto z mostu i ostro: że Marynia targnęła się na własne życie, uczyniła to jednak w stanie silnego zdenerwowania, duchowego rozstroju, pod wpływem nieszczęścia, jednym słowem w warunkach równających się niepoczytalności.

— Należałoby to sprawdzić — odparł oschle ksiądz, urażony tonem Ignacego, który mu się wydawał wyzywającym.

Co?! — zdławionym głosem wyrzucił pan Ignacy i aż go mrowie przeszło na samą myśl sprawdzania; potym istotnie wyzywająco i wyniośle, odsapnąwszy, wypalił jednym tchem:

— Proboszcz chyba nie wie, że dom, w którym jesteśmy, wyrósł i trzyma się ofiarnością Gintowtów, a stoi na ziemi Postańskich, którzy ufundowali również kościół... Poprzednicy jego, dziekan, zacny kanonik, a zresztą stare tablice w murach mogą zaświadczyć...

— Co było, a nie jest — nie pisze się w rejestr! — przerwał dobitnie proboszcz. — Ja wprowadzie kanonikiem nie jestem — dodał skromnie — ale obowiązki swoje znam i staram się wypełniać skrupulatnie... Co się zaś tyczy teraźniejszości, to w samej rzeczy najbliższym mym parafjaninem jest niejaki pan Postański, którego niestety nie mam zaszczytu widywać w kościele, a zato często przy pracy w polu w dni święte....

— Więc pan zamierzasz robić trudności?

— Nie! tylko ściśle trzymać się przepisów! — pokornie składając dłonie i pochylając głowę, odparł proboszcz i zacisnął wąskie wargi.

—Zobaczmy! — przeskanował pan Ignacy i, trzęsąc się z gniewu wypadł, trzaskając drzwiami, siadł na szaraban i zaraz z Trupca kazał pędzić na kolej.

Przez czas podróży doświadczał ciągle, jakby zacinania się całej istoty na twardy uparty zamek; ciężkie to uczucie opuściło go dopiero w domu, dokąd wrócił nazajutrz rozbity, z cerą koloru płam od kawy, z żółtymi sklerami, ale zato z papierem od biskupa: pogrześć — "simplicissime!"

W myśl tego zastrzeżenia zwłok nie wysta-

wiono w kościele; kondukt wyruszył wprost z Klonowa.

W pobliżu cmentarza zjawił się w pomiętej komży i wytartej sutannie posłuszny władzy kapłan i stanął na czele orszaku, od którego zaraz odłączył się stary Posański.

Przed trumną posuwał się nie srebrny, ale zwyczajny drewniany krzyż; gdy mijano furtę odezwała się kilka razy tylko mała sygnaturka; za całe światło służyło jedno jedyne słońce. I pochowano ją nie u wniścia wśród kamiennych nagrobków, ale w dalszych kwaterach cmentarza, gdzie zieleniły się bujną trawą i chwastem szeregi płaskich grządek — mogiły biedoty.

Śmierć Maryni nie uczyniła w życiu Klonowej trudnej do zapełnienia luki, jaką sprawiło zniknięcie osoby ściśle wplecionej w tryb powszednich czynności, myśli i uczuć. Było to naturalnym następstwem tego zakłętego kręgu rozpacz, w którego obrębie znalazła się samotna, na dystans jego promienia oddalona od wszystkich.

Nie tylko więc nie czuło się braku jej, przeciwnie, w smutnych westchnieniach pierś mimowoli oddychała szerzej, jak gdyby z atmosfery usunął się jakiś pierwiastek, którego cały ciężar poznała wówczas, gdy się go pozbyła.

Oczy nie martwiły się, nie widząc przy stole tej twarzy cudnej, a jednak omijanej, gdyż nie dawała się swobodnie uśmiechnąć.

Przestała się snuć po pokojach ta postać gasząca każdy poryw wesela, niby widmo nieszczęścia, a związane z nią wspomnienia były o tyle tragiczne, że pamięć instynktownie cofała się przed nimi, jak się cofają palce przed dotknięciem ra-

ny. Ostatni zaś krwawy obraz jej śmierci, był tak jaskrawy i ostry, że się nie dawał spieścić z bólu na rozrzewnienie żalości, starano się więc go zamilczeć, by co prędzej spłowił i stracił dotkliwą wyrazistość konturu.

I środek ten istotnie skutkował. Wizerunek istniał, ale nikt nań nie chciał patrzeć. Sam zaś mógł rzucić się w oczy jedynie przypadkowo, jak się też parę razy zdarzyło.

Mianowicie, któregoś dnia pan Ignacy zaszedłszy na opuszczoną górkę, wrócił stamtąd niezwykle wzburzony i nazajutrz kazał natychmiast przemalować podłogi aby zaciągnąć farbą tę wytartą w pokoju Maryni plamę, której widok, niby nagły promień światła, rozjaśnił ów ciemny zakątek, gdzie wnet zapalił się gasnący koloryt umieszczonego tam obrazu.

Innym razem znów Belcia, wracając z obory, spotkała oryginalny orszak dzieci: Mieczysław z Aurelką niosły na deszczułce zaduszoną przez kota sikorkę, z tyłu szedł Apuś z łopatką, przed nimi Zygmunt z gałęziami w kształcie krzyża, a na czele Ignaś w jej własnej pelerynie, sięgającej mu do pięt i, zgrubiając głos, wydawał rozmaite nosowe dźwięki, które w istocie przypominały hymn pogrzebowy.

Belcia, zorientowawszy się, co się dzieje, poczuła najprzód ból tamtego wrażenia, a potem gniew. Wpadła między dzieciarnię, powyrywała im z rąk przedmioty, przerzuciła je daleko za szpaler, zabrała pelerynę, natomiast zostawiła porcję kłapsów, przyczem najgorętszy dostał się Ignasiowi wraz z przydomkiem: "łobuz bez serca".

W ten sposób chłopak miał sposobność prze-

konać się po raz pierwszy, lecz nie ostatni, że sieroctwo nie składa się z samych przywilejów, a był już bliski tego poglądu, bo właśnie zaszczytną rolę księdza, która się z prawa starszeństwa należała Zygmusiowi, dzieci jednomyślnie odstąpiły jemu, jako sierocie.

Wogóle Belcia, pocziwa z gruntu kobieta, wyborna gospodyni i staranna żywicielka swojej gromadki, jak najmniej nadawała się do kierowania wychowaniem dzieci. Popędliwa, skłonna do uprzedzeń, rządząca się wrażeniami chwili, sądziła ludzi i czyny czysto zewnątrznie, powierzchownie, nie podejrzewając nawet, że pod jednakowymi pozorami może istnieć treść odmienna, zupełnie nieraz z niemi sprzeczna.

Ruchliwość temperamentu nie pozwalała jej nigdy zastanawiać się głębiej nad sobą, tymbardziej nad innymi, a zwłaszcza nad dziećmi, "takimi tam pędrakami, których należy wczas nakarmić, ubrać, dopilnować, aby sobie głów nie poukręcały, a przede wszystkim nie wdawać w żadne ceregiele ze smarkaczami, którym fiu-fiu w łepetynie".

Był to jej system i on zapanował, gdyż Belcia właśnie najczęściej spotykając się z dziećmi, samodzielnie stanowiła w ich sprawach, wszelkie zażalenia na małych winowajców zanoszono przed jej forum, ona też sądziła, karała lub nagradzała według tej miary sprawiedliwości, na jaką mogła się zdobyć, słusznej formalnie, w istocie niejednokrotnie błędnej. Była więc dla dzieci niejako najbliższą instancją, bezpośrednią władzą, szczerze przywiązaną, nader troskliwą o zdrowie, czystość i sytość, ale krótkowidzącą. W zawilszych wypadkach nie rozumiała dzieci zupełnie, albo z gruntu fał-

szywie, szczególnie Ignasia, który pod tym względem co rok przedstawiał większe trudności, w miarę bowiem jak rósł i rozwijał się, coraz silniej komplikowały się różnorodne właściwości jego bogatej duszy, ujawniając się w postaci nieokreślonych, poplątanych popędów, które Belcia starała się jedynie poskramiać, nie umiejąc rozwikłać ani kształtować.

Pan Ignacy spełniał tylko jakby funkcję senatu, do którego apelowano tylko w razach wyjątkowych.

Co zaś do nauczycieli, to pierwszy, następca panny Florentyny, eks-student, wykładał dobrze, ale poza godzinami lekcji unikał utrapionych bąków, jak ognia. Za klasą — nie obchodzili go wcale. Zato, jako romantyka z usposobienia, z przekonania demokratę, wolnego od wszelkich kastowych uprzedzeń, intrygowały go bardzo tajemnice stanu ludowego, które studjował po całych nocach, w dzień więc był zwykle zaspany. Z tego nawet powodu, gdy Zygmus zdał do gimnazjum, ku niezadowoleniu żeńskiego personelu służby, musiano go oddalić — a natomiast zjawił się zasuszony staruszek, zwłennik metody paznokciowej, "stać dotąd", "na pamięć oraz na wyrywki", kompletny niedołęga, którego Postański nie nazywał inaczej jak "zagwożdżoną armatą".

Doktor, po śmierci Maryni, zaczął niemal codziennie zaglądać do Klonowa i objawiać żywe zainteresowanie sprawami dzieci, czym ujął do tego stopnia Belcię, że kazała go nazywać dziaduniem, co też przyjęło się powszechnie.

Nowo-kreowany dziadunio, choć najdalej wiekiem, najlepiej orjentował się w świecie przy-

branych wnuków, z których za prawdziwego uważał Ignasia. Obserwował go też najpilniej, i nieraz swoje bardzo trafne spostrzeżenia usiłował wpoić w Belcię.

Ta jednak najczęściej puszczała je mimo uszu, miała bowiem najprzód doktora za dziwaka, a powtórę—nie lubiła, by ktokolwiek się wtrącał do jej czynności. Żałowała nawet niejednokrotnie, że sama przez nadanie mu przydomku "dzia-dunia" upoważniła go niejako do zabierania głosu w sprawach jej wydziału.

Raz zaś, gdy Postański wystąpił w roli specjalnego orędownika Ignasia, zaperzyła się nie na żarty.

—Jak doktor nie wstydzi się przypuszczać!—mówiła, dotknęta do żywego—że ja mogę robić jakąś różnicę między Ignasiem a swojemi dziećmi!... raczej chyba przeciwnie; bywam dla niego o wiele względniejszą; a że jest pierwszy do wissusostwa i niema dnia, żeby czego nie zmalował, to już chyba nie moja wina!... głaskać go za to nie będę. Za naukę go przecież chwale!

—Że jest prowodyrem, to prawda, i umie nim być! Ale aścka, zdaje mi się nie rozumie, że kiedy sobie żywo wyobraża, że porywa siostrę, a Ignas wierzy w to, jak w rzeczywistość. Trudno więc żądać, by myślał o całości majtek, kiedy Indjanie uwodzą mu Aurelkę! To zupełnie tak samo, jakbym ja przed atakiem przestrzegał żołnierzy, by sobie nie posmolili łap i munduru!

—Ale on kłamie!

—Nie! tylko koloryzuje, wyraża się hyperbolicznie, jak czuje i myśli!

—Ładna mi hyperbola!... wczoraj, naprzy-

kład po lekcji wypada do ogrodu, zaczyna tupać nogami i, przysiadając, wydaje ten krzyk, od którego mi pękają bębunki! Znowu piszczysz Ignasiu!—powiadam, a on mi na to:

—Ja ciociu, nieumyślnie!

—Tak! bo to nie on, ale w nim życie krzyczy.

—No to niech ciszej krzyczy!—przecięła dyskusję Belcia.

I podobnymi argumentami kończyła się zwykle drażliwa rozmowa.

Ignas w dalszym ciągu najczęściej ze wszystkich otrzymywał admonicje, bywał oskarżany o wady, do których się nie poczuwał; obiecywał poprawę, a potem broił swoje i w rezultacie nie wiedział, czego od niego chcą? Że zaś był wrażliwy do czułościowości i bardzo ambitny, dotkliwiej odczuwał każdą karę.

W ten sposób, choć Belcia istotnie nie miała zamiaru robić różnicy pomiędzy resztą dzieci a Ignasiem, różnica ta istniała,—Ignas ją odczuwał i przypisywał swemu sieroctwu, które go zaczynało smucić i rozżalać serce. Na tym tle poczęła się w nim rozwijać tęsknota do umarłych rodziców i bałwochwalcze przywiązanie do ich pamięci.

W tych smętnych chwilach osierocenia dziecko ze szczątków mających wspomnień, z urywków podsłuchanych opowiadań, odtwarzało sobie idealny wizerunek dwóch heroicznych i świętych postaci: ojca i matki; stawiało rodziców przed sobą jako wzór niedościgły, których, by się stać godnym ich synem, naśladować należy zawsze, czy to, gdy chodzi o wdrapanie się na stro-

my dach, przeniesienie w rękach żaru z pieca do pieca, czy też o poklepanie złego ogiera—jednym słowem o wykonanie jakiegoś czynu, na który nikt nie śmie się odważyć.

Tak więc zjawił się nowy motyw, wypychający Ignasia na czoło wszelkich awanturniczych przedsięwzięć małej gromadki, motyw, którego istnienia nikt się nie domyślał, gdyż Ignas to swoje serdeczne ukochanie piastował w tajemnicy, niaby świętość, jakiej się nie naraża na profanację. Raz wprawdzie zdradził się.

Gdy bowiem pytano kiedyś dzieci po kolei, czym każdy chce zostać, gdy dorośnie?

Ignas z rozpłomienionym okiem odparł:

—Ja chcę być tatusiem, albo mamusią.

Oświadczenie to zrobiło na państwu Ignacostwu niemałe wrażenie, które się jednak szybko zatarło.

Doktór przytym nie był i kiedyś dopiero, zupełnie wypadkowo, odkrył tę tajemnicę i wiele innych. Wpadł mu mianowicie w ręce kajecik Ignasia, gdzie pomiędzy opisem bielizny i rozmaitemi notatkami, jak na przykład: co zgubiłem? co znalazłem? co mam dać komu, jak będę duży?—ujrzał dwa niezgrabne, ale znamionujące talent, rysunczki-sylwetki twarzy z podpisem: mój tatuś i moja mamusia, a dalej dwie mogiły z krzywymi krzyżami. Prócz tego pod nagłówkiem: kogo kocham najwięcej? w jednej linii wielkimi literami były wykaligrafowane wyrazy: "Tatusia" i "Mamusię;" niżej, mniejszemi "Dziadunia Postańskiego," a potym niedbalej imiona wszystkich dzieci, państwa Ignacostwa, domowników, psów, koni, służby i t. d.,

Doktór przeczytał wszystko uważnie i przez urywki niedokończonych zdań, przez pryzmat tych krzywych literek, nawskroś przejrzał duszę chłopaka. Przekonał się, że jest to prawe dziecko swoich rodziców, cudowny wykwit związku dwóch istot niezwykłych, pąk, który mierzy wysoko, aż w słońce. I doktor, wobec tej myśli, doznał silnego niepokoju, jakby przeczucia, że może będzie to tylko przedłużenie smutnego łańcucha cierpień.

Nieraz też, przyglądając się z boku rysom twarzy dziecka, chwycił w nich jakiś subtelny wyraz tragizmu, niby stygmat fatalnych przeznaczeń, przed którym drżało jego nieustraszone serce. Jednocześnie, dzięki temu odkryciu, Postański zdobył decydujący wpływ na Ignasia, ilekroć bowiem chciał go do czego nakłonić, lub wykorzystać jaki zły nałóg, dość mu było odwołać się do magicznych wyrazów "tatuś" lub "mamusia," by osiągnąć pożądany rezultat. Przytym, za przypominanie tych imion, z umysłu pomijanych wobec chłopca przez wszystkich, doktor zyskiwał tak silne przywiązanie Ignasia, że nowa osoba, która w swoim czasie pozyskała serce malca, w rubryce "kogo kocham najwięcej?" została zapisana nie wyżej, a równocześnie z nazwiskiem "dziadunia". Osobą tą była ciotka Mila, daleka kuzynka Belci, sierota, średnio-zamożna panna, która po skończeniu pensji przebyła całą zimę i wiosnę w Klonowie. Dobrze rozwinięta osiemnastoletnia panna, o rzeźbionym profilu, podłużnych oczach, koloru fijołków, i purpurowych wargach, przyzwyczajona do miejskiego życia, nudziła się na wsi, co się zowie, i dla rozrywki, w

braku dorosłego rycerza, stałego przedmiotu gorących westchnień, zrobiła sobie pazia z Ignasia, który się jej podobał przez swą czupurność i nie dziecięcą odwagę. Kazała mu znosić sobie kwiaty, całować się w usta, w zgięcia rąk i w szyję; brała go również na kolana i pieściła nieraz godzinami; a dziesięcioletni chłopak odnajdywał w jej pocałunkach zapomnianą tkliwość i słodczy pieśczoły matczynej, oraz jeszcze jakiś mglisty, nieznany mu pierwiastek, który go zmuszał kryć się przed okiem ludzkim z uczuciami dla cioci Mili i rumienić się do łez, gdy go żartami nazywano jej narzeczonym.

VII.

Noc świętojańska.

—Otóż, gdyby tak który z was znalazł dzisiajszej nocy ten świetlisty kwiat—byłby szczęśliwy i wszechmocny! A jabym się do niego umizgnął, by choć pozwolił powąchać...

Tu Konański uśmiechnął się blademi wargami.

—Czy koniecznie w lesie? bo u nas jest pa-proć i w parku?—przerwał milczenie Mieczysław.

—Powiadają, że w lesie. Ale pono ani w lesie, ani w ogrodzie, odparł Konański i utkwiał w przestrzeń dobre, spłowiałe, zamyślane źrenice.

W ten sposób gawędził z dziećmi pierwszy gość, który przyjechał nad ranem do Klonowa, by złożyć życzenia w rocznicę ślubu państwa Ignacostwa. Był to daleki sąsiad i kolega szkolny, pana Ignacego, człowiek rokujący niegdyś świetne nadzieje, zwichnięty bardzo wcześniej wskutek zawodu sercowego, dziś—nie pozbawiona uroku ruina. Mieszkał samotnie, zakopany w walącej się wielkopolskiej rezydencji, którą dla wizyt opuszczał raz tylko do roku, aby odwiedzić Klonów i przypomnieć sobie ów miniony wieczór, kiedy to prowadził tańce na weselu z takim zapalem i nie-

mal furjã, jakby przeczuwał, że bawi się po raz ostatni w życiu.

—A czy mógłby pan z dużego konia zrobić parę muców?—spytał nagle Ignas, który z pół otwartemi ustami, wpatrzony w stroskaną twarz Konańskiego, pochłaniał słowa jego opowiadania.

Ale w tej chwili wszedł na werandę pan Ignacy i rzekł wesoło:

—Cóż, Tadeuszu, możeby tak przed obiadem partyjkę dla apetytu.

—Ale dasz piona for, bom dawno nie grał.

—Ja także, ja także, bodaj ostatni raz z tobą!—bronił się Ignacy.

—Tak, ale wiesz przecie, że ja wogóle nie mam szansy w żadnej grze—zaśmiał się Konański głosem i całą twarzą, prócz oczu.

Wyszli.

Dzieci pod wrażeniem opowiadania siedziały chwilę, cicho, zadumane.

Jeden tylko Apuś kręcił się niecierpliwie i raptem rzekł:

—Ja radzę przed obiadem, dla apetytu, zagrać w "Ducha puszczy."

—Dobrze!—ożywiając się potwierdził Mieczysław.—Zygmus! co ty tam robisz!—zawołał—chodź, bawić się w "Ducha puszczy."

—Obciążam się!—wychodząc z papierosem, ukrytym w dłoni, odparł Zygmus poważnie i sztucznym basem, jak przystało na czwartoklasistę.

—Czy to doprawdy przyjemnie?

—Et, gdzie tam!—wtrącił, budząc się z zamyślenia Ignas.

—A ty skąd wiesz?—strofująco, z pewnym niezadowoleniem spytał Zygmus.

—Próbowałem fajkę Jana!

—No i ine nudziło cię?

—Nie, tylko szczypało strasznie w język.

—Bo nie umiesz się zaciągać, ale spróbuj, ot tak!—I tu się Zygmus zaciągnął, zakaszlał, splunął i, słysząc kroki, zdeptał niedopałek.

Na werandę wbiegła Aurelka i zaczęła mówić szybko, strojąc silne zafrasowaną minę i gestykulując żywo:

—Chodź, Zygmus, pomóż kręcić lody, bo sobie nie dam sama rady, zatrzęsienieroboty.

—Co? czy ja baba?—oburzył się Zygmus.

—No, to który z was?

—My nie możemy, bo musimy urządzić “Ducha puszczy”—odparł kategorycznie Apus.

—Dzieci i ryby głosu nie mają!—zaczął bąsem, a skończył fatalnym dyskantem Zygmus, podnosząc rękę do brodawki pod nosem.

—Obrzydliwe chłopczyska! żadnej z was pociechy!... A ty, Zygmus, nie pal, bo powiem mamie; ja widziałem—rozdrażniona odmową, mówiła Aurelka.

—Poskarż się! to będziesz skarżypyta bez kopyta!

—Będę czy nie będę, to zobaczymy jeszcze! Wielki mi pan! szczypie brodawkę pod nosem i myśli, że ma wąsy... zarozumialec!—odcięła Aurelka, obróciła się na pięcie i wyszła z godnością.

—Gęś!—rzucił za nią dotknięty Zygmus.

—No, zamiast się kłócić, lepiej doprawdy w “Ducha puszczy!”—wykrzyknął Ignas.—Ki-ki-ri-ki!—zapiał jak kogut;—jam jest Natan krwa-

wy, czyli "Duch puszczy." Znajda! pójdź tu, do nogi!—zawołał młodego kundysa—będziesz jako "Cukierek" tropił Indjan! Zygmus! tyś wódz czerwonoskórych! Jak krzyknę: już!—to znaczy zaczynać!

I chłopak pędem wraz z psem pobiegł w ogród. Apuś, zakładając za wstążkę kapelusza kacze skrzydło, uzbrojony w dzidę z leszczyny, a Mieczys z łukiem, porwali się z miejsc. Zygmus swtał również, ale wahał się jeszcze, czy wypada ochotę.

—Już!—rozległ się z za klombu dźwięczny głosik.

Dwaj Indjanie puścili się w tę stronę

Ignas zaś chyłkiem wraz z wiernym Znajdą przebiegł przez zarośla, ukucnął za krzakiem porzeczek i, przytrzymując psa za sierść na karku, szeptał z bijącym sercem: "Waruj, Cukierek!"

Wkrótce w alei ukazał się Apuś, zynylony manewrem Ignasia, szedł spokojnie, spodziewając się nieprzyjaciela znacznie dalej.

—Ki-ki-ri-ki jam jest "Duch puszczy!"—z okropnym okrzykiem rzucił się nań z tyłu Ignas, obalił go na ziemię i rozduszonymi porzeczkami, niby krwawym krzyżem, naznaczył mu piersi.

—O jej!—krzyczał, oszołomiony Apuś.

—Łapaj!—darł się Mieczys, przedzierając się przez zwarty szpaler strzyżonej akacji.

Na widok porażki brata w Zygmsiu krew zagrała, pierzchła maska powagi i pędem podążył na pomoc.

Ignas, przejęty rzeczywistą trwogą, począł zmykać co sił, jakby przed istotnym niebezpieczeństwem. Chłopak biegał prędko, ale Zygmus,

dzięki długim nogom, wkrótce go dopędził, nie mógł jednak pochwycić Ignasia, który jak piskorz wymykał mu się z pod rąk.

Tymczasem nadążył Mieczyś, ukazał się też i Apuś.

Chwila stawała się krytyczną. "Duch pusz-czy" został osaczony z trzech stron, z czwartej zagradzała drogę do ucieczki kopanka z wodą.

Nie namysławiając się długo, Ignas skoczył, by przesadzić przeszkodę. Udawało mu się to nieraz, ale obecnie siły zawiodły; plusnął w sam środek po pas, wybrnął na drugim brzegu i zmiatał dalej co sił.

Reszta dzieci, pomna przestróg Belci, która ich wystroiła na uroczystość dzisiejszą, zatrzymała się na drugim brzegu i zniechęcona niepowodzeniem, zawróciła do domu.

Ignas, nie czując pogoni, rzucił się na trawę i dyszał chwilę, z wrażeniem rozżarzonego węgla w piersiach. Po paru sekundach opamiętał się zupełnie, spojrzał trwożnym okiem po sobie i struchlał. Jasne spodenki, buciki i pończoszki—wszystko to stało się brunatne, ociekające wodą i mułem: przód wyrzucanej marynarskiej bluzy przemókł również; ręce, a co gorsza, końce rękawów i białe, perłowe guziczki były oblepione błotem co się zowie.

Ignas siedział długo bezradny, z miną skruszonego winowajcy, z upadłemi oczyma i płaczem blizki, kiedy jednak wypoczął zupełnie, w nowym przypływie energii, jął się zastanawiać nad sposobami doprowadzenia do porządku zniszczonego ubranka. Najlepiej wyprać!—pomyślał i skierował się ku rzwzce.

Najprzód zdjął buciki, oskrobał je patyczkiem z błota, wymył i wytarł liśćmi łopucha. Potym rozebrał się do koszuli; bluzkę tylko wypłukał, ale spodnie prał co się zowie. Jakaś szczapa posłużyła mu za kijankę, którą walił po spodniach z wielką satysfakcją i z takim zapalem, że aż z niej drzazgi leciały wraz z połupanemi częściami naszytych guzików z masy perłowej.

Spociał się przy tej pracy, ale był rad z jej rezultatów, pewny, że po wyschnięciu, będzie się wszystko prezentować doskonale.

Porozwieszał tedy garderobę na gałęziach brzoźki, a sam położył się na miękkiej murawie, rozkoszując się ciepłem słonecznego dnia, i lekkimi podmuchami pieszczotliwego wiatru, który mu rozdymał koszulkę.

Cicho było wokoło, tylko strumyk szemrał monotonna i brzęczały niewidzialne roje drobnych muzsek; nad rzeczką panował ruch nieustanny: Przeleciała para turkawek i zapadła gdzieś w pobliżu; potym wyskoczyła na brzeg rzeczki pliszka i biegła tak blisko Ignasia, że widział doskonale jej czarne, jak perełki oczy. Dwa motyle, jeden mały, jasno-niebieski, drugi większy, biały, trzepotały się nad czerwoną główką bodziaka. Bzyknął czarno-żółty, prążkowany trzmiel i spłoszył je z bodziaka, więc się przesiadły na dziewannę, na której chwiały się malutki, myszaty ptaszek, muchołówką zwany. Na trawie drżały cienie gałązek i liści brzozy, a chwilami przesuwwały się większe plany przelatującego w górze ptactwa. Jedna taka prawie nieruchoma plama zwróciła uwagę Ignasia; spojrzał w niebo i dostrzegł ważącego się nad nim jastrzębia; wisiał

tak nisko, że chłopak rozróżniał połysk srebrnych piórek na ściągniętych skrzydłach, dziób i poruszenia głowy. Przyglądali się tak sobie nawzajem przez czas pewien, poczym jastrząb ledwie uchwytnymi drganiem skrzydeł począł się wzbić wyżej i wyżej.

—Ach, żeby to tak!...—pomyślał Ignas, ściągając go oczyma, i pierś mu się rozszerzyła rozkoszą wyobraźnego lotu.

Ptaka zatoczyło wielkie koło i znikł.

Ignas, leżąc na wznak, patrzył dalej w górę. Widział w czystym powietrzu jakieś ruchliwe siateczki, oczka wirujące, złote pyłki, za tym błękitny strop nieba, a na nim okręty białych lotnych chmur, płynących w dal nieskończoną.

—Ach, żeby to tak z niemi!...—pomyślał znów chłopak i zadrżało mu serce wyobraźną rozkoszą pływania po tym niebieskim przestworzu, aż przymknął oczy, by spotęgować siłę tego wrażenia.

Nagle zabełkotał trzykrotnie dzwonek, sygnalizujący porę obiadu.

Ignas zerwał się i począł się szybko ubierać; szło mu niesporo; wszystko było jakieś pokurczone, nieokreślonej barwy, ciasne i wilgotne. Buciki pozbawione glansu, zeschnięte, wyglądały jakby zlepione ze starego sukna, a za to spodnie, koloru ścierki, zdawały się być uszyte z pomiętej skóry.

Martwiło to Ignasia; szedł wolno w stronę domu rozprasowując dłońmi obu rąk trapiące go fałdy i zmarszczki ubranka.

Na schodach ganku zastał Postańskiego.

—Ho, ho,—zawołał doktor—gdzieżeś to się

tak wyelegantował na dzisiejszą uroczystość!—
 obróć no się! ślicznie wyglądasz, jak psu z gardła
 wyjęty!

—Bo ja chciałem wyprać—jąkał się Ignaś, a
 spojrzawszy na uśmiechniętą twarz starca, na
 jego zakurzone, połatane obuwie, wytarty kubrak
 i spodnie z frendzlami, nabrał otuchy i rzekł,
 przymilając się:—Może tak, dziaduniu, pójdziemy
 do kredensu, by nas Stefanek oczyścił, to i ja...

—Dziaduniu, proszę do sali, zaraz będzie
 obiad!—przerwała, wbiegając na ganek Aurelka
 w różowej sukience, przepasanej białą szarfą.—
 Ignaś—jęknęła, zatrzymując się zdumiona—no,
 no, no!—kiwała, zgorszona, głową.—A gdy Po-
 stański się oddalił, widząc przeciągającą się minę
 chłopca, dodała tajemniczo:—Nie bój się nic!
 Mama już wie, że wpadłeś w kopankę, nic ci nie
 będzie! dziadunio i ciocia Mila wyprosili; leć,
 przebierz się w stare ubranie!

—To ciocia Mila jest?—spytał żywo Ignaś,
 dziwnie wzruszony tym, że przyjechała, i roztkli-
 wiony jej wstawiennictwem.

—Przyjechała z jednym panem i jakąś pa-
 nią!... Śpiesz się, bo już zupę rozlewają.

Kiedy Ignaś w szarej, codziennej poplamionej
 kurteczce zjawił się w jadalni, wszyscy już sie-
 dzieli przy stole.

Gdy ochłonął z onieśmienia, oszołomiony
 licznymi spojrzeniami, które poczuł na sobie, zo-
 baczył groźący pulchny palec pani Izabeli i po-
 słyszał jej rozkaz:

—Przywitaj się! i na drugi raz pamiętaj... wi-
 dzisz, jak wszyscy wyglądają, ty jeden tylko, jak
 kopciuszek!

—I dziadunio także—pomyślał chłopak i odzyskał od razu swobodę i fantazję. Podbiegł, uśmiechając się z daleka do ciotki Mili i ucałował ją w obie ręce gorąco i czule; szurnął następnie nogami przed niemłodą panią i nieznanym łyśwym mężczyzną, który siedział obok ciotki Mili.

—Ach! więc to jest ów mój rywal!—zaśmiał się głośno nieznanomy gość.—No, to trzeba nam się zapoznać!—Wstał z krzesła i biorąc w tłustą, spoconą dużą dłoń szczupłą rączkę Ignasia, rzekł —Kułakowski, naczelnny dyrektor!—ostatnie słowa wymówił mimowoli chętnie i z naciskiem.

Ignas obrzucił nieufnym wzrokiem pękata postać na krótkich krzywych nogach i przypomniał mu się samowar, oraz stół z połączakami nogami. Od razu mu się nie podobał ów gość, uraził go jego głos i ton mowy.

—Ma bródkę, jak koza!—pomyślał, siadając. —Czem on się smaruje, że się tak świeci?—szeptał po chwili do Mieczysia, spoglądając na lśniące, wypasione policzki dyrektora.

A pan dyrektor, narzeczony Mili, patrząc przebiegłymi oczyma na Ignasia, mówił donośnie:

—Więc to ten kawaler pani kwiaty znosił, nie wygląda na to!

Ignas poczerwieniał do łez i uczuł taki żal do ciotki Mili, że w nim nawet utonęła niechęć do tego nieznanomego, który mu się wydał w tej chwili więcej, niż nieznośnym. Pochylił się nad talerzem i przez chwilę nie śmiał spojrzeć na nikogo.

Na szczęście rozmowa skręciła na inne tory, a w niej górował ciągle głos gościa, który w koń-

cu zmusił wszystkich do milczenia i brzmiał sam, przyczym głosił albo wielkość swojej osoby, albo fabryki, gdy się rozlegało “my,” miało to znaczyć fabryka, a gdy “ja” nikt już nie wątpił, że mowa o samym panu dyrektorze.

Jakkolwiek gość wyrażał się płynnie, barwnie nawet, mówił z wytrawną znajomością stosunków o rzeczach, niewątpliwie zajmujących, zwłaszcza dla mieszkańców wsi, opowiadanie jego nie zaciekawilo i nie sprawilo przyjemności. Raczej przeciwnie. Pan Ignacy mimowoli zżymał się, widząc miejscami brutalne zastosowanie własnych poglądów pozytywnych, co było dlań tym przykrejsze, że już dawniej miewał pod tym względem pewne wątpliwości. Belcia czuła się pomieszaną i jakby zażenowaną.

Na wrażliwej twarzy Konańskiego malował się silny niesmalk. Miła miała minę znużoną i tylko od czasu do czasu z sennych fijołkowych jej oczu wydzierał się krótki błysk zniecierpliwienia i skrytego gniewu. Jedną ciotka Kułakowskiego zdawała się być wniebowziętą i gdy “ja” dyrektorskie występowało w całym swym blasku — zawiędnęta, zeschnięta twarz promieniała i skłaniała się potakująco z uznaniem w stronę Postańskiego, który siedział “vis-a-vis” i upartym spojrzeniem wielkich przekrwionych oczu, zabójczo obojętnych, czynił niejaka, drobną zresztą, dystrykcję jej siostrzeńcowi.

A Kułakowski prawił o “naszych” wielkich piecach, o niesłychanej sprawności “naszych” młotów parowych, o bogactwie rudy, którą sprowadzamy z południa Rosji, o ubóstwie krajowym, o “naszych” pokładach węgla, galmanu i t. d., przyczym

chwilami otrzymywało się wrażenie, że wszystko to nie tylko faktycznie jest właściwością pana dyrektora, ale i zawdzięcza swe istnienie i działanie jego łaskawej sankcji, że dość jest, by on — naczelny dyrektor złożył w odpowiedniej chwili, odpowiedniej radzie odpowiedni raport z odpowiednio zamaszystym podpisem, lub, boże broń, zagroził dymisją, a wszystko to zmarnieje i zniknie bez śladu.

— Pan jednak musi mieć dużo zajęcia — odezwała się w końcu Belcia, chcąc przerwać nużący monolog i nadać mu choć pozory ogólnej rozmowy.

W istocie, pani dobrodziejko, wstaję o szóstej, a i po północy można mnie zastać przy biurku.

— Tak, tak, będziemy się musieli powoli do tego trybu życia przyzwyczaić — wtrącił, zwracając się z pobłażliwym uśmiechem do Mili i ciągnął dalej:

— Siódmego dnia również nie odpoczywam. Rachunki, wyciągi i raporty tygodniowe przeglądam osobiście i zaopatruję je własnoręcznie w drobne uwagi; z konieczności posługuję się stylem lakonicznym: “za drogo” niebieskim ołówkiem i jeden wykrzyknik — pierwsze ostrzeżenie! “Za-drogoo” i dwa wykrzykniki czerwonym — ostatnie! A wydział obrachunkowy już wie, z kim się ma rozliczyć i pożegnać....

— A coby było, gdybym ja tak wykreśliła fatalne litery? — spytała nagle Milla i roześmiała się nerwowo.

— Jakto? — z komicznym przerażeniem spojrział dyrektor na narzeczoną.

— No, tak, zakradam się do gabinetu, biorę

gumę i wycieram jedno "r", jedno "o" i jeden wykrzyknik.

— Brawo! znakomicie! — śmiał się serdecznie Konański. — Tak, dyrektorze, panna Miła ma dobre serce i ręczę, że zechce, a jako dyrektorowa będzie miała prawo kontrolować pańskie rozporządzenia i posługiwać się gumą w odpowiednich wypadkach.

Zanim minął moment ogólnego rozweselenia, dyrektor zdążył odzyskać stracony kontenans, uśmiechnął się z przymusem i począł się usprawiedliwiać.

— Tak!... zapewne!... może i ja sam chciałbym czasem pofolgować podwładnym i sobie, ale cóż robić, kiedy akcjonariusze nie pytają się o serce, ale o dywidendę. My zresztą musimy obniżyć kosztą produkcji i liczyć się z warunkami rynków zbytu, które są coraz cięższe, bo inaczej nas Niemcy i żydzi zjedzą z kretesem. Należy raz zrozumieć — dodał z przyciskiem, patrząc trochę na Konańskiego — że owa tak zwana dobroć serca, a właściwie słabość charakteru, sentymentalizm, romantyzm — te nasze wady narodowe, które nas kosztowały tyle łez i krwi (tu dyrektor westchnął, jakby te łzy i krew on wylewał) winny być raz na zawsze pogrzebane w realnym życiu. To nawet już straciło kredyt w poezji, uchodzi jeszcze w sztabuchach pensjonarek, ale nie w solidnej pracy, pracy u podstaw, zmierzającej do odrodzenia kraju!

— A teraz jedno małe zapytanie: powiedz mi pan, ile u pana może zarobić najemnik?

— Maksimum pół rubla! — wyręczył w odpowiedzi Konańskiego, który nań patrzył z subtelną

ironją. — A u mnie ostatni kocmołuch zarabia rubla!...

— No to i chwała bogu! — wtrącił pan Ignacy.

— Zapewne — podchwycił dyrektor — choć niech mi pan wierzy, że każdy zdobywający grosz w rękę takiego, z przeproszeniem, bydlaka, to miecz — szalonemu — jedna sposobność do upicia się więcej, czynnik wysoce demoralizujący!... Tak, moi panowie, — grzmiał już — z daleko to się wszystko przedstawia w tęczowych kolorach, ale z bliska, na trzeźwo... Ja sam przecież niegdyś także jakim....

— Cymbał! — dobitny, dźwięczny wyraz zahamował potok wymowy pana dyrektora.

Zrobiło się niezmiernie cicho. Oczy wszystkich zwróciły się ku Postańskiemu, który z niewzruszonym spokojem gmerał widelcem po talerzu.

Kułakowski i jego ciotka patrzyli w osłupieniu, oboje państwo Ignacostwo z pomieszaniem, Konański dość obojętnie, a Miła z ostrym drapieżnym wyrazem.

W ciszy tej parsknął krótki, przytłumiony chichot Ignasia.

— Cymbał... Ignaś! — w formie uzupełnienia powtórzył Postański — sam nie wie z czego się śmieje!

Wszyscy odetchnęli. Sytuacja pozornie przynajmniej zdawała się uratowaną, ale zaraz znowu zawisła na włosku:

Ignaś błyskawicznie uniósł się na krzeselku, jakby wywołany do wydawania lekcji i rzekł przekornie:

— Właśnie, że wiem!....

A dość już było widzieć jego rezolutną twa-

rzyczkę i rozfiglowane piwne oczęta, by się upewnić, że wie istotnie i gotów jest powiedzieć.

Ostrzegawczy piorun wypadł z przerażonych oczu pani Izabeli. Ignasz siadł i, przechyliwszy figlarnie główkę, począł zezoiwać w stronę dyrektora.

Kuśakowski poczerwieniał i z nienawiścią świdrującymi oczyma przeszywał chłopca, wzamian za co otrzymał kpiącą minę i wyzywające spojrzenie zuchwałego dziecka.

Wszystko to trwało ledwie minutę, którą przerwał Konański zgrabnym toastem za pomyślność gospodarzy domu, życząc im doczekać brylantowych godów, wnuków i prawnuków.

Pan Ignacy w odpowiedzi wzniosł zdrowie gości i pary narzeczonych.

Potym Konański zdrowie dyrektora przemysłu krajowego i jego filarów.

W ten sposób wrażenie przykrego zajścia zatarło się tym łatwiej, że po obiedzie Postański nie wrócił już do salonu; wprost z jadalni wymknął się do sieni, chwycił kapelusz i ruszył do domu.

Na dziedzińcu dogonił go Ignasz, wołając:

— Dziaduniu, przy kolacji będą poziomki i truskawki, proszę zostać, i ciasteczka z konfiturami, przecież dziadunio lubi....

— Nie!...

— Z konfiturami?... — zdziwił się chłopak — to chyba dziadunio nigdy nie jadł?... Nadziewane i jak rozłamać, to niby dwie łódeczki doskonale!... — paplał, biegnąc w podskokach koło doktora, a potem spytał nagle:

— Dziadunio nie na mnie powiedział cymbał?

— Na ciebie!

— Drugi raz, ale pierwszy nie! prawda? Ten pan ma krzywe nogi, jak Żolka — dziadunio widział! i świeci się jak jaki samowar. Czy on się czyści pomadką? — dopytywał się chłopak.

Ignas pociągnął go za rękaw i, przymilając się rzekł:

— Dlaczego dziadunio nie chce dziś zemną rozmawiać?

Doktor przystanął, spojrzał na chłopca badawczo i spytał raptownie:

— Dobrze — ale 9 razy 8 ile będzie?

Ignas się zmieszał na mgnienie oka i wypalił:

— Sześćdziesiąt trzy!

— Nie gadam z takim osłem dardanelskim — rzucił krótko Postański i szedł dalej.

Chłopak, jak oszołomiony, stał chwilę w milczeniu, poczym ze łzami, gorączkowo jął szeptać: 9 razy 8, 9 razy 8, 8 razy 9, jak olśniony, puścił się pędem za doktorem.

— Dziaduniu! — wołał żałośnie — 72, dziaduniu, 72!

— Ile?

— Siedemdziesiąt dwa!

— Więc czemu mówisz 63?

— Bo mnie się pomyliło, ale jakem sobie przewrócił naodwrot; zaraz mi się przypomniało.

— To sobie zawsze najprzód przewróć, namyśl się i dopiero mów!

— Bo dziadunio tak raptem, ni stąd, ni zowąd... a jeszcze i wakacje... — tłumaczył się Ignas, podbiegając co chwila w podskokach, aby nadążyć za Postańskim; co mu utrudniało mówienie, więc w końcu rzekł:

— Czego dziadunio tak leci, jak żyd na szabas?

Śpieszę się, serce, do domu, — odparł doktor, zwalniając kroku.

— A poco?

— Chciałbym dziś jeszcze zgarnąć koniczyne.

— A jutro dziadunio nie może?

— Jutro będę pełł kartofle; jak w czas nie zrobię, to co będę jadł w zimie?

— Niech dziadunio najmie parobka!

— Nie mogę.

— Czemu?

— Każdy powinien pracować sam na siebie!

— Każdy?

— Tak, każdy!

— To i ja znaczy?

— I ty!

— A przecież ja chyba nie pracuję?

— Boś jeszcze mały, teraz na ciebie pracują inni.

— A kto?

— A ot, widzisz te woły, co tam orzą, te konie, co bronują, tych chłopów i te baby, co tam sapią i chodzą od świtu — oni pracują, żebyś miał świeży chleb na śniadanie. Na to ubranko, które masz na sobie, pracowało także dużo ludzi: hindus, murzyn, a może i chińczyk zbierał na nie bawełnę....

— Murzyn, taki czarny i chińczyk - z warkoczem, co jest na pudełkach od herbaty! — powtórzył zdziwiony Ignas.

— Tak, ten chińczyk, on właśnie zbierał herbatę, którą pijesz codzień.

— A jeszcze kto?

— Wszystko i wszyscy, zwierzęta, rośliny, tysiące ludzi, których ani ja, ani ty nie znamy...

— To i Znajda i Żywy?

..— I Znajda i kucyk. Nie myśl, że tylko żywi! pracowali na ciebie i umarli...

— Umarli! — wyszeptał Ignas... — Wiem — dodał po pauzie wzruszonym głosem, — tatuś i mamusia!

— Nietylko oni! Tabliczkę mnożenia, którą się posługujesz przy rozwiązywaniu zadań, ułożył bardzo dawno jeden grek; gdyby nie on, musiałbyś się dobrze nieraz napocić. Ten łuk, którym się bawiłeś wczoraj, wymyślił jeszcze dawniej dziki człowiek, może już wytępiony przez złość ludzką; jesteś jego dłużnikiem!

Ignasiowi grek nie zbyt zaimponował, ale dziki człowiek po prostu go rozkwilił; rzekł więc ze smutkiem:

— Jabym mu podziękował i oddał, ale cóż ja zrobić, kiedy jego już niema, a łuk się złamał.

— Dziękuj za to innym i kochaj, pókiś mały, wszystkich, a potem oddasz...

Doktor nagle urwał i sposepniał.

— Po licha ja mu to gadam — myślał i poruszyła się w nim cała gorycz nienawiści.

— Wszystkich? — powtórzył Ignas.

— A rób sobie jak chcesz, no i wracaj, za dalekośmy zaszli, idź już, idź — mruczał Postański.

Ignas pocałował go w rękę i szedł powoli do domu w dziwnym nastroju.

Nie rozumiał całkowicie treści słów Postańskiego, ale cała rozmowa z dziaduniem pozostawiła w jego duszy, nieopracowaną pojęciowo, mgławicę uczuć, w której najdobitniej wyróżniały się pierwiastki lęku przed jakimś ogromem nieznanej odpowiedzialności i rozrzewnienia zarazem.

Ludzie schodzili z pola i Ignas spotykał co krok powywracane pługi, ogorzałych rataji, ćmiących krótkie fajeczki, woły płowe, machające poważnie łbami w ramach drewnianego jarzma, bose baby, dźwigające w płachtach cheptę dla krów i dzieci przy piersiach, nie większych od siebie chłopców w parcianych spodniach i brudnych rozchełstanych koszulinach, pędzących konie o wytartych bokach i ślimaczących się ranach na karku.

Z początku chłopak z nieśmiałością przypatrywał się tym ludziom i zwierzętom, jakby ich po raz pierwszy zobaczył, a potem jął się do nich uśmiechać całą twarzą i oczyma, wzbierającym wdzięcznością sercem.

— Ach, żeby tak "to" dziś znaleźć... — modlił się w duchu, myśląc o kwiecie paproci — żeby tak znaleźć!... zarazbym....

I w tej nadziei obiecywał spojrzeniem wołom zdjęcie jarzma, koniom wygojenie ran odparzonych, zabawki dzieciom, śliczne majteczki, czyste koszule, a nadto łuki chłopcom, dużo chepty i siana babom, wszystkim bućki, i z bursztynami długie cybuchy ratajom.

Na dziedzińcu wypieścił łaszącego się Znajdę tak czule, jak nigdy i dopiero, gdy znalazł się przed gankiem, na widok cioci Mili, spacerującej pod rękę z dyrektorem, otwarte na świat serce jego zamknęło się raptownie, kurcząc się i cofając w jakąś ciasną ciemnicę, niby szturchnięty palcem ślimak w skorupę.

Ściśnięty żalem nieświadomym, jakby tęsknotą za tą minioną chwilą rozlewnego czucia, posmutniał i siadł skulony na schodkach.

Wieczór się zbliżał, rozkoszny chłodem po dniu upalnym. Z wysokości błękitnego stropu spływały w dół, na krańce horyzontu, rozwiewne obłoki, niby puszyste ptactwo, zbijające się w stada, by zapaść na sen.

Od strony wsi dolatywały beczenia, ryki i kwik wracającej z ugoru chudoby. Zresztą cicho było i widno jeszcze. Na ganku pan Ignacy grał z Konańskim w szachy; Apuś i Mieczysław z rozkazu Belci, która wyszła zakrzętnąć się koło kolacji, pokazywali ciotce Kułakowskiego okalające gazon róże sztampowe, a z własnego natchnienia małpie miny; para narzeczonych, zamieniając od czasu do czasu stłumione słowa, chodziła wolno tam i napowrót w bladym rozplywającym się cieniu, który rzucał przed siebie dwór klonowiecki.

To też Ignas spoztrzeżał naprzemian dwa obrazy: raz sztywny ruch pałakowatych szarych nóg dyrektora, na tle chwiejącej się rytmicznie jasnej spódnicy cioci Mili, i wówczas przypominał mu się wodny pajak, którego widział kiedyś, jak łaził po płatku nenufaru i wzdrygnął się mimowoli to znów kształtną postać cioci Mili, rzeźbiony profil jej twarzy, a w niej ten sam zastraszający go błędny półuśmiech, zjawiający się czasami na jej ustach, gdy go pieściła i wtedy zbierało mu się na płacz. Minęli go tak kilkakrotnie i w milczeniu weszli do parku.

Ignas drgnął, i nagle poczuł przystęp tej złej i bolesnej wesołości, w jaką wpadał czasami, gdy, ukarany niesłusznie, nadrabiał miną, chcąc pokazać, że go ta kara wcale nie dotknęła, że sobie z niej kpi, że się z psem w najlepsze bawi, podbiegł w

ślad za nimi, czując, iż im teraz dokuczy, bo domyślał się, że chodzi im o to, by być bez świadków.

Jakoż grał swoją rolę wysmienie, pozornie nie zwracał na nich uwagi, ale kręcił się ciągle w pobliżu, dokazując do szaleństwa z kundysowatym wyżłem. Chwilami znikał w krzakach, poto tylko, by wyrósć, jak z pod ziemi, na pierwszym skrucie alei; to ich wyprzedzał, to zostawał cokolwiek w tyle, manewrując tak, by czuli ciągle jego obecność.

Gdy się skierowali w stronę altanki, przedarł się znajomymi przejściami przez gąszcze na przełaj, tak, że gdy weszli, zastali już ławkę zajętą przez Ignasia, który zdążył uplacować obok siebie w siedzącej pozycji łaciastego Znajdę.

— Może ciocia chce usiąść? — spytał przekornie Ignas, widząc, że stoją oboje u wnijścia z rzadkimi minami. — Ja cioci ustąpię, a Znajda temu panu.

— Nie — odrzekła sucho Mila, a jej towarzysz cisnął w chłopca wściekłe spojrzenie.

Odeszli.

Ignas posmutniał, dotknięty tonem głosu cioci, ale za to wzrok nieznośnego gościa podzielał nań, jak ostroga. Zerwał się i, goniąc psa, przebiegł koło nich, a o kilka kroków dalej, udając, że się potknął, przewrócił się, jak długi.

— Ignasiu, potłuczysz się! czemu ty się z dziećmi lepiej nie bawisz? — rzekła Mila z akcentem lekkiego zniecierpliwienia.

— Bo się nie chcą już bawić, a Znajda chce!..

— Cóż one robią?

— Oglądają róże.

— Róże, róże! — powtórzyła bezmyślnie Miła, a potem rzekła raptem z prośbą w głosie:

— Żebyś ty był Ignasiu grzeczny chłopczyk, tobyś mi przyniósł białą różę, taką, jak wtenczas... pamiętasz?

— Pamiętam — odparł głucho Ignas; powstał chwilę, a potem, patrząc nieufnie w oczy Mili: — Dobrze, ciociu! — rzekł i puścił się jak umiał najprędzej w stronę dziedzińca; zerwał, nie zważając na kolce, pierwszą dostrzeżoną różę i biegł z powrotem co miał sił. Nie zastał już narzeczonych na dawnym miejscu, ale, jakby instynktem wiedziony, zawrócił zaraz w grabową aleję.

Gdy wpadł, poprzedzany przez psa, ciocia i jej towarzysz siedzieli na dwóch końcach ławki daleko od siebie, oboje mocno pomieszani. Na widok chłopca Miła pochyliła rozognioną twarz ijęła zawzięcie oglądać własne paznokcie, a Kułakowski zajął się starannym oskubywaniem z drobnych gałązek leżącego obok ławki pręta.

Ignas, zatrzymawszy się, jak wryty, na miejscu, obrzucał ich przez czas pewien podejrzliwymi spojrzeniami rozbieganych w niepokoju źrenic, a potem cała jego istota jakby zawisła nad krańcem nieznanej otchłani, gdzie żalił się niezrozumiałym szmerem bezimienny smutek. Oczy przygaśły, zleniwiał prąd krwi w żyłach, rozemdlily się wszystkie muskuły; z bezwładnych palców wysunął się biały kwiat i upadł na ziemię.

Na różę wnet rzucił się Znajda i po parokrotnych bezowocnych próbach, ująwszy ją wreszcie w odpowiedni sposób, chciał oddać swojemu małemu panu, ale widząc, że jej nie bierze, pomimo zachęcające ruchy ogona, podbiegł do ławki, upu-

ścił zdobyć na kolana Mili i począł się sam wspinać białymi łapami.

— Fe, powalasz, a pójdziesz; zabierz go sobie, Ignasiu! — jęknęła zirytowanym głosem Milla, usiłując uwolnić się od natręta.

Ignas zapatrzony w przestrzeń milczał.

— Słyszysz, bierz go i wynoście się!... — odezwał się rozkazującym tonem Kułakowski i zamierzył się prętem na młodego wyżła.

Ignas drgnął, jak ukłuty; Znajda odskoczył, ale rozbałamucony zabawą, począł się cisnąć do nóg dyrektora. Kułakowski odepchnął go z pasją, a gdy się zbliżył ponownie, chciał go uderzyć.

— Proszę nie bić Znajdy! — zabrzmiał wzburzony dziecinny głosik i dyrektor poczuł w swoich oczach dwie gorejące, jak węgielki, źrenice.

— Co?! — wymówił przeciągle i cicho Kułakowski i drapieżny płomyk mignął w rysach twarzy; dyrektor chwycił za kark psa i jął go okładać z całej siły, aż świszczwał giętki pręt.

Znajda zaskowyczał, a jednocześnie podobny, tylko jeszcze wyższy dźwięk wydarł się z piersi Ignasia; blady, jak trup, błyskawicą rzucił się naprzód i wpił obie rączyny w tłustą dłoń dyrektora.

— Precz, smarkaczu! — nie panując już nad sobą, łamiącym się dyszkantem krzyknął dyrektor, usiłując złapać chłopca za ucho, ale w tej chwili cofnął rękę i, sycząc z bólu, począł otrząsać kropelki krwi z palców.

— Co to jest?! — widząc krew, zdołała wreszcie przemówić Milla, oszołomiona nagłością wypadków, które razem nie trwały kilku sekund.

— Ugryzł mnie ten fąfel!... ja wam pokażę! — wołał Kułakowski, wygrażając Znajdzie i Ignasiowi, którzy oddalili się szybko.

Pierwszy z podkulonym ogonem pomykał bokiem alei wystraszony Znajda, a za nim, środkiem, podążał machinalnie, słaniając się ostatkiem wysiłku, ślepy od łez chłopczyzna, skulony pod brzemieniem krzywd i obelgi, targany łkaniem, buchającym z dna zmęczonego do głębi serca.

I kiedy ciocia Mila, ochłonawszy doszczętnie z ognia namiętności, kończyła opatrywać skaleczony palec narzeczonego, maltretując go przytym złośliwym spojrzeniem — Znajda zlizywał językiem słone łzy z twarzy Ignasia, który leżał w miękkiej trawie i, objąwszy rączką psa za szyję, płakał gorzko, wracając powoli do siebie.

— Alem go ugryzł przecie! — przypomniało mu się nagle i poczuł znaczną ulgę, z tą refleksją bowiem spadła zeń hańba obelgi.

— Tak, on mnie chciał za ucho, a ja tymczasem... i musiał puścić... — rozpamiętywał półgłosem chłopak. — Więc, znaczy, moje na wierzchu! — dodał cheipliwie i łzy się ścięły w mroźnym dreszczu tryumfującej zemsty. Zadrżał, jak przesyty sopłem lodu nawskrós; raz jeszcze chybnęło się w nim jakieś lepsze, choć smutne wzruszenie i zeszytniał cały w posępnym zadowoleniu. Wstał i szepcząc:

— Dobrze mu tak! tłusty wieprz! krzywy samowar!... — szedł zuchwale w stronę domu, skąd rozlegało się nawoływanie do kolacji.

Znalazłszy się w jadalni, Ignaś, zbywając zimnym milczeniem różne zapytania towarzyszy, siadł gwałtownie na swoim miejscu i utkwil zacięte rozpalone oczy w szklistą białość talerza.

— Co to panu, pan się skaleczył? — posłyszał

wkrótce głos cioci Belci i zatłukło się w nim nierównym taktem suche serce.

Nie poczuwał się do winy, nie przstraszała go spodziewana kara, ale drażniło oczekiwanie, w którym cała jego duszyczka zjeżyła się boleśnie, jak jeż kolcami, gotowością do walki z tym nienawistnym człowiekiem.

Dyrektor zaś, siłąc się na humor, opowiadał niedbale:

— Tak, rzeczywiście! spotkał mnie dość oryginalny wypadek, chciałem skarcić psa, który postanowił wytrzeć brudne łapy o moje ubranie i...

— Karolku — jęknęła stara dama — bój się boga, może wściekły!...

— Ależ, ciociu... zawsze ta przesadna troskliwość!... — przerwał niecierpliwie siostrzeniec i ciągnął dalej bardzo spokojnie:

W tym właśnie rzecz cała, że pies mnie nie pokąsał, ale wyręczył go za to jego nieodłączny towarzysz, i należy wyznać, że uczynił to nie gorzej od pieska, musi mieć ostre ząbki i odpowiednią wprawę!... Nieobyczajny ten chłopczyk — dodał, łypnąwszy na Ignasia — sprawdza przysłowie: Kto z kim przestaje, takim się staje! Doświadczyłem tego na sobie! — skończył dobrotliwie dyrektor i zaśmiał się nienaturalnie.

W Ignasiu, w miarę jak słuchał, poczęło wicherzyć się wszystko, aż z chaosu porwała się myśl jak on kłamię, jak on strasznie kłamię! — i trzepotała się samotna w głowie, niecąc wszędzie po płoch i zamęt.

Istotnie, choć dyrektor właściwie nie przekreślał faktów, kłamał potrójnie i z premedytacją: Nasamprzód zbagatelizował zajście, by mu odjąć

głębsze tło i tym jaskrawiej uwydatnić karygodność wybryku Ignasia, w tym też celu owijał w dobroć i pobłażliwość mściwy zamiar, a chcąc osiągnąć najwyższy stopień kary, z umysłu użył słowa "nieobyczajność" i zaznaczył niewłaściwość obcowania chłopca z psem, by podrażnić ambicję jego wychowawców.

Ale zręcznie uknuty plan okazał się za misterny dla Kułakowskiego i tak zgrubiał w wykonaniu, że wszyscy uczyli pewien niesmak, a najwrażliwszy Konański przejrzał fałsz nawskroś.

Belcia zmieniła się na twarzy i wyjąkała zakłopotana:

— Czy to być może, Ignasiu!

Chłopiec zerwał się z miejsca, usiłując wtłoczyć w pojęcia splątaną treść tego, co czuł w tej chwili i wyrzucić ją z siebie na swoją obronę — ale nie mógł.

Konański popatrzył z ironją na dyrektora i odezwał się dość energicznie:

— No, ale chyba jest już po zgodzie i wzajemnych przeprosinach, a ranka, nie wątpię, do wesela się zagoi.

— Niestety, zbrakło nam czasu, bo zawstydzony widać winowajca umknął... zresztą mój palec nie gniewa się! dzieciństwo! — machnął ręką dyrektor.

— Jak on kłanie! jak on strasznie kłanie! — zawirowało znów w głowie Ignasia i w oczach odbiło się przerażenie; chłopak stał, jakby zmagetyzowany widokiem tego morza fałszu, które po raz pierwszy zalewało go falą po fali.

— Ignasiu! — powtórzyła zmartwiona Belcia — jakieś ty mógł; proszę cię, przeproś zaraz!... —

a gdy chłopak nie poruszył się nawet, poczęła mówić łagodnym tonem perswazji:

— Przecież powinienes przeprosić, sam wiesz każdy to przyzna! — zwróciła się do wszystkich, powołując się na ich sąd.

Pan Ignacy skrzywił się dwuznacznie, Konański zaś patrzył usilnie w piękną twarz Mili, a ona wycedziła dobitnie:

— Naturalnie, że tak! — i pogardliwie wyniosłym spojrzeniem odparła smutne oczy Konańskiego, poczym bezpośrednio obrzuciła wzrokiem zimnym i okrutnym, jak wyrafinowana nienawiść, współwinowajcę, który uśmiechał się głupio i niewyraźnie.

— No, widzisz, Ignasiu! — rzuciła prędko Belcia i raptem zagotowało się w niej wszystko, stuknęła dłonią w nakrycie, aż zadzwoniło i zawołała ostro:

— Przeproś! a nie, to wstaniesz od stołu i ruszaj spać!, wóz, albo przewóz! co to znów nowego!

Zrobiło się niezmiernie cicho i w ciężkiej, drażliwej chwili ogólnego natężenia szurgnęło odsuwane krzeselko, w oczach wszystkich odwróciła się śmiertelnie biała, skamieniała twarzyczka i mała postać w szarym ubranku, ze zwieszoną czarną główką — opuściła w milczeniu wylękłe grono bliskiej płaczu dziatwy i znikła we drzwiach.

Ignas jak lunatyk, bezwiednie dotarł do sypialnego pokoju, rozebrał się i wsunął do łóžeczka, gdzie długo dygotał suchym płaczem wewnętrznym, w stanie głuchego osłupienia, niby przygnieciony brzemieniem tego kłamstwa, przed którym wzdrygnęła się prawa jego natura. Powoli przez

to ciężkie dławiące wrażenie, niby podziemne wody przez opokę, jęły się przesączać ogniste łązy oburzenia, tryskając z uciskanego ostrym żelazem esrca.

Jakże to tak?!... Jakże to tak?!... I nic!... wstrząsana do głębi gwarami takich myśli, buntowała się cała jego istota, nie mogąc w swej naiwności dziecięcej ani zrozumieć, ani pogodzić się z tryumfem i bezkarnością fałszu. W bezsilnej rozpaczyczuł, jak się boleśnie odrywa jego serce od tych wszystkich przed godziną ukochanych osób, które dopuściły, by to się stało i tak się przytym stało, a jednocześnie przeniknął go do dna chłód osamotnienia.

I tak niewinna duszyczka, zatruta jadem potrójnym kłamstwa, krzywdy i nienawiści — wyziębiała się stopniowo, zaskorupiając się sama w sobie.

To też, gdy Ignas usłyszał ożywiony dwugłos, zbliżający się ku drzwiom, zamiast zwykłej, życziwej uciechy, doznał niechęci; odwrócił się do ściany, by udać, że śpi.

Wszedł Mieczysław z Apusiem.

— Daj, ja zapalę — napierał się ostatni.

— Kiedy mama powiedziała, żebym ja...

— Przecież ty codzień...

— No to razem, masz! raz, dwa, trzy!

Trzasnęły potarte siarniczki i zapłonęła świeca.

— A widzisz, że ja pierwszy! — zawołał wesół Apus.

— Ignasiu, czy ty śpisz?

Ignas milczał.

Rozległy się lekkie śpieszne kroki, coś się

posypało na stół i zaszczębiotała szybka mowa Aurelki.

— Macie, to dla Ignasia...

— Kiedy on śpi.

— To nic, schowajcie i nie zjedzcie, bo spytam; — z tą przestrogą Aurelka wyfrunęła z pokoju.

— Ciasteczka! — pomyślał Ignas i poczuł łyzy w gardle, a w duszy jakby powiew wiosennego tchnienia.

— Aurelka, to dobra! — wyszepnął i coś w nim stało w tej chwili.

— Apuś, nie ruszaj! — zabrzmiał strofujący głos Mieczysia.

— Ja tylko rozek!...

— Wstydz się, on przecież nie jadł wcale!

— Tak, ale ty dostałeś cztery, a ja tylko trzy, i jedno było puste, bez konfitur, a tu jest pięć, to jabym zjadł jedno, toby było akurat "po równu", a przecież ja tylko rozek! — skarżył się i usprawiedliwiał Apuś.

Nowa fala ciepła i tkliwa rozlała się w duszy Ignasia i objęła miłością obu chłopców, a zaraz potym zabrzmiał znękany jego głosik:

— Weź sobie, Apusiu, jedno!

— To ty nie śpisz! — zawołali obaj i nawpół rozebrani rzucili się do jego łóżeczka.

— Masz! to Aurelka dla ciebie — kładąc na kołderce cztery rumiane pierożki, a chrupiąc piąty, z pełnymi ustami, począł paplać Apuś:

— A wiesz, jak tylko poszedłeś, to pan Konański powiedział: podoba mi się ten chłopiec, jabym taksamo zrobił! A ciocia Miła roześmiała się tak głośno... potym nikt nic nie mówił i wszy-

szy wstali... wtenczas, pewno Aurelka złasowała do fartuszka te ciasteczka i tu przyniosła... jedz!... dobre!...

— E, bo ten pan to jakaś nieznosna figura! a ciocia Mila to też ziółko! — oświadczył poważnie Mieczysław.

— A ty skąd wiesz?

— Słyszałem, jak tatuś mówił do pana Konańskiego.

Ignas słuchał chciwie tych wiadomości i łzy kręciły mu się w oczach, a w piersiach robiło się coraz słodziej, jakby tam rozpuszczały się konfitury pierożków, które zjadał; jeden z nich, w przystępie wdzięczności ofiarował Mieczysławowi.

— Nie, dziękuję — odparł szybko Mieczysław i przełknął ślinkę.

— Co, nie chcesz? — przeciągle zdziwił się Apuś.

— Nie, weź! — nacierał Ignas.

— To znów będzie "nie porównu" — zauważył Apuś — bo ja miałem jeden pusty.

— To tak będzie: my rożki, a Ignas środek — zdecydował Mieczysław i, dzieląc w odpowiedni sposób ciastko, spytał:

— Powiedz, jak to było naprawdę?

— Widzicie! — zaczął Ignas — on był na mnie już zły wtedy, jak dziadunio powiedział cymbał, a ja jego nie lubię, bo to taki jakiś...

— Wiadomo, nieznosna figura! — odpowiedział Apuś.

— Tak, i jeszcze... — tu Ignas się zająknął, nie umiejąc znaleźć stosownych słów dla określenia dodatkowych powodów swej ansy do dyrektora.

— Nie lubię go, bo poco on z ciocią Milą przy-

jechał — rzekł wreszcie, marszcząc się. — A potem w parku oni chcieli mnie się pozbyć, ale ja umyślnie nie dałem się... Więc on na złość mnie zaczął bić Znajdę, a potem chciał... — tu Ignas zaczerwienił się i rzucił prędko: — pociągnąć za ucho, więc ja go dobrze ugryzłem — skończył i zaciął usta.

— E, bo widzisz — po dłuższej pauzie rzekł Mieczys — jak ci już mama kazała, to trudno, trzeba go było tak “na niby” pucnąć w powietrzu — i już!

— A ja, tobym się zaraz rozplakał, a potem bym mu pokazał cztery figi — o tak! — i Apuś, który posiadał talent ronienia łez na zawołanie i splatanie wszystkich palców, pokazał, co umiał, i uśmiechnął się zadowolony.

Ignasia nie przekonał żaden z podsuwanych projektów, więc milczał, starając się uświadomić sobie, dlaczego nie może ich przyjąć.

Apuś i Mieczys tymczasem poczęli z łóżek dmuchać na świecę.

— A co, ja mam lepszy “chuch” — rzekł Mieczys, gdy zgasła.

— Bo tobie bliżej — odparł Apuś.

— Akurat — zaprotestował sennym głosem Mieczys, ale Apuś nic nie odpowiedział.

Było już dość późno, jasna noc czerwcową podnoszącym się wzwyż księżycem coraz silnie rozwidniała pokój, a Ignas jeszcze nie spał, pełen tułających się myśli, rozdrzany falami sprzecznych uczuć.

Jedne z nich, lotne i gorące, ogarniały czułością wszystkich towarzyszków dzieciństwa, pana Ignacego i Konańskiego, drugie ciężkie i oziębłe, odpły-

chały w pierwszym rzędzie dyrektora i ciotkę Miłę. Belcia znalazła się niejako na pograniczu, na jej osobie ścierały się te wrogie fale; i żywe serce dziecka, niezdolne jeszcze do martwych uczuć, jakim jest obojętność, wahało się ciągle, co z nią uczynić, gdy właśnie wsunęła się ona cicho, w filcowych pantoflach, jak to czyniła często, by się przekonać, czy światło zgaszone i czy wszystko w porządku.

Obrzuciwszy czujnym okiem cały pokój i swoje dzieci, zbliżyła się i zajrzała troskliwie do łóżeczka Ignasia. Zdarzało się to również nieraz, o czym Ignas nie wiedział, a dziś pochłonięty usilną pracą duszy, nie odczuł obecności ciotki.

Chłopak leżał na boku z zamkniętymi oczyma, podłożywszy drobną piąstkę pod lewy policzek. Belcia wpatrywała się długo w ściągłą twarzyczkę, która w zimnej poświacie blasków księżycowych wydawała się jeszcze bielszą, niż zazwyczaj.

— Jaki on podobny! — przemknęło jej przez głowę i stłumione, prawie niedostrzegalne echo bólu odezwało się w głębiach duszy.

Miała wrażenie, że leży przed nią w zmniejszeniu subtelny profil Maryni o wypukłym czole, prostej linii ściągniętych brwi i zapadłych oczach Wiktora.

— Ja go kochałam! — jak krótka błyskawica mignęła ledwie uchwytna myśl, i, nad wiek świeża, twarz Belci przywiedła nagle, w kątach ust i powiek wystąpiły wądeł, jak z pajęczyny siateczki zmarszczek, piękne rysy zmierzchły, zgaszone wewnętrznym cieniem i przybrały wyraz wyczerpania. Belcia, niby poczerśniała róża, zwarzona pierwszą godziną jesieni, doznała poczucia mijającego

lata, okwitania sił młodości, gubionych nie tyle w wichrach życia, ile w ustawicznej krętaninie i mnogości trosk powszednich.

W tej chwili słabości, tęsknego zamyślenia się, jak gdyby smutnego zapatrzenia w odlatujące sznury dni niepowrotnych, jak ptactwo w mgłę, ginących w przeszłości — Belcia mimowoli, chcąc może dać odpoczynek zdreptanym nogom, przysiadła na skraju łóżka Ignasia; poczym pochyliła się raptem, wzruszona niezwykle i złożyła drżące, lekkie usta na delikatnej, pożyczowanej skroni dziecka.

Ignas drgnął mocno; wiedział już, że to ciocia, i ten jej pocałunek falą ciepła oblał go od stop do głowy. Zapał mu się na moment oddech w piersiach, zatrzymała się krew w tętnicach, a potym naraz się rozszerzyły wszystkie krwionośne naczynia, wzdęły się wysoko płuca i cała istota: z pod długich rzęs poczęły się wymykać wyniesione wezbraniem rozrzewnienia łzy: dwie pierwsze ciężkie i ostre, jakby w nich spłynął cały osad truciźny, zamącającej świeżą, nieświadomą złości ludzkiej duszę, a następnie lekkie i takie czyste, jakim się stało w tej chwili wrócone naiwności dziecięcej niewinne serce.

— To ty nie śpisz jeszcze? — wyszeptała Belcia.

— Nie! — zaszemrał wilgotny głosik.

— Nie!... ja tak tylko ciociu...

— No, cicho, cicho, uspokój się moje... dziecko! a widzisz... poco to; przecież to, choć gość od bólu zębów, ale gość zawsze... Nie można!... Tyś pewno głodny?... — mówiła Belcia nabrzmia-

łym tkliwością szeptem, głaszcząc siostrzeńca po główce i policzkach.

— Nie, ciociu.

— Powiedz prawdę!... ja się nie gniewam...

— Mnie Aurelka...

— Aurelka... pocziwa dziewczyna, to dobrze! czemu tylko w sekrecie przedemną...

I z pewnym smutkiem, jakby skarżąc się sobie, Belcia żaliła się:

— Tak, wszystkim się zdaje, że ja dla własnej przyjemności burczę od świtu do nocy... Kiszki się we mnie do wieczora przewrócą i nóg nie czuję!... Potym i pożałuję każdego, a mnie kto? Ci ja-dą jutro... chwała bogu...

A po pauzie, jakby sobie przypominając o obecności Ignasia, dodała:

— No, pamiętaj, drugi raz!... nie było o co!... Cóż, że bił Znajdę, na nim przyschnie, przecież to pies! no powiedz sam...

— Pies — powtórzył Ignas — ale on sam na mnie pracuje.

— Pracuje?!...

— Dziadunio mówił, że nietylko on, ale i murzyn, chińczyk zbierał bawełnę na te szare spodenki i herbatę także...

— A tak! Dobrze ci mówił dziadunio!... widzisz, a ty co? oglądam te jasne spodenki; na nic! całe w dziurach, nie wiem, czy dadzą się scerować. A cóż — wyrzucić? Kopalni złota nie mamy!... Zygmus źle się uczył... Aurelkę wartoby na pensję... Ładną dziś miałam rocznicę, aż mi głowa pęka... Trzeba rano wstać i tych tam wyprawić! — mówiła do siebie Belcia. — Żeby choć Ignacy,

był zdrow i urodziło!... — westchnęła i umilkła, zamysłając się.

Ignas patrzył w stroskaną twarz ciotki, ujął ją nagle nagle za rękę i pocałował mocno w środek dłoni.

Belci zadrgały usta i zamglily się oczy...

— Ciociu, stryjcio będzie zdrow i urodzi wszystko — wyszeptał.

— Dalby bóg, dalby bóg — powtarzała w roztargnieniu Belcia.

— I ubranko się samo sceruje, kopalnia będzie! — dorzucił tajemniczo.

— Co ty pleciesz?

— Zobaczyci ciocia! — żywo, z ogniem w oczach upewniał Ignas — jest taka jedna rzecz, jasny kwiatek paproci...

— Ach, to!... — uśmiechnęła się pobłaźliwie Belcia. — Co to się roi w tej czarnej łepetyńce!... No, śpij już, śpij, a nim kwiat urośnie, szanuj to, co masz.

— Dobrze!

— Pamiętaj!

Belcia pocałowała Ignasia w czoło i wysunęła się z pokoju.

Skrzypnęła podłoga raz i drugi i ucichło wszystko. Ignas wyskoczył z łódeczka, ubrał się pośpiesznie, wyciągnął ostrożnie swoją szufladkę, wyjął z niej drogocenną broń, w którą się zaopatrywał na wszelkie wyprawy, kozik za sześć groszy, wdrapał się na okno, odemknął zaszczytki i zręcznie zeskoczył na ziemię. Noc była widna: na sklepionych w szafirach stał w zimnej aureoli srebrnej mgły wysoki krążek księżyca, tu i ówdzie iskrzyły się rzadkie centki gwiazd; gdzieś daleko klekotał

spóźniony wóz... W cieniach ganku warknęło krótkie szczeknięcie.

— Znajda! — zawołał stłumionym głosem Ignaś.

Łaciasty pies podbiegł do chłopca, kręcąc ogonem, wysunął przednie łapy, wygiął krzyż, przeciągnął się i ziewnął skamłajaco. Ignaś poklepał go po łysym łbie i skierowali się razem do parku.

W mrocznych alejach, niby w ruchomych kulisach, pełnych przewidzeń tajemnych i szeptów trwożliwych, w sercu chłopca począł się trzepotać bojaźliwy niepokój; przytrzymywał tedy przy sobie Znajdę, ściskając na fałdach jego skóry mocniej rączkę, ilekroć wychylił się z cieni krzewów jakiś chybotliwy, kształtujący się w oczach, rozczapirzony dziw, lub mu się odzywał zagadkowym słowem przejmujący szmer. W ten sposób ciemnymi labiryntami przedostał się na widniejsze miejsce aż pod chróściany płot, gdzie w płytkim wąwozie krzewiły się obficie kępy paproci. Tu puścił psa, Ignaś wiedział, że kwiatu należy szukać w lesie, ale zбочył z drogi w tę stronę z myślą: a nuż!... i jeszcze z jednego powodu: w Łódeczce, którą zamierzał przeprowadzić się na wysoki lesisty brzeg, nie było ławeczki, ale za to stała zawsze woda. Ignaś, pomimo surowe zakazy, cichaczem puszczał się na staw w starej "duszegubce", przyczym zwykle urządził sobie siedzenie z siana, słomy lub snopków zboża. Tym razem tę prozaiczną rolę miało odegrać czarodziejskie ziele. Zabrał się tedy z pomocą kozika oburącz do roboty i ciął zapamiętałe wilgotne, frendzliste, ząbkowane liście, na których nie dostrzegał świetlistego kwiatu. Przy pracy zapominał o niepokoju, raz tylko gdy ślizka ro-

pucha przeskoczyła mu przez rękę, zląkł się trochę. Skoro spory pęk był gotów, związał go pnączem chmielu, przerzucił przez ramię i, tak obładowany, przecisnął się przez dziurę na łąkę.

Tu otworzyły się przed nim oblane pełnią księżyca, trącane lekkim wiatrem, rozległe przestrzenie. Garbate pola chwiały się powabnym rytmem bujających się zbóż, niby kołyski, rozlewające zapach.

Po srebrnych wodach ogromnego stawu migotały drobne smugi -fali, której zmarszczek czepiały się sine pasma oparów, jak nici wiotkiej przędzy; z dymiącej się łąki ku odległym moczarom płynęły rozwiewne kształty białawych tumanów, niby ślaniające się błędne postacie w powłóczyстых welonach, i tam rozsrebrzoną szeroką kurzawą wstępowały w niebo.

Cicho było, gdzieś tylko niedaleko biła pełnym tonem przepiórka, i dwa chruściele darły naprzemian chrapliwe swe głosy. Znajda wyprzedzał Ignasia i ostrym kłusem przebiegał w zygzakach łąkę, coś frunęło, pies rzucił się i znikł.

Kiedy powrócił, Ignas już był na brzegu i wyciągnął schowaną między balami żerdź, którą się posługiwał zamiast wiosła. Nad głową chłopca przewinał się kilkakrotnie miękki, niepewnym lotem wyolbrzymiały w cieniach lelek; dalej porwał mu się z pod nóg duży kulon, zagiął skrzydła nad wodą i, poświstując tęsknotą, zniknął zaraz w pomroce.

Ignas, wlokąc za sobą po piasku tyczkę, dotarł do małej zatoki, gdzie czerniała wąska, płaska łódeczka. Tu rozwiązał snop zieleń, wysłał nim, jak matą, stojącą w zagłębieniu wodę i, rozstawiwszy,

nogi, począł się odpychać żerdzią od brzegu. Dziób łódki obracał się to w tę, to w ową stronę, ale na jednym miejscu.

Chłopak wyskoczył, zdjął buciki, rozkazem: wartuj! powierzył je opiece Znajdy i, wszedłszy po kostki w wodę, popychał łódkę przed sobą po piasku; poczym nagłym ruchem wdrapał się do środka. Pies cały czas kręcił się niespokojnie, rzucił się do stawu, ale szybko się wycofał i, popiskując żałośnie, patrzył na stojącą na czarnej plamie figurkę, która się oddalała od brzegu, aż naraz znikła, jakby wsiąknęła w unoszący ją cień. Wówczas dopiero Znajda otrząsnął się z wilgoci, przysiadł i podrapał się zadnią łapką za uchem, kłapiąc zębami na dokuczliwe drobne muszki, wyliżał się dokumentnie i wreszcie, ukończywszy nocną toaletę, zwinął się w kłębek w pobliżu bucików i począł drzemać czujnie.

Tymczasem jego pan był prawie na środku Śniwody, żerdź nie sięgała już dna, więc usiadł w łódce, powierzywszy ją prądowi fali, którą w tym miejscu była istotnie leniwą i niosła ją już wolno w kierunku pożądanym na brzeg przeciwległy, gdzie stał tęgi, wysoki mrok lasu.

Pozbawiony zajęcia, Ignas zaczął się rozglądać wokoło.

Na wyspach oczeretów osiadły wijące się w kłęby, umęczone błędzeniem, blade ingły. Na matowych nieruchomych powierzchniach stawu kurczył się, drżący drobną łuską szlak wzbijającego się w zenit księżycy. Linie brzegów znikły. Gdzieś niedaleko rozpraszały się sinawymi skrami utopie w głębiach gwiazdy nieba.

Wgranatowej kopule kołysała go sennym ruchem łupina łodzi. Daleko widniał klonowiecki dwór; duże okna ociekały zielonkawym pyłem, jak wielkie szkliste oczy próchniejącej martwoty, na górcie tylko, w najmniejszej szybce, majaczyło nikłym rumieńcem światelko życia. Po wodzie szły nocne bicia przepiórek, chrapania chruścieli i subtelne fale pachnące, — jedyny oddech i odgłosy ziemi. A gdy umilkły, w uroczystej ciszy grał nieustanny dźwięczny szum, jak miliardowy szmer cykających owadów, który zdawał się zrywać po to tylko, by czymś wypełnić przeraźliwy ogrom milczenia. Gdzieś plusnęła ryba.

Ignas słyszał, jak w marzeniu, rytmiczny szmer rozpędzanej sercem krwi i drżał wewnątrz.

Nie był to tchórzliwy jęk niebezpieczeństwa, był to raczej święty przestrah wobec obnażeń tajemnych wzruszeń, które, mocą czarodziejskich odczyniań uroku nocy, wyrywały się z najmniejszych obłonek jakiegokolwiek formy pojmowania. Dziecko zaczynało powoli zatracać poczucie swej odrębności wobec zjawisk zewnętrznych, nie poznawało ich po odbieranych wrażeniach, ale jak gdyby wcielało się samo pełnią swej wrażliwości we wszystko, o co trącił choć jeden zmysł. Więc w lotność wilgotnych widm mgły, w błyski i cień, w bezkres i kształt, w ciszę i głos, odnajdując się wszędzie, całkowicie i niepodzielnie, tak przytym piękne i rolewnie smutne, jak pięknym, rozlewnym był czar tej cudownej nocy, która, rzecz można, zwierzała się sama sobie ze wszystkiego najczulszą wymową — naiwnym zachwytem dziecięcego serca.

Otarła się burta łódki o szuwary. Z gwałtownym łopotem uniosła się nad nimi ciemna plama, wydając zardzewiały krzyk i przepadła. Chybnięła się dusza Ignasia, ocknął się i wrócił do siebie.

— Kaczka! — szepnął z zimnym mrowiem przestרחu, z ciężkim uczuciem nagłego osamotnienia.

Rozejrzał się żałośnie. Naokół szumiały zarosła wodne. Uprzytomnił sobie po co płynie i odzyskał sprężystość energii. Wstał i, chwytając się za tatarak, posuwał się wzdłuż szuwarów i znowu utknął dziobem łódki w stary wysoki oczeret; coś liczego furknęło i przesypało się na drugą stronę jak garście śrutu.

— Szpaki pewno! — pomyślał Ignas i, odpychając się żerdzią, wycofał się na czystą wodę.

Kiedy nie zmacał dna, usiadł, rzucił listek na falę i z otuchą zobaczył, że płynie w stronę lasu, ucieszył się, poczytując to za dobrą wróżbę. Rozdrgane szczątki minionego nastroju zlepiły się w nim na mętne poczucie czegoś uroczystego i, skrzyżowane z biegiem jego myśli, dało mu w rezultacie wrażenie pewności, że kwiat znajdzie. Zaraz też począł sobie wyobrażać z niezwykłą siłą niemal wizji wygląd jego. Widział na zarysie liści paproci małą złotą gwiazdeczkę promienistą i, czując w drżącej radośnie dłoni gorące jej kształty i miękkość aksamitu, obejrzał się na dwór. Srebrzyły się dachówki, okna — ciemne.

— Śpią i nic nie wiedzą!... — szepnął, zalewając się rozczuieniem wdzięczności. A potem przyszły mu na myśl figle.

Do czasu sekret, ani mru mru!...

I oto już uprzedza w tajemnicy życzenia wszystkich:

— Strycio zdrów! Ciocia ma kopalnię złota w ogrodowym lochu; ubranka same się łatają nocami; kuce, wózki, łuki, niesłychane zabawki zjawiają się na żądanie, jak z pod ziemi.

Dzieci, wszyscy starci... Dziadunio... Pan dyrektor!... Nie! a zresztą, jak przeprosi Znajdę, i on... niech tam!... Jan, cała wieś kto tylko zechce, murzyn i chińczyk także, ma się rozumieć... Biorą co się komu podoba, cieszą się i dziwią... A on taki rad, taki rad... aż płakać się chce.

— Boże mój... Boże... — szepcą usta dziecka, i, jak w modlitwie, podnosi się ku niebu uskrzydłone rozrzewnieniem serce.

Były to słodkie, święte i wzniosłe minuty rążąco podobne do tych, jakie przeżywał nieraz jego ojciec. I Wiktor bowiem często po owocnym trudzie, w chwilach uciszenia się w sobie, w odpoczynku rozmarzał się przed Marynią obrazami przyszłości i dochodził do takich dziwnych wzruszeń, jakie chyba może doświadczać lekki rozpięty wysoko obłok, gdy na wskroś przesiąka pierwszą różową strzałą zorzy poranku. Czując w sobie brzask dnia, który spotyka, zapomina, że czyha na niego wichur, mocen zedrzyć go, jak płachtę, z błękitów i łzami wbić w błoto ziemi.

Znowu miękki zatrzymała się łódka, i jak odrącona, cofnęła się nieznacznie.

Ignas oprzytomniał.

Niedaleko brzegu zobaczył przeszkodę.

Wstał, by się rozejrzeć w położeniu.

Od ściany lasu oddzielał go długi lecz niezbyt szeroki pas, zarośnięty niskim tatarakiem i rzad-

kim sitowiem, między którym widniały matowe, poplamione liśćmi nenufaru, liczne haławki, niby martwe oka ryby olbrzymiej. W jednej z takich kałuż odbijała się smutno gwiazda.

Omijać — daleko! ehyba się przebić!... postanowił chłopak.

Zanurzył żerdź. Było dość głęboko; poszła w muł, ale wystarczyła.

Ignas oparł się całą siłą i pchnął łódkę; z szurgotem podnosząc dziób w górę wsunęła się między zielsko.

Jeszcze raz udało mu się posunąć ją o parę cali, i dalej ani rusz; uwięzła w kępach.

Czarna gęstwina lasu była tak blisko, że chłopak słyszał szelest rozbujanych wierzchołków; czuł idący stamtąd chłód i widział padający nań cień.

Nie namyślając się długo, zakasał, jak mógł najwyżej, majteczki i stanął na najbliższej kępie. Ugięła się bulgocąc. Nóżki do kostek pograżyły się w ciepłej, gryzącej na powierzchni wodzie, rozszedł się zapach zgniłych korzeni tataraku. Chłopiec przeskoczył na drugą kępę, za którą zaczynała się jakby murawa darni pokrytej osoką, tak prężystą, że trzęsała się w dużym promieniu pod ciężarem chłopca.

Ignas rozróżniał już ciemne pieczary wnętrza lasu. Serce zabiło mu mocniej i nagle zatrzymał się wryty.

W jednym miejscu, prawie nad ziemią, unosiła się zielonawo błękitna iskierka; zatrzymała się i błyszczała najwyraźniej. Ignas uczuł w płucach gorąco, jakby spalanie się w przyśpieszonym oddechu zapartej w piersiach krwi, i fala ciepła

oblała go od stóp do głowy. W uniesieniu radości, zapatrzony w mistyczne światło, począł biedz. prawie. Zachybotało się wszystko naokół, przerwało się trzęsawisko i chłopak zawisł na lokciach w wodzie, pogrążając się z wolna coraz głębiej. W szamotaniu okręcił się i złapał oburącz za jakieś ostre komysze. Miękką, rozlazłą drgająca masa chwytala go za nogi i ciągnęła pod kępy.

Chciał krzyknąć, ale głos zastygł mu w krtani. Zacisnęły się żyły, i wszystka krew na moment zatrzymała się w rozdętych arterjach; a potem skurczyły się tętnice, krwawy prąd buchnął do obwodu ciała, i serce stało się wystraszoną pustką.

Trzymając się słabnącymi rączynami za sito wie, Ignas utkwil skamieniałe z przerażenia oczy

Ratujcie — jęczały obłąkane rozpaczą myśli. Niemo żebrały pomocy oszalałe instynkty.

Słodkie omdlenie rozjęło małe palce.

I nagle rozwarły się bez szelestu stare zręby domostwa. Dziecko znalazło się wśród swoich i rozwinął mu się w oczach jego ostatni dzień, za nim przedostatni...

I tak we wstecznym biegu w błyskawicznych skróceniach opasywały go najistotniejszą treścią dzieje życia, coraz szczuplejszego zakresu, niby pierścienie o zmniejszającym się szybko promieniu.

Całość ich tworzyła rodzaj leja, w który się niejako osuwał, spostrzegając na ścianach nieprzerwany obraz minionych dni, równie plastyczny i żywy, jak rzeczywistość, ale wysubtelniony, jakby omglony czarem piękna. To też e-

moście, których Ignas doświadczał, były pasmem wzruszeń natury estetycznej. Rzeczy wesołe dawały wrażenie pogody, bolesne — rozlewnego smutku.

Kiedyś przesunęło się marmurowe, śmiertelne, żałosne oblicze matki, zmarnowana, wychudła twarz ojca; później zjawily się obie rozwidnione ukochane postacie rodziców. Wreszcie z akordami dźwięków zawirowały plamy barw i światła, w końcu spłwiałały kolory, poszarzały światła, — dźwięki stały się zmieszonym zgiełkiem.

Otwór lejka zwiężał się i zamraczał, aż zmienił się w punkt sztywnej ciemności i głuchego milczenia.

Tymczasem zewsząd czołgały się ślizkie macki wodorostów, bezokie rzęsy, wysmukłe zielenice, przeciągały się z daleka brunatną linją nenufary i oplatały ciało Ignasia, nim upadł na dno. W rytm wzruszonych kręgów fali kołysały go w splotach swych sprężyste sieci coraz wolniej i wolniej.

Bieląła noc, wiatr się wzmaczał. Szedł szmer w oczerety, poszum w las. Sieć zarabiała się pracowicie w całun wybladłej zieleni, jakby chcąc zataić przed złotem okiem słońca zrabowany mu skarb.

VIII.

GDZIEŻ JEST...

Belcia stała bezmyślnie na ganku. Ręce miała słabo splecione poniżej piersi, oczy tułały się bez celu.

Na dalekim widnokręgu majaczył przysłonięty sinawym pyłem las. Siwo-żółtymi szachownicami zżętych ściernisk płynęły puchy osypujące się z burzanów, snuły się srebrne przędzywa babiego lata, włóczone za trzepoczące się końce westchnieniami wiatru. Pusto było i cicho. Czasem tylko zagwarzyły zmieszonym kwileniem stada ciągnących na rolę kawek, lub z wysokości nieba spadał nagły, przeszywający, donośny okrzyk wrzynającego się w lazury klinu żorawi. Wówczas porywały się mimowoli jej źrenice do góry, by odpowiedzieć pożegnalnym wejrzeniem ścigającemu wiosną ptactwu i długo błędziły po modrym przestworzu, zapatrywały na chwilę w wielką rozognioną tarczę słońca, dostojną, jak oblicze konającego bóstwa, które pozwalało jej podziwiać przez lzy swój zlagodzony majestat. I znów omglone oczy

leciały w bezkres, wchłaniały tęsknotę i zwierzały się ze smutków jesieni zadumie serca.

Wszedł Jan, meldując:

— Ferdź wrócił!

— Co mówisz?

— Ferdź wrócił — powtórzył stary sługa, podając na tacce list.

— Aha, no to dobrze! gdzie pan?

— Widziałem jak szedł do ogrodu.

— To zanieś, zresztą ja sama — poprawiła się Belcia. — Też ma papier! — wzruszyła ramionami, zstępując ze schodów i kręcąc w palcach szorstki skrawek zwykłej bibuły, złożony niedbale i zalakowany gładką pieczęcią.

W parku pyszniły się jeszcze zielenią drzewa, choć już tu i ówdzie wżerała się w ich szaty zwiędła zgorzelina, wypieki śmierci. Czerwieniły się miejscami gniewne buki i dęby; szlochały bladżółtym płaczem delikatniejsze brzoźki. A z różnych wierzchołków raz wraz, niby ptak uskrzydłony złotem, miedzią lub purpurą, ważąc się w powietrzu, zlatywały strącane liście, i płamiły ścieżki, aleje, schorzałą murawę leniejących gazonów. I tak powoli rdzawiła się, broczyła krwią umierająca ziemia.

Pan Ignacy przechadzał się po parku; doświadczać w dalszym ciągu większego, niż zwykle, rozgardjaszu w myślach, które niby pobudliwe kołowroty, tknięte raz jakimś drobnym bodźcem zewnętrznym, lub nieznacznym wstrząśnieniem nurtujących głęboko wzruszeń, obracały się potym samorzutnie, jakby siłą rozpędu, odpychając na bok wzgardliwie wszelkie uroszczenia bezwładnej wobec nich woli.

Ukazała mu się między drzewami tafla Śniwody, jak drugie niebo.

— Więc to tam się stał ten wypadek!

— Wypadek? — zastanowił się.

— Naturalnie, wypadek straszny, dziwny, fatalny.

Ugryzły go ostatnie dwa wyrazy.

— Dlaczego się tak uporczywie czepiają, gdy tylko o tym pomyśle?

I zaraz cały szereg wspomnień: Wiktor, Marynia... a na końcu refleksja:

Ich syn!... To właśnie najgorsze!... Ach, i ta paproć!

Stały przed nim epizody tego dnia.

Brodzą w wodzie nagie, błyszczące w słońcu, postacie, krzyki, nawoływania!... A potem cicho, przyciągnęli do brzegu tę łódkę i ktoś wyniósł na rękach rozpuchniętego trupka... Młoty w skroniach!... A tu Postański przerażającym głosem:

— Paproć, paproć, paproć!...

Potem siedział na tej, ot, ławce tak niemożliwie długo!... Co wyrzec — jest szara góra!... Nie-
sporo było go zaczepić... nikt nie śmiał! Aż Belcia:

— Jakże można, trzeba... idź poproś! wypada!

Więc w dwu słowach: doktorze obiad!

A ten jak nożem:

— Może ryby będą, co?

I ten śmiech: — Paproć, widziałeś, paproć! Czy ty rozumiesz?! — i to spojrzenie, oczy jak mętne skrwawione kule!... ani rusz zapomnieć!...

Żeby choć odpisać! Źywinien, przecież on niejako!...

Pan Ignacy usiadł na ławce wyczerpany tą sceną, którą znowu przeżył.

Istotnie Postański naprowadził go na trop domysłów, które w rezultacie wyświetliły cel nocnej wyprawy Ignasia.

W zestawieniu z tymi zamiarami, śmierć dziecka nabrała szczególnych dotkliwych akcentów i zrosła się w świadomości pana Ignacego z tragicznymi kolejami rodziców w jedną nierozzerwalną całość wstrząsającej grozy, jakby w zamknięty cykl fatalnych przeznaczeń.

Wbrew wszelkim knowaniom chłodnej analizy, analogia ojca i syna żywiołowo narzucała się myślom, zmuszając je krążyć do zmęczenia w zakłętym kole granicami mogił.

Podniósł się, przyczajony w jakimś ciemnym zakątku duszy wicher, przewiał ją nawskrós, zmiotł nawarstwienia świeżych wrażeń, i obnażyły się dawne obrazy bolesnych wspomnień, rozogniając się przeraźliwym blaskiem, w którym rzucały się w oczy szczegóły niedostrzeżone na razie.

Echa minionej przeszłości zaczęły dzwonić tak donośnie, jakby otchłanie czasu użyczały im rezonansu.

Dawna mowa Wiktora, uświęcona majestatem potrójnej śmierci, brzmiała teraz uroczystym tonem przysięg, składanych przed obliczem życia ustami konających, wobec których najśmielszy, nieprzejednany protest zdobywa się jedynie na argument milczenia.

Pan Ignacy poczuł, że się dostaje pod władzę umarłych.

Jakaś nieznana mu dawniej siła zmuszała go czynić na ich rzecz ustępstwa z najistotniejszych poglądów, z podstawowych zasad; począł się coraz częściej łapać na gorącym uczynku roztrząsania

zagadnień, wyłączonych raz na zawsze z zakresu myślenia, jako rzeczy w jego mniemaniu bądź nie-możliwych do urzeczywistnienia, bądź nie dających się rozstrzygnąć.

I lękał się intuicyjnie rezultatów tych dociekań, jakby podejrywał, że braknie mu mocy do dźwigania obowiązków, które nań nałożą ostateczne konsekwencje.

To też im natarczywiej dręczące zapytania domagały się odpowiedzi, tym się bardziej ociężał, odsuwając stanowczą decyzję coraz dalej w przyszłość.

Ale ta polityka zwłoki, by zyskać pozory uczciwości, potrzebowała jakiegoś usprawiedliwienia. I pan Ignacy znalazł je w zaprzątnięciu się pewną kwestją, pozostającą w związku z umarłymi; kwestją ich spuścizny materialnej, owej sumy, zostawionej przez Wiktora dla Maryni i Ignasia, a której się wyrzekł.

Myśl ta urodziła się w nim nagle, od razu w formie silnego postanowienia, którego motywów nie znał i nie starał się poznać, unikając instynktownie w owej dobie duchowego zamętu zapuszczania się w głąb własnej istoty, jakby się obawiał wykluwających się tam niespodzianek.

Za to oddał się całą duszą sprawie godziwego zużytkowania tych pieniędzy. Przychodziło mu tysiące pomysłów, ale w każdym z projektów dostrzegał jakiś brak, a im się rozmnażały obficie, tym wybór stawał się trudniejszy.

Wreszcie, za radą Belci, postanowił zasięgnąć opinii Pośtańskiego.

Nie było to zadanie łatwe, doktor bowiem od daty śmierci Ignasia nietylko przestał bywać w

Klonowie, ale w oczach Ignacego dwukrotnie przez tylne wyjście wymknął się w pole, gdy ten stukał w główne drzwi.

Ignacy jednak nie zrażał się; nie mogąc nic wskórać osobiście, przypuścił szturm listownie, i właśnie obecnie siedząc na ławce, wmawiał w siebie, że doktor jest po prostu obowiązany udzielić odpowiedzi.

Zaniepokojony jakąś wątpliwością, wydobył kopję listu swego, by go raz jeszcze przejrzeć: "Szanowny Doktorze, Dobrodzieju!

Zrozumiałem, niestety, fatalną "paproć!" I, chcąc być szczerym, wyznaję, że wołałbym zapomnieć o tym dręczącym odkryciu, które stało się dla mnie źródłem bolesnych rozpamiętywań i męczących rozmyślań.

Nie o to jednak w danyin wypadku mi chodzi. Jak doktorowi wiadomo, Wiktor w swoim czasie pozostawił w moim ręku połowę przypadającej mu schedy. Czuję, że nie mam prawa korzystać z tych pieniędzy. Część tego depozytu zamierzam obrócić na sprowadzenie zwłok Wiktora (jeśli się to da urzeczywistnić) i wystawienie skromnego nagrobka, resztę na jakiś cel, któryby godnie uczcił pamięć zmarłych.

Z wielu projektów żaden mnie nie zadowala. Nie wiem dlaczego, ale mam wewnętrzne przekonanie, że nikt lepiej od doktora poradzić mi w danej sprawie nie może; wierzę w to tak mocno, że z góry obiecuję zastosować się do jego wskazówek. Wołałbym o tej kwestji i wielu innych pomówić osobiście, ale..."

— Ignacy, szukam cię wszędzie! Wołam...

Masz! Ciekawam, co pisze? — rzekła Belcia, wręczając mężowi świstek.

Ignacy złamał pośpiesznie pieczęć i czytał półgłosem, nakreślone drżącym ołówkiem, wielkie koszlawe wyrazy:

“Gmerać w zmarzłej ziemi — trud zawodny i zbyteczny. Z prochem Maryni próchnieje najlepsza kość z kości Wiktora — ten malec. Jeżeli istotnie nie uważasz się za właściciela spadku po bracie, nie pozostaje nic innego jak postąpić z tymi pieniędzmi w myśl jego intencji. Nagrobek pozwól mnie, zmajdrować, bom już zaczął”.

— Jak trafił, jak trafił... w samo sedno!... — wyszeptał pan Ignacy, a potem, zwracając się do Belci z akcentem żalu i wyrzutu skarżył się:

— Dlaczego mnie to na myśl nie przyszło, a jemu od razu, no, powiedz!... Przecież to takie proste, a jednak nie przyszło!... Dlaczego to, co się zamarzyło Ignasiowi, nie uroiło się żadnemu z naszych?... powiedz, dlaczego?... — Zamyślił się i westchnął.

— Niema co, trzeba jechać! — rzucił po pauzie z determinacją, wstając z ławki.

Belcia długo z niepokojem wpatrywała się w męża; drgnęła i, zastępując mu drogę, poczęła mówić gwałtownie, rozdzierając słowami zapierającą się oddech:

— Słuchaj, Ignacy!... Dlaczego? tego nie wiem! Ale mamy czworo dzieci — to wiem, to jedno dobrze wiem!... Słuchaj... doprawdy, ja nie mogę, już nie mogę!...

Głos jej się złamał, przybladła...

— Dosyc już, dosyc tego, dosyc!... — krzyknęła prawie i, jakby zasłaniając się przed jakimś

widnem, zakryła oburącz oczy, i wybuchnęła spazmatycznym łkaniem.

Pan Ignacy spochmurniał i rzekł ponuro:

— Niepotrzebnie płaczesz, zupełnie niepotrzebnie... Ja chcę tylko kupić sobie spokój, za ich pieniądze, rozumiesz, kupić... — powtórzył z goryczą. I dzieci — także zbyt wiele!... Choćbym był sam, jak palec sam — nie zdążę za śladem umarłych. Ja jestem za otyły i mam lat 50, 50 ślamazarnych pustych lat i już mi ciężko!... Możem miał kiedy i siły, ale mi się gdzieś rozeszły... Taki to musiał być i kapitał... żebraczy... — dorzucił z nie miłym uśmiechem.

— Ach, jeżeli tak, — przerwała porywczo Belcia, jeżeli tylko tak, to jedź zaraz, dziś jeszcze! w tej chwili przygotuję ci wszystko! O mnie się nie troszcz — to głupie babskie nerwy!

Pan Ignacy spojrzał zdumiony na żonę, ale nie dostrzegł w niej spodziewanego gniewu, któremu przypisywał nagłą zmianę frontu.

Rozogniona twarz jej była niezwykle poważna, z pod załzawionych rzęs patrzyły nań mocno i trochę wyniośle surowe, spokojne oczy.

Ignacy spuścił wzrok i mruknął cicho:

— Dobrze, dziękuję!

Belcia dotrzymała słowa, wszystko było gotowe w ciągu paru godzin, zakrzętnęła się przytym tak gorliwie około wyjazdu, że pan Ignacy siadał na bryczkę, jak oszołomiony, z wrażeniem człowieka wyprawionego z domu gwałtem i niespodzianie.

Gdy zaś zbudził się nazajutrz, miał krótką chwilę zdziwienia, że się znajduje w pociągu i po-

trzebował paru sekund, by sobie uprzytomnić, dokąd jedzie i poco?

W wagonie było pełno, wielu pasażerów stało w przejściach, to też zaledwie pan Ignacy spuścił nogi z ławki, szpakowaty jegomość w melonie i blady młodzieniec w zielonym kapelusiku z piórkiem zajęli opróżnione miejsce.

— Panu dobrodziejowi powinszować snu — rzekł pierwszy z nich z uśmiechem, poruszając uczernionymi wąsikami — jabym tak nie potrafił... Tłok, krętanina, no i późno!... Wolno wiedzieć, z daleka?

— Z za Brześcia!

— Z Litwy znaczy; po żniwkach, coś tego, przewietrzyć się... teatrzyk... rozumiem... — mrużąc filuternie jedno oko, ciągnął wesoło towarzysz. — Józiu! — zwrócił się do młodzieńca — a uważaj w Mrozach, może będzie Majchrzycki?... Obywatel z gubernji siedleckiej, przyjaciel nasz, tęgi gospodarz — dorzucił w formie objaśnienia dla Ignacego.

— To już minęliśmy Łuków? — spytał pan Ignacy, zaniepokojony kwestją objadu.

— I Kotuń, teraz właśnie, Mrozy, Nowomińsk, Miłosna i jesteśmy w "kochanym miasteczku".

— O której?

— O drugiej — wtrącił z przeciwległej ławki wygolony starannie staruszek, i jakby, oponując, mówił:

— "Kochane", to prawda, ale już nie "miasteczko", miasto całą gębą! Bruki drewniane, samochody, samochody!... panie, — powtórzył z naciskiem. — Da Bóg — bulwary nad Wisłą i elektryczność — i jest Paryż!...

Rozmowa objęła większą ilość osób i, przeskakując z tematu na temat, krzyżowała się w powietrzu, na podobieństwo kół zonglerskich, tworząc z kilku próżnych myśli, barwne frazesy, okraszone zręczną blagą i pozorami dowcipu.

Przerywały ją częste postoje pociągu na stacjach, osłabiało usuwanie się któregoś z uczestników, podsycalo zjawianie się nowych, którzy w środku zdania wcielali się doskonale w tok.

Przez wagon przelewał się niedzielny tłum wielkomiejski, ruchliwy, lekki, jak jego pakunki, łatwy w zawieraniu stosunków, sprawny w ruchach i mowie, gładki — rzekłbyś pozbawiony w znacznym stopniu siły tarcia.

Pan Ignacy czuł się w tej atmosferze trochę obcym, niezgrabnym i ciężkim, niby masywne zarzewiałe podwoje, wobec pokostowanych drzwi-czek, otwierających się bez trudu na obie strony.

Upokorzało go to nieco.

— Zasiedziałem się — myślał — bagatela... dziesięć lat!...

A gdy sobie spróbował uprzytomnić liczną niegdys listę znajomych własnych i brata, przekonał się ze zdziwieniem, iż w mieście tym, gdzie dawniej czuł się jak w domu — nie ma obecnie nikogo.

— Czekam mnie nielada zadanie! — zaniepokoił się i sposepniał.

— Co tu robić, do kogo się zwrócić?... Jak w lesie!... — przemysliwał, mocno zachwiany w swoich planach.

Tymczasem pociąg, przeginając się na zwrotnicach, dobiegał kresu podróży, wkrótce zakotłowało się wszystko.

Pan Ignacy, wyniesiony falą ludzi, śledząc siną

bluzę posługacza, który porwał jego walizkę, znalazł się w mrocznej salce, gdzie szereg szwajcarów wykrzykiwało na różne głosy nazwy hotelów.

Pan Ignacy zamierzał zatrzymać się w Europejskim lub w Bruehlowskim, ale, gdy się tak wahał, kwestję rozstrzygnął energiczny Rzymski, wydzierając mu z rąk sakwojaż, i wyludziwszy przebiegle kwit na rzeczy, z okrzykiem "w ten moment" — przepadł na długo.

Zniecierpliwiony oczekiwaniem pan Ignacy, gdy nareszcie zjawił się szwajcar, oświadczył mu, że dłużej czekać na bagaż nie myśli i, poruczywszy jego staraniom dostawienie pakunków do hotelu, wsiadł w dorożkę z owym uczuciem podniecenia, w jakie wprawia nerwy dawno niewidziany ruch i gwar miasta.

W pobliżu mostu, na widok zatoru z wozów, dorożek, koni, tramwaju i ludzi, był pewny, że coś się stało i nieprędko zorientował się, że nic szczególnego nie zaszło.

Około kolumny Zygmunta powitało go znajome wrażenie.

Pomnik ten przypomniał mu, że jest niedaleko inny, którego jeszcze nie widział, począł się tedy podnosić na siedzeniu; a gdy zamajaczyły nieznane kształty, szarpnęło mu się serce, wstrzymał dorożkę i, mocno wzruszony, zbliżył się do kraty.

Schody na taras, rozwiane płomienie zniczów, napis, półkrąg złotych drutów, rzucona na liście lira, biała kolumna, a wysoko, zaśniedziała figura z rozczapierzoną ręką na piersiach w spadającym płaszczu obnażoną głowę odwraca.

Minęła chwila.

I nagle w oczach Ignacego począł drgać posąg

i pochylił się, jakby chciał runąć mu na piersi. W mgłach łez roztopił się spiż i stał przed nim żywy olbrzym, na wysokościach przykuty, sam jeden w pustkowiu.

Ignacy struchlał, cofnął się mimowoli o kilka kroków, i raptem gdzieś w czeluściach duszy poczuł głuchy, intonacją brata nabrzmiały, jak z pod ziemi, wołający głos:

Gdzie człowiek, co z mej pieśni całą myśl
wysłucha,

Obejmie okiem wszystkie promienie jej
ducha?...

A potem cały ustęp nie w wyrazach, lecz w wicherze wstrząsających wrażeń wzburzył mu do dna rozkołatanę serce.

Odwrócił się z rozpaczliwym szeptem: ja nie! ja nie!

Na chodniku roilo się ód drobnych postaci: ruchliwa ciżba gdzieś spieszyła, zupełnie czymś innym zajęta.

— Gdzie oni lecą? poco?... co myśli ta masa ludzi?... Czy myślą i czy ludzie?... samochody, samochody! — jako przypuszczenie i wspomnienie zarazem słów staruszka uczepił go się ten wyraz.

— Okropna zbrodnia za dwie kopiejki — przeszył Ignacego nawskróś przenikliwy dyszkant biegnącego chłopca. Ktoś z tłumu, nie zatrzymując się nawet, pochwycił w jego oczach przerażający dokument, zmiął i wsunął w kieszeń. I dalej, niepowstrzymana niczym, z gwarem bez sensu, przesuwiała gawiedź.

— Proszę pana, mnie tu niewolno stać! — odezwał się dorożkarz.

Ignacy wszedł.

Na zakręcie drogi raz jeszcze pokazała mu się postać wyniosła.

Ktoś z galonem na czapce zawiązał z nim rozmowę, otworzył oszklone drzwi; i nawpół przytomny pan Ignacy, wyczerpany, z trudem począł się dźwigać po schodach, usiłując nadążyć za czarnym frakiem kelnera, który płynął w górę równo i szybko.

W parę tygodni później w liście Ignacego do żony, znalazł się taki ustęp:

“Długo myszkowałem, jak w lesie, by natrafić na trop właściwy. Wreszcie odnalazłem ślady i sądzę, że wkrótce dotrę do celu. Za jakie kilka dni dopnę swego i zaraz wracam”.

Dni jednak rozciągnęły się w tygodnie i dopiero przy końcu listopada pan Ignacy znalazł się na swojej stacyjce. Daleko za nim pozostały nowe wzruszenia, przed nim rozciągał się krajobraz zimowy: białe pola, sinawa wstęga z wyżartymi kolejami w grudowatej drodze; baranica na nogi, futro z kołnierzem na dwa łokcie, pakowna bryka, dobra czwórka fornalska i młody parobczak w burce z kapiszonem.

Otuliwszy się szczelnie i nastawiwszy kołnierz, bo szczypał mrozik i porywał się ostry wiatr, Ignacy to rozglądał się po przypruszonych suchym śniegiem przestrzeniach, to gawędził z parobkiem:

— A cóż Ferdź?

— Łamie go i w środku boli.

— Dawno śnieg?

— W niedzielę wysypało, a wczoraj na noc ścisnęło...

— Szkody niema?

— Nie, ino byk woła przebódt! Pani kazała dorżnąć na ludzki stół.

— A pan doktor nie był?

— Był w zeszły tydzień, brał konie, kamień wozili

— Kamień! jaki?

— Ano ten, co był koło sadyby; dobra waga, ledwie władowali, na cmentarz wozili — gadał parobczak.

— Aha! — mruknął pan Ignacy. — Pomysłowy, dodał w duchu, przypominając sobie ów wielki głaz, na którym to niegdyś Wiktor projektował wystawić latarnię morską. — To wieki wytrzyma!... Ciekawym!... Pojedziesz na Samosęki — rzekł głośno.

— A bo i lepiej, na Myszynieckich krzakach droga zepsuta; buraki wozili — zgodził się parobczak. — Wio, hej maleńkie! — zaśpiewał ćwiczając batem.

Bryczka potoczyła się szybciej.

Ignacy coraz częściej przymykał powieki, bo go raził blask i czerwone koła ognia migały mu w oczach; kurczył się w futrze i zwolna popadał w stan leniwej zadumy o tym niczym, co jest senne, łagodne i jednostajnie smutne.

W białej pustyni, pod wyblakłym niebem, tłukło się małe serduszko w rozelkany dzwonku i zamierało na długo. Ogólną monotonię przerywał nadlatujący skądś wicher tułaczy, który zwiewał śnieg w rowy i brózdy, i silił się podnieść ku słońcu srebrny tuman skrzacej się kurzawy, skrzypiały koła, czasem brzęknął skruszony podkowiak.

Jechali tak długo.

Kiedy Ignacy otworzył oczy, ujrzał znajomy pochyły krzyż z odwalonym ramieniem, przykucniętą dziuplastą wierzbę, a wkrótce sadybę doktora.

Martwo, nikle, obco i uderzająco smutnie wyglądał na tle rozciągniętych daleko śnieżnych pól, odosobniony mały domek ze smugą dymu w kominie, która to stawała sinawym słupem, to słała się, czerniejąc zwinięta wichrem.

— Zaniedbuje się stary! — pomyślał Ignacy, mijając wyważoną z zawiasów furtkę; gdy jednak wszedł do obejścia, przeraził go widok zniszczenia. Tu i ówdzie świeciły pieńki świeżo zrąbanych drzewek, w wielu miejscach walały się powyrywane z korzeniem szczepy, przed domem leżały kupy zwleczzonego chróstu i potrzaskane na drzazgi ule, sionka była zawalona snopami zboża, słomą, papierami podartych ksiąg i gazet.

— Co to jest?! — zaniepokojony silnie Ignacy otworzył drzwi i zatrzymał się na progu.

Na kominie buchał wysoko śliczny ogień, podsycany suchym i niezwykłym paliwem: na spodzie węgliły się nogi stołka, wyżej zajmowały się właśnie płomieniem deseczki pogruchotanej szkatułki, rajzbrecik; a w ogniu tym, tłąc się, kurczył się jakiś skórzany przedmiot. Przed kominem, na ogrodowym fotelu, oparty o poręcz, siedział Potański. Nie zmienił się wiele; była to tasama nieposkromiona twarz, zawila zmarszczkami, które gmatwały istotny wyraz. To też Ignacego uderzyło tylko, jakby zżółknięcie białego zarostu brody, pewien bezład opuszczonych rąk i migocący, jak ostrze, przeźroczysty płomyk w źrenicy bladego wypukłego oka.

Starzec był do tego stopnia zapatrzony w ogni-

sko, że nie zauważył wejścia Ignacego i, dopiero, gdy ten chrząknął, odwrócił leniwie głowę i, dotknąwszy go mocno wejrzeniem zgaszonych nagle, mętnych oczu, rzekł głucho:

— Ach, to ty, cóż tam, zrobiłeś, pono swoje!

— Zrobiłem...

— A ja swoje!

— Wiem, i z umysłu jadę do Samomęki. by odwiedzić doktora, podziękować i zajrzeć na cmentarz...

— Zamiast dziękować, lepiej mnie podwieź, bo się tam właśnie wybieram...

Postański podniósł się nieco i upadł znowu na fotel.

— Co doktorowi? niedobrze? — podbiegł troskliwie Ignacy.

— No, no, no... daj spokój... jest mi coraz lepiej. Co ci się ubzdurzało?... nogi mi się nieco zasiedziały!... Idź do diabła — obruszył się nie na żarty, gdy Ignacy chciał mu dopomóc wdziać kożuch.

Jakoż ubrał się o własnych siłach, a skoro wyszli na mróz, wywinął tak zamasyście buczkiem, nie wiem z czego...

— Podobny — przerwał doktor — to mu winiszuję, ale nie zazdroszczę... że aż furknęło powietrze.

— Co to, doktorze? — wskazując ruchem głowy ślady zniszczenia, zagadnął nieśmiało Ignacy.

Doktor zmarszczył się, a gdy wsiedli na bryczkę, spytał nagle:

— Moja sadyba, czy nie moja?

— No, doktora!

— A jeżeli tak, to uważasz, mogę ją orać i za-

orać, a jak zechcę, to i z dymem na cztery wiatry puścić, ot tak, fuuf — doktor dmuchnął w rękę.

Ignacy spojrzał badawczo na Postańskiego i przeleciała mu przez głowę podejrzliwa myśl:

Starzec siedział posępny; fałdy i zmarszczki zebrały się, nadając twarzy wyraz skupionej mocy; po długiej pauzie milczenia zaczął obojętnie:

— Cóż tam słyhać na wielkim świecie, gwar, turkot, ruch?...

Ignacy jął z ożywieniem opowiadać o swoich przygodach; wkońcu wzruszony rzekł:

— Wie, doktor, jeden nawet, choć blondyn, taki jakiś podobny do Wiktora... doprawdy sam

— Dlaczego?

— Dlaczego? — przeciągnął doktor i utkwiał w oczach Ignacego swoje wielkie oczy, o pożytkowanych, jakby splekanych krwią białkach i zakłęsłych mętnych tęczówkach.

— Adam i Ewa — wymówił dobitnie — mieli dwóch synów Abła i Kaina i tak się rozdzielił od początku ludzki ród, rozumiesz!

A potem, więcej do siebie, niż do Ignacego, mamrotał gniewnie i ponuro:

— Niema komu wejrzeć na ofiarę... Nie spada jego twarz, on tyje... Już nie on jest tułaczem i biegunem na ziemi, nie on... Ignas mądre dziecko, rozumiał... wołał od razu na dno, na dno... — powtórzył przejmującym akcentem. Odwrócił się i ciskał dalej jakieś niezrozumiałe wyrazy.

Droga podnosiła się do góry; na szczycie jej, zdawało się, leży olbrzymie, rozognione słońce; po lewej ręce na szklistym bez jednej chmurki, ziejącym pustką, niebie, widniał dość wysoko księżyc, niby przełamana w pośrodku żółtawa maska,

lub owalny plamisty obłok wystrzępiony po brzegach.

— Patrz — zawołał raptem chrypliwym głosem doktor — słońce się wala na ziemi, a ta larwa błyszczy nad nim, dlaczego? powiedz, dlaczego? — z wewnętrznym naleganiem rzucił się na Ignacego.

— Bo zima! — dygocąc cały, wybąkał Ignacy.

— Zima, zima, a kiedyż będzie wiosna! — krzyczał prawie doktor.

Ignacy milczał.

— Na święty Józef, jak boćki przylecą — wtrącił wesoło parobczak, obracając się z kozła czerwona uśmiechniętą twarzą.

— Głupiś — burknął doktor.

— Wio, hej maleńkie! — zaśpiewał szybko

Konie wyszarpnęły brykę na szczyt wzgórza. Ukazała się strzelista wieżyca kościółka i twarde kontury czarnych drzew cmentarza.

— Stój! — zawołał Postański, wyłaząc z bryki.

— Doktorze! którądy? — zaprotestował Ignacy.

— Tu jest przejście!

— A klucz?

Doktor nic nie odpowiedział i szedł wzdłuż parkanu po jakichś dużych zawianych śladach.

W jednym miejscu odjął wraz z gwoździemi dwie deski, a gdy przez ten otwór przesunął się Ignacy, założył je napowrót.

We wzniesionych ku niebu sztywnych konarach topoli zatłukły się spłoszone wrony i jedna z nich, usadowiwszy się na zmurszałym krzyżu, pozęła się bujać na nogach, wydając dźwięk podobny o szczękaniu ciężkiego zamka.

Ignacy podążał za Postańskim po zakłęsłych

dołach, deptąc zgniłe liście i kępy zielska barwy siana. Ukazały się płaskie grzędy mogił porośnięte zmiętą żółką trawą, przez co czyniły wrażenie bujnych, zawiędłych już pokosów. Na gliniastym szańcu świeżym nasypie czerwienił się od wilgoci olaszynowy krzyżyk. Miejscami leżały, jak skrzepy rozlanej krwi, zardzewiałe blachy. Tu i ówdzie sterczały uszronione pręty krzaków, niby chrust powtykane w ziemię; tylko dąbki pyszniły się pozwijanym bronzem suchych liści, szeleszcząc nimi w porywach wiatru.

Nieopodał od brzozy, która w omdlałym zwiśnięciu sieci drobnych gałązek wyglądała jak szlochający płacz stężały w zimie śmierci, szarzał ogromny jajowaty kamień omszały, pełen guzów, kropek i liszaji.

Głaz ten był ustawiony w tejsamej pozycji, w jakiej od wieków leżał w Samonękach, płaskim owalem do góry.

Na nieogładzonej chropowatej powierzchni Ignacy zobaczył przypruszone lekko śniegiem cyfry i litery: Między dwiema liczbami, datą urodzin Wiktora i śmierci Ignasia, rysowała się jakaś resztką nieudolnego konturu, zniszczona wrębami dłuta.

Niżej, w dwóch linjach skrzyły się głęboko wycięte koszlawe wielkie głoski napisu:

— Gdzież jest ten anioł,
Co taki kamień odwali.

Odczytawszy to, Ignacy spojrzał pytająco na doktora.

Starzec z odkrytą głową stał zgarbiony, oparty ciężko oburącz na kij. Blade oczy, niby bryły

odu zmętniałe i popękane, miał utkwione nieruchomo w kamień. W rozprężeniu rysów ciemna twarz przybrała pognębiony wyraz znużenia. Z sieci zmarszczek wyzierało coś tak pośępnie smutnego, że Ignacy wzruszony do żalu, podszedł do doktora i począł mówić tonem pociechy, podnosząc palec do nieba:

— Doktorze, on jest tam, tam!

Zatrzęsa się kilkakroć siwa głowa.

— Nie! — wydzwignął się jak z grobu głuchy wyraz. — Mę... — w raptownym drgnięciu warg pękło jakieś słowo i zadźwięczało szczekliwym brzękiem stłuczonego szkła.

A Ignacy patrząc z bliska w tę znękaną pozarpaną twarz, dostrzegł coś, czego się najmniej podziwiał.

Sino-czerwoną od mrozu bliznę, niby krwawym ąwozem, przekradała się, wydłużając, wrzecionowata łza, cienka, jak spiczasty odłamek ostrza styletu. Sączyła się z trudem w dół i znikła nagle żerając się jedną z najgłębszych poprzecznych łd steranego oblicza.

Westchnął mocniej wiatr, i kamień, jak ołtarz iarny, zadymił się srebrną kurzawą.

KONIEC.



NOWE KSIĄŻKI Z POLSKI

Stale, w pewnych odstępach czasu, otrzymujemy świeże transporty najnowszych książek i broszur z Polski.

¶ Są to książki nie tylko najnowsze, ale i tak rozmaite co do treści, formy i jakości, że każdy bez trudu znajdzie wśród nich czy nowe dzieło swego ulubionego autora, czy omówienie przedmiotu, który go interesuje.

¶ Spis tych nowych książek i ceny, ogłaszane będą kolejno w Dzienniku Ludowym i Robotniku Polskim.

¶ Tu tylko podkreślamy, że rozporządzamy takim ogromnym wyborem i doбором książek, że jesteśmy w stanie zadowolić każdego czytelnika.

¶ Wszystkich informacji udziela uprzejmie, a zamówienia skutecznie odwrotną pocztą —

KSIEGARNIA LUDOWA

959 - 963 MILWAUKEE AVE.

CHICAGO, ILL.

Prenumerujcie i Rozpowszechniajcie
DZIENNIK LUDOWY

Jedyne polskie pismo codzienne w
Stanach Zjednoczonych, które gło-
si wśród wychodźstwa polskiego
zasady i hasła P. P. S., potęż-
nego już dziś stronnictwa
Ludu Pracującego w Polsce

DZIENNIK LUDOWY

Broni interesów ludu pracującego w Ameryce
i zwalcza wszelki wyzysk.

Poświęca dużo miejsca sprawom polityki między-
narodowej, a polskiej w szczególności.

Zawiera specjalny dział, omawiający ruch koopc-
ratywny, najnowsze odkrycia i wynalazki, po-
stępy nauki, sprawy kobiece i t. p.

Drukuje też najlepsze powieści i nowele pióra
najwybitniejszych pisarzy polskich i obcych.

PRENUMERATA ROCZNA:

W Stanach Zjednoczonych i Kanadzie..	\$6.00
W Europie	\$8.00

Redakcja i Administracja
959 - 963 MILWAUKEE AVENUE
CHICAGO, ILL., U. S. A.







